TYGODNIK POWSZECHNY

SENS ZAMIAST SENSACJI
Polacy i Żydzi: wielki regres
Rozmawiamy ze zwolennikami Trumpa
Co się dzieje w mózgu nastolatka
Bonowicz żegna Myśliwskiego
Felietony: Stawiszyński, Kącka, Drenda

Katolickie pismo społeczno-kulturalne | TygodnikPowszechny.pl
Kraków 8 – 14 kwietnia 2026 | nr 15 (4005)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)

Młodzi samotni

POLACY NIE ŁĄCZĄ SIĘ W PARY. WYJAŚNIAMY DLACZEGO
STR. 10-14



ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

eprasa.pl 2b98c8e853


Kraków
W_S_
20 LAT
KOLEKTYWU
SPUTNIK
PHOTOS
P_Ó_L_
N_I_E
WYSTAWA CZASOWA
11.04-13.09.2026
MUFO RAKOWICKA
mufo.krakow.pl
MuFo
Fot. Adam Pańczuk, z cyklu „Jasna Noc", 2014-2019
MUZEUM FOTOGRAFII W KRAKOWIE – INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA
REKLAMA
sputnik photos
Mecenas MuFo
RE-Bau
Partner
ams
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury oraz ze środków Gminy Miejskiej Kraków
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Patroni medialni
Trójka Polskie Radio
Radio Kraków
Radio Kraków Kultura
TVP Kultura
Tygodnik Powszechny
wyborcza.pl
zwierciadło
sens
MINT

4 Edytorial
KS. ADAM BONIECKI, MAREK RABIJ

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Nasze sojusze
OLAF OSICA

8 Komentarze

■ ■ KRAJ

16 Wielki Tydzień, wielki regres
MICHAŁ OKOŃSKI:
Reakcja na niedawny list biskupów o stosunkach chrześcijan i żydów to miernik polskiego katolicyzmu

21 Rewizjoniści
STEFAN SĘKOWSKI:
Polska prawica nie ma dziś szans na jednolity front ideologiczny

24 Kto zda egzamin
ANNA GOC:
Reportaż o rodzicach głuchego chłopca, którzy od lat walczą, aby ich syn nie musiał zdawać egzaminów w języku, którego nie rozumie

■ ■ ŚWIAT

28 Pępek świata
MARCIN ŻYŁA *relacjonuje ostatnie przygotowania do wyborów na Węgrzech*

31 O przyszłość Zatoki
MAREK KĘSKRAWIEC:
Wojna w Iranie zmieni układ sił w Zatoce Perskiej

32 A przecież obiecywał
MARTA ZDZIEBORSKA *pyta wyborców MAGA, co myślą dziś o polityce Trumpa*

35 Skrzynia skarbów
PATRYCJA BUKALSKA: *W Szkocji nie brakuje drzew, które są pomnikami przyrody i świadkami historii*

■ ■ WIARA

40 Miłosierdzie wobec Boga
ARTUR SPORNIAK: *Postawmy pytanie tylko pozornie obrazoburcze: czy Bóg zasługuje na miłosierdzie?*

44 Kościoła nie ruszamy



NADIA KRAWIECKA

SZYMON PIEGZA ROZMAWIA Z LUCYNĄ KRAWIECKĄ: *Od wybuchu tzw. sprawy z Tylawy mija 25 lat*

TEMAT TYGODNIKA



JERZY SKAKUN DLA „TP"

10
Pierwsza osoba liczby pojedynczej
MAREK RABIJ, PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
Dlaczego niemal połowa młodych Polek i Polaków nie ma partnera?

■ FELIETONY ■

9 BARTOSZ MINKIEWICZ
27 OLGA DRENDA
48 ZUZANNA RADZIK
58 ELIZA KĄCKA
76 PAWEŁ BRAVO
82 TOMASZ STAWISZYŃSKI

GRAFIKA NA OKŁADCE:
JERZY SKAKUN DLA „TP"

REDAKTOR PROWADZĄCY:
MAREK RABIJ

47 Wiara bez pośredników
EDWARD AUGUSTYN *o książce ks. Grzegorza Strzelczyka: Polski katolicyzm wymaga oczyszczenia z magii*

49 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA SJ
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ HISTORIA

50 Dwoje z pokolenia
BEATA CHOMĄTOWSKA:
Nowa książka o Helenie Wolińskiej i Włodzimierzu Brusie nie przynosi łatwych odpowiedzi

■ ■ NAUKA

54 Mózg nastolatka to plac budowy
ILONA KOTLEWSKA:
Nie ustają debaty nad tym, jak nowe technologie wpływają na mózg i psychikę młodych ludzi

■ ■ KULTURA

62 Kiedy słowa zatańczą

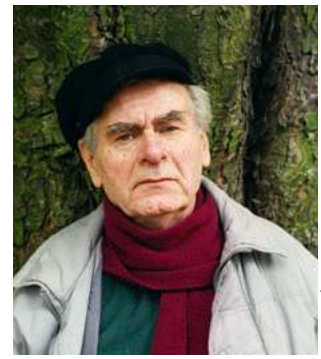

PIOTR WÓJCIK / AGENCJA WYBORCZA.PL

WOJCIECH BONOWICZ *żegna Wiesława Myśliwskiego*

68 Kraj trzech prędkości
JACEK STAWISKI ROZMAWIA Z MICHAŁEM NIEZABITOWSKIM:
Jak zachęcić polski sektor prywatny do inwestowania w muzea?

72 Sam w Nowym Jorku
MICHAŁ CHOIŃSKI:
Joseph Mitchell stworzył swój język opowieści o największym mieście Ameryki

74 Luka w empatii
ANITA PIOTROWSKA *zaprasza na film „Łobuz" Harrisa Dickinsona*

75 Czeskie bogactwo
LEKTOR *o antologii poezji południowych sąsiadów*

■ ■ ZMYSŁY

78 Modraszki na swoim:
PAWEŁ PSTROKOŃSKI:
Spójrzmy na miasto oczami ich pełnoprawnych mieszkańców – sikorek

eprasa.pl 2b98c8e853

KS. ADAM

Boniecki: *Chrześcijanie i Żydzi*

O stosunku do Żydów napisano tyle, że aż pisać się nie chce. Antysemityzm jest stary i, co gorsza, miał spore wsparcie w katolicyzmie. Dopiero ostatni Sobór pokazał inny sposób myślenia o Żydach. Ale przez stulecia... lepiej nie mówić. To było jakby oczywiste (bo nie przyjęli Chrystusa), a jednocześnie było straszliwie niehistoryczne, bo w końcu pierwsi apostołowie, pierwsi słuchacze, pierwsi świadkowie i On sam – to wszystko byli Żydzi.

Zabili Jezusa Żydzi – to fakt – z pomocą Rzymian. Ale to nie oznacza odpowiedzialności zbiorowej. Już wtedy byli tacy, co byli przeciw Niemu, i tacy, którzy byli za Nim, którzy cierpieli z powodu Jego klęski, którzy uwierzyli w Jego zmartwychwstanie. Za dawanie o tym świadectwa zapłacili wysoką cenę. A że inni uznali to za zamach na ich tradycję i wiarę... trudno się dziwić. Historia Jezusa jest krótka i bardzo dziwna, a Kościół uczy, że tamten tłum wysyłający Go na krzyż symbolizuje nas wszystkich.

Ale dziwniejsze jest to ciągłe odradzanie się antysemityzmu. Po tym wszystkim, co Żydzi przeszli za czasów Hitlera... Jesteśmy straszni czy może tak głęboko weszły w nas obrazy dominujące w świecie chrześcijańskim od wieków, że nowe, przytomne myślenie wciąż nie może się przebić?

Patrzę na historię Narodu Wybranego jako człowiek wierzący i jako Polak. Z religijnych zapisów wynika niezbicie, że Żydzi nawet jeśli byli przez Boga wybrani, nie zawsze byli narodem wzorowym. Nie byli i nie są.



GRAŻYNA MAKARA



GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP

MAREK

Rabij: *„Jak będę duży”*

Mam wrażenie, że przywilej młodości ustąpił miejsca sztuce bycia młodym. Jeśli tak jest i perspektywy nie zakłóca mi już smuga nachodzącego na metrykę cienia, to mówimy zarazem o zmianie i na lepsze, i na gorsze.

Pracując wraz z Przemkiem Wilczyńskim nad raportem o samotności młodych Polaków, mieliśmy okazję rozmawiać z kilkoma osobami z pokolenia rówieśników naszych dzieci. Zostały mi z tych spotkań dwie obserwacje.

Pierwsza – to uznanie dla ich dojrzałości, rozumianej jako świadomość tego, że w życiu scenariusz optymistyczny realizuje się rzadziej od tego najgorszego. Młodzieńcze „jakoś to będzie” zdaje się być postawą obcą współczesnym dwudziesto- a nawet trzydziestolatkom. Wizja dorosłego życia, o którym opowiadają, to raczej rodzaj pokazu mistrzowskiego: jeśli nie masz pewności, że kontrolujesz najdrobniejsze szczegóły, po prostu nie wchodzisz na scenę. Nie z lenistwa, o które zwykli oskarżać zetki starsi.

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

ZAMÓW PRENUMERATĘ TERAZ STRONA 39

SPRAWDŹ PROMOCYJNĄ OFERTĘ: PRENUMERATA.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

eprasa.pl 2b98c8e853

Naród „wybrany” nie znaczy więc „wzorowy”, czego zresztą my, Polacy, mający skłonność do uważania się za wybranych, moglibyśmy się z tej historii nauczyć.

I nie mówcie, że Żydzi są „jacyś”. Są, jak każde społeczeństwo, różni. Życie w diasporze, stan niemal nieustannego zagrożenia, Zagłada, być może wyostrzyły w nich pewne cechy i postawy – ale uruchamiały też poczucie winy w narodach, które mają świadomość, że nie wszystko w relacjach z nimi było w porządku.

Myślę, że odrabianie historycznych win nie jest łatwe. Nie jest łatwe dla tych, przeciwko którym ta niechęć (często nienawiść) była kierowana. Nie jest łatwe dla chrześcijan, którym bywało wygodnie wskazywać na Żydów, zamiast popatrzeć na siebie. Zmiany postaw przebiegają powoli, zwłaszcza jeśli przykład nie idzie z góry. Mam wrażenie, że soborowe zmiany, umacniane za czasów pontyfikatu Jana Pawła II, wpłynęły na zmianę sposobu myślenia wielu katolików, ale proces ten jest powolny czy wręcz się cofnął – pisze o tym więcej w numerze Michał Okoński. Choć jak się popatrzy w przeszłość nieco odleglejszą – to jednak można mówić o postępie. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego”

Bardziej z przekonania, że rodzina, relacje w parze to roślina zbyt cenna, by posiać ją od niechcenia.

W trakcie pracy nad tekstem przypominało mi się zdanie, które słyszałem ostatnio wiele razy, nie tylko od osób z metryką kwalifikującą do generacji Z. „Jak będę duży”. Rzucona półżartem klauzula wyłączenia odpowiedzialności za własne życie. Słyszałem ją od ludzi, którzy czasem heroicznie zmagają się z losem, odnosząc przy tym zwycięstwa niejako wbrew zdrowemu rozsądkowi.

A więc marzy się nam wszystkim świat urządzony wedle przywileju młodości, w którym każdą decyzję można cofnąć umownym Ctrl Z. Niestety, podobne marzenia mają także młodzi, którzy powinni być wolni od takiego ciężaru – i to właśnie ta druga obserwacja.

Międzypokoleniowe apele zalatują dydaktycznym smrodkiem, ale w pierwszym odruchu chciałem zakończyć właśnie krzepiącym przekazem dla młodych. Czymś w rodzaju: „Jeśli to czytacie, przyjmijcie, proszę, do wiadomości, że jeśli my jako tako daliśmy radę w grze w relacje, dacie radę i wy”. A potem przypomniałem sobie o ostatnich statystykach, z których wynika, że w zeszłym roku na każde 10 zawartych małżeństw przypadały średnio cztery rozwody.

Nie tylko młodzi mają problem z byciem w parze. ©℗

Dziennikarz ekonomiczny, redaktor działu Kraj. Autor książek nominowanych m.in. do Nagrody im. Teresy Torańskiej i do Grand Press.

TP WKRÓTCE W „TYGODNIKU”

MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA
Dzieci w pętli algorytmów. Jak je bronić przed uzależnieniem od social mediów? Czy zakaz używania telefonów w szkołach, z którym wystąpił rząd, rozwiąże problem?

WOJCIECH ŚMIEJA
Autor książki „Po męstwie” o tym, dlaczego polscy mężczyźni czują się obywatelami drugiej kategorii. Czy panowie są faktycznie dyskryminowani?

MARCIN MATCZAK
Od tzw. sprawy kłodzkiej, po „Lex Trynkiewicz”. Dlaczego w Polsce nagle wraca dyskusja o przywróceniu kary śmierci? Czy tzw. społeczne poczucie sprawiedliwości powinno znaleźć odzwierciedlenie w kodeksie karnym?

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

Zapisz się na newsletter
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/PODKAST

eprasa.pl 2b98c8e853

OBRAZ TYGODNIA

31 MARCA – 3 KWIETNIA 2026

EPICKA FURIA: już piąty tydzień Donald Trump zapowiada rychły kres operacji w Iranie (a w orędziu do narodu dorzucił też groźbę cofnięcia tego kraju do „epoki kamienia"), ale sytuacja na Bliskim Wschodzie od samych słów nie chce się zmienić. ■■■ **PAPIEROWY TYGRYS** – tak Trump nazwał NATO w wywiadzie dla brytyjskiego „The Telegraph", dodając, że niektórzy sojusznicy są „bardzo źli" i że Stany nie potrzebują Sojuszu. ■■■ **ZMNIEJSZENIE LICZBY ŻOŁNIERZY USA** w Europie zasugerował republikański senator Lindsey Graham w związku z tym, że Europejczycy nie udzielili jego krajowi pomocy w wojnie z Iranem. ■■■ **PAM BONDI,** amerykańska prokuratorka generalna nadzorująca śledztwa w sprawie Jeffreya Epsteina, została odwołana. To kolejna, po szefowej Ministerstwa Bezpieczeństwa Krajowego Kristi Noem, wysoka urzędniczka pozbawiona funkcji w ostatnim czasie. ■■■ **EMMANUEL MACRON** zareagował na zaczepkę Trumpa, który powiedział, że żona francuskiego prezydenta traktuje go źle. Takie komentarze „nie są ani eleganckie, ani na poziomie" – ocenił goszczący w Seulu Macron. ■■■ **J.D. VANCE** wybiera się na Węgry przed wyborami w tym kraju. Wsparcie Ameryki dla Viktora Orbána wciąż nie wpływa na postawy wyborców: opozycyjna Tisza wyprzedza Fidesz w większości niezależnych sondaży. ■■■ **W IZRAELU** przywrócono karę śmierci dla oskarżanych o terroryzm Palestyńczyków z Zachodniego Brzegu Jordanu. Skazańcy mają być wieszani w ciągu 90 dni od wyroku. ■■■ **ORBITĘ KSIĘŻYCA** okrążą ludzie. Załogowa misja Artemis II jest pierwszą tego typu po 53 latach. ■■■ **NIEMCY TANKUJĄ** w Polsce. Po wprowadzonej przez rząd obniżce cen paliw litr benzyny jest u nas tańszy o 3 zł. ■■■ **POLSKA PRZEGRAŁA Z PFIZEREM** proces o zerwanie przez rząd Morawieckiego kontraktu na dostawę szczepionek na covid. Zgodnie z wyrokiem trzeba odebrać (i najpewniej zutylizować) pozostałe dawki i wypłacić koncernowi blisko 6 mld zł; resort zdrowia podkreśla, że ta kwota to roczny koszt leków dla pacjentów onkologicznych. ■■■ **MATEUSZ MORAWIECKI** zapowiada powołanie nowego stowarzyszenia dla wyborców centrum i ostro krytykuje frakcję ziobrystów w PiS. ■■■ **KAROL NAWROCKI** odebrał ślubowanie od dwojga spośród sześciorga wybranych przez Sejm sędziów Trybunału Konstytucyjnego i zignorował pytania o zaprzysiężenie następnych; głowa państwa uważa, że w TK były tylko dwa wakaty. ■■■ **KOPALNIA WUJEK** po 127 latach funkcjonowania symbolicznie zakończyła działalność. Przez najbliższe 4 lata to historyczne miejsce będzie przygotowywać się do nowych funkcji. ■■■ **PIŁKARSKA REPREZENTACJA** Polski nie zagra na mundialu. W finale baraży, mimo dobrej gry, przegraliśmy ze Szwecją 3:2. ■■■ **IGA ŚWIĄTEK** zmieniła trenera. Po serii słabszych występów nowym szkoleniowcem tenisistki został Hiszpan Francisco Roig. ■■■ **MILIARD ZŁOTYCH** przekroczyło zadłużenie 181 tys. osób wpisanych do Krajowego Rejestru Długów. ©℗



ALEX BRANDON / AP / EAST NEWS

NASZE SOJUSZE

POWYŻEJ:
Donald Trump wygłasza orędzie do narodu. Waszyngton, 1 kwietnia 2026 r.

Czy erozja znaczenia USA dla bezpieczeństwa Europy osiągnęła za sprawą Trumpa apogeum? Czy wojna z Iranem zwiastuje koniec NATO w obecnej formule?

OLAF OSICA

W niedawnym wywiadzie dla „The Telegraph" Donald Trump powiedział: „Nigdy nie dałem się przekonać do NATO. Zawsze wiedziałem, że to papierowy tygrys, i Putin też o tym wie". Z kolei na pytanie agencji Reuters, czy rozważa wycofanie USA z NATO, odparł: „Zdecydowanie, bez wątpienia. Nie zrobilibyście tego na moim miejscu?".

Wprawdzie nie powtórzył i nie rozwinął obu myśli podczas orędzia o stanie wojny z Iranem, wygłoszonego nocą z 1 na 2 kwiet-

eprasa.pl 2b98c8e853



nia czasu polskiego. Jednak słowa, które płyną do nas z Waszyngtonu w tych dniach, zapowiadają kolejny rozdział rozpadu sojuszu Ameryki i Europy.

ODMOWA | Tym razem powodem irytacji Trumpa jest odmowa wsparcia przez natowskich sojuszników wojny w Iranie, którą Trump rozpoczął razem z Izraelem.

Włochy i Wielka Brytania odmówiły udostępnienia swoich baz na potrzeby operacji „Epicka Furia". Hiszpania całkowicie zamknęła swą przestrzeń dla amerykańskich lotów wojskowych, a Francja zaostrzyła ich kontrolę, eliminując – według doniesień prasowych – loty z uzbrojeniem dla Izraela.

W żadnym państwie, także w Polsce, nie ma nie tylko woli do wsparcia Waszyngtonu i Tel Awiwu, ale dominuje przekonanie, że atak na Iran był błędem, z którego Amerykanie powinni jak najszybciej wyciągnąć wnioski.

Jednak według Trumpa w Iranie „Ameryka wygrywa bardziej niż kiedykolwiek". Sekretarz wojny Pete Hegseth dodaje, że choć Iran nie jest zagrożeniem dla bezpieczeństwa USA, to Ameryka „podejmuje wysiłek w tej skali w imieniu wolnego świata".

Zdaniem Trumpa i Hegsetha sojusznicy są więc nie tylko niewdzięczni, odmawiając pomocy, ale nie chcą być częścią tej wspaniałej historii.

TRUMPIADA | Od początku drugiej kadencji Trumpa wiemy, że jego słowa i cała komunikacja polityczna Białego Domu opiera się w najlepszym razie na braku spójności i konsekwencji, a w najgorszym na zmyślaniu historii lub szantażu. Tak jest również w przypadku wojny z Iranem, której cel pozostaje nieznany. Za to Trump oznajmia, że Teheran chciał uczynić go nowym najwyższym przywódcą Iranu („Nie, dziękuję. Nie chcę tego").

Podobnie jest z wyjściem z NATO. Od 2023 r. prawo federalne USA ogranicza możliwość jednostronnego wyjścia prezydenta USA z NATO, wymagając albo zgody Senatu większością 2/3 głosów obecnych senatorów, albo odrębnej ustawy Kongresu.

Czy to zatem kolejna trumpiada, z której nic nie wyniknie? Czy może jednak zobaczymy przyspieszoną redukcję wojsk amerykańskich w Europie, abyśmy „uczyli się walczyć sami" (Donald Trump)? Albo/oraz wycofanie się Waszyngtonu ze struktur wojskowych Sojuszu, jak zrobił to francuski generał de Gaulle w 1966 r.? Bo do obu tych kroków zgoda Kongresu nie jest potrzebna.

NAKAZ ROZUMU | A może właściwsze jest inne pytanie: czy chcemy dalej traktować Trumpa jak cesarza, który może kciukiem skazać nas na śmierć lub darować życie? Czy też może czas zakrzyknąć, że król jest nagi?

Po pierwsze, Trump wpadł w sidła uwielbianej przez siebie logiki biznesowej. Tylko relacja kosztów i korzyści, a nie idee i zasady, są dla niego podstawą współpracy. Ale w takim ujęciu koszty ewentualnego poparcia USA na Bliskim Wschodzie przez europejskich sojuszników przewyższają wszelkie korzyści, polityczne i ekonomiczne. To wojna z wyboru, z trudnym i zdesperowanym wrogiem.

Także z formalnego punktu widzenia nie jesteśmy zobowiązani do pomocy: Iran nie zaatakował żadnego członka Sojuszu. Gdybyśmy ją jednak teraz okazali, byłoby to odebrane w Białym Domu jako akt poddaństwa, a nie wyraz sojuszniczej solidarności. Taka jest logika ekipy Trumpa.

Nakazem rozumu jest zatem trzymanie się z dala od irańskiej awantury. Chyba że zrobimy deal: USA porzucą Rosję i doprowadzą do wygranej Ukrainy, a Sojusz pomoże swojemu największemu członkowi wygrzebać się z tej bezsensownej wojny. Ale na taki deal nie ma szansy.

OBJAW SŁABOŚCI | Po drugie, szantażując wyjściem z NATO, Trump pokazuje słabość, nie siłę. Obrażanie partnerów, mówienie o ich nieistotności, a następnie domaganie się ich wsparcia pachnie desperacją. Oczywiście, gdyby atak na Iran przyniósł szybkie rozstrzygnięcie po myśli Trumpa, miałby powód do świętowania sukcesu. Ale taka jest natura zakładów hazardowych: jak wygrywasz/przegrywasz, to wygrywasz/przegrywasz wszystko.

Dlatego wiele poprzednich administracji USA, szykując się do regionalnych konfliktów, szukało sposobów na wciągnięcie sojuszników, konsultując ich wcześniej, obiecując korzyści i rozgrywając jednych przeciw drugim. Sukces i tak byłby amerykański, za to porażka rozkładałaby się na wiele państw. Pamiętamy miesiące przed inwazją na Irak w 2003 r. i naszą w niej rolę.

UPADEK MITU | Po trzecie, przeszacowanie własnych zdolności przyniosło upadek jeszcze jednego mitu: o potędze produkcyjnej przemysłu zbrojeniowego w USA. Choć opóźnienia w dostawach nie są niczym nowym (na początku roku Szwajcaria dowiedziała się, że zamówione systemy Patriot i samoloty F-35 nie dotrą na czas, za to będą kosztować więcej), to intensywne strzelanie do irańskich rakiet i dronów splądrowało amerykańskie składy amunicji.

I to do tego stopnia, że USA przeniosły z Korei Południowej na Bliski Wschód część systemów Patriot i THAAD. Doniesienia o sondowaniu Polski w sprawie użyczenia jednej z dwóch baterii Patriotów nie wzięły się znikąd. To jednak własność nasza, a nie, jak w Korei, amerykańska, więc mogliśmy się nie zgodzić.

PUNKT ZWROTNY | Jeśli operacja „Epicka Furia" jest takim obciążeniem dla arsenałów USA, to czym byłaby wojna o Tajwan? Musimy zaakceptować fakt, że Ameryka nie tylko może nie mieć ochoty nas bronić, ale że nawet gdyby chciała, to nie miałaby czym. A przecież rosyjskie zagrożenie pozostaje na tym samym poziomie od kilku lat.

Czy zatem erozja znaczenia Ameryki dla bezpieczeństwa Europy osiągnęła za sprawą Trumpa apogeum? Czy wojna w Iranie zwiastuje koniec NATO w obecnej formule? A może jedno i drugie?

Jesteśmy w momencie zwrotnym historii Sojuszu. Nie dlatego, że Donald Trump rozważa wyjście z NATO, lecz dlatego, że jego rozważania nie mają już dla nas większego znaczenia. „Koń jaki jest, każdy widzi". I żadne zaklęcia o niezbędności Ameryki dla NATO już tego niestety nie zmienią. ©

eprasa.pl 2b98c8e853



Kreml wraca na salony

PIOTR KOSIEWSKI

W roku 2022 ukraińscy artyści wycofali się z udziału w Biennale Sztuki w Wenecji. Rosyjski pawilon na tej prestiżowej imprezie, cieszącej się ogromnym zainteresowaniem publiczności (ostatnią jego edycję obejrzało ponad 700 tys. osób), także pozostał zamknięty. Rosja została wykluczona z większości ważnych wydarzeń kulturalnych, z festiwalami w Cannes i Wenecji na czele. Współpracę zerwały najważniejsze europejskie oraz amerykańskie teatry, muzea i galerie.

Ostatnio na łamach moskiewskiej „Prawdy" mogliśmy jednak przeczytać, że w tym roku w rosyjskim pawilonie coś się będzie działo. „Rosja nigdy nie opuściła Biennale" – przekonuje Michaił Szwydkoj, były minister kultury, a obecnie delegat ds. międzynarodowej wymiany kulturalnej, zapytany przez magazyn „Artnews" o powrót do Włoch. Na początku maja ma się tam odbyć spektakl muzyczny „Drzewo zakorzenione w niebie" z udziałem Rosjan, a w trakcie samej wystawy w pawilonie będzie prezentowany zapis tego wydarzenia. To dowód, podkreśla Szwydkoj, że „kultura rosyjska nie jest odizolowana i że próby jej wykreślenia, podejmowane przez zachodnie elity polityczne w ciągu ostatnich czterech lat, zakończyły się niepowodzeniem".

Obecność w Wenecji to kolejna próba przełamania bojkotu Rosji. Wybór miejsca i daty spektaklu nie jest przypadkowy. Dokładnie w tych dniach odbywają się oficjalne otwarcia pawilonów narodowych, najczęściej z przedstawicielami rządów państw obecnych na Biennale. Zwiedzają je przedstawiciele najważniejszych instytucji, artyści i artystki oraz media. To szansa na dotarcie do wpływowej, opiniotwórczej publiczności.

Nie jest to zresztą jedyna w ostatnim czasie próba przełamania izolacji Rosji. Jednak przypadek weneckiego Biennale jest szczególny, ponieważ organizowane tam wydarzenia są bezpośrednio powiązane z Kremlem. Pawilonem zarządza agencja Smart Art założona przez Anastazję Karniejewą, córkę Nikołaja Wołobujewa, wiceprezesa korporacji państwowej Rostec i emerytowanego oficera FSB, oraz Jekaterinę Winokurową, córkę ministra spraw zagranicznych Siergieja Ławrowa.

Włoskie media zażądały od organizatorów wyjaśnień, a 22 europejskich ministrów kultury wezwało do ponownego rozważenia udziału Rosji w imprezie. Przedstawiciele Komisji Europejskiej ostrzegli, że Biennale może stracić 2 miliony euro finansowania. Protestują też ludzie sektora kultury. Tymczasem Włosi bronią swej decyzji, mają też wsparcie wicepremiera Matteo Salviniego, od lat popierającego Putina. Stawka jest wysoka: chodzi nie tylko o wiarygodność Biennale, ale przede wszystkim Unii Europejskiej. ©



GABRIEL BOUYS / AFP / EAST NEWS

Pawilon Rosji, który został przypisany Boliwii, podczas otwarcia Biennale w Wenecji, 17 kwietnia 2024 r.



Apage, Thiel

EDWARD AGUSTYN

Rzadko się zdarza, by watykańskie instytucje wdawały się w polemiki z prywatną osobą. W ubiegłym tygodniu zdecydowała się na to Papieska Akademia Teologiczna, krytykując poglądy Petera Thiela, miliardera z Doliny Krzemowej, który w dodatku ani nie jest katolikiem, ani nie powołuje się na doktrynę Kościoła (pisze o tym również Michał Okoński na str. 16). Można przypuszczać, że powodem jest wpływ kalifornijskiego ideologa na nową amerykańską prawicę, w tym na najbliższych doradców i współpracowników Donalda Trumpa. Nie bez znaczenia był też fakt, że w ostatnich tygodniach Thiel gościł w Rzymie z serią wykładów o Antychryście i grzechu pierworodnym, w których przedstawiał swoją wizję świata pogrążonego w walce dobra (nowe technologie i silna, narodowa władza) ze złem (globalne instytucje, demokracja). Wygłaszanych dla grona wybranych osób i w atmosferze tajemniczości.

Opublikowany na stronie internetowej akademii dokument, podpisany przez jej przewodniczącego, bp. Antonia Staglianò polemizuje z jedną z najbardziej znanych tez Petera Thiela, że „sprawiedliwa wojna jest lepsza niż fałszywy pokój". Amerykański technomiliarder przekonuje, że skoro „przemocy nie dało się wyeliminować rozumem", jak oszukańczo obiecywali oświeceniowi myśliciele, należy ją uznać za konieczność. A w takiej sytuacji prawo, demokracja czy organizacje międzynarodowe, typu ONZ, są „figurą Antychrysta", bo ich fundamenty zbudowane są na kłamstwie.

Biskup Staglianò odrzuca taki sposób myślenia, przeciwstawiając mu chrześcijańską wizję człowieka, która uważa ludzką naturę za „pierwotnie dobrą", stworzoną na obraz i podobieństwo Boga, choć skażoną już u zarania grzechem. „Przemoc jest raną, a nie nieuchronnym losem" – pisze biskup. Ostrzega też przed instrumentalizacją religii i wykorzystywaniem kategorii teologicznych, takich jak Antychryst czy grzech pierworodny, w walce politycznej i legitymizowaniu wojny.

Polemika prezydenta Papieskiej Akademii Teologicznej pokazuje, że Kościół nie zamierza milczeć w obliczu rozprzestrzeniania się „amerykańskiej herezji", która gloryfikuje władzę autorytarną, deifikuje sztuczną inteligencję, podważa racje istnienia globalnych organizacji pokojowych i wykorzystuje religię do budowania monopolu technologicznego i biznesowego albo walki politycznej. ©℗

eprasa.pl 2b98c8e853

Artemis II: zaproszenie do tańca



NASA

Konferencja prasowa załogi Artemis II, 2 kwietnia 2026 r.

KOSMOS ▪ Zwyczaj żegnania odkrywców wyruszających w podróż jest stary jak nasza cywilizacja; zarzuciliśmy go jednak, gdy na Ziemi opisaliśmy wszystkie lądy i morza. Ludzi, którzy w poprzedni wtorek na przylądku Canaveral oglądali start misji Artemis II, łączyło jednak dużo z tymi żegnającymi kiedyś Kolumba w Palos. Również to, że ze znaczenia tej chwili mogą zdać sobie sprawę dopiero po dekadach.

Program Artemis – którego pierwszy efektowny akt, przelot w okolicy Księżyca, w chwili oddania tego numeru do druku powinien być już za nami – to początek serii przedsięwzięć, których celem jest założenie stałych baz na innych ciałach niebieskich. Innymi słowy, zamieszkanie poza Ziemią. W przeszłości śmiałe kosmiczne pomysły temperowały pieniądze i politycy; nie ma gwarancji, że i teraz tak się nie stanie. Wyścig Amerykanów (ale i Europejczyków, którzy dostarczają tzw. moduł serwisowy) z Chińczykami (którzy utrzymują, że wyślą ludzi na Księżyc już za cztery lata) jest jednak inny niż rywalizacja z ZSRR z czasów programu Apollo.

Kilka tygodni temu NASA zmieniła grafik kolejnych lotów; mimo upolitycznienia amerykańskich agencji federalnych, szukanie na Księżycu wody i założenie bazy do lotów w kierunku Marsa wydaje się wciąż ważniejsze od ambicji tego czy innego prezydenta. Jeśli statek „Integrity" i jego czteroosobowa załoga zbliżają się w tych dniach bezpiecznie do Ziemi, duża w tym zasługa wiedzy i doświadczenia z poprzednich dekad. System SLS, którego rakiety wyniosły astronautów w kosmos, działa podobnie jak zespół nośny wahadłowców. Manewry umożliwiające ostateczną konfigurację statku na orbicie – najwcześniej w połowie 2027 r. przećwiczy je załoga Artemis 3 – przypominają te wykonywane przez astronautów Apollo.

Nie wiemy jeszcze, jak będzie wyglądał lądownik księżycowy (nad ich modelem pracują firmy SpaceX i Blue Orgin), wiadomo jednak, że podczas misji Artemis 4 poleci on w okolice Księżyca osobno i dopiero tam połączy się z nimi podróżująca z Ziemi załoga. Śledząc przyszłe misje będziemy oglądać ujęcia podobne do słynnej sceny dokowania z filmu „2001. Odyseja kosmiczna" – może nieco skromniejsze, lecz nie mniej spektakularne, bo prawdziwe. Walc „Nad pięknym modrym Dunajem" będzie jak zaproszenie do nowego tańca w kosmosie.

Lęk i zmartwienie sprawami świata – klimatem, wojnami, Putinem i Trumpem – przypominały w tę Wielkanoc Boże Narodzenie 1968. Mówiono, że okrążająca Księżyc misja Apollo 8 i wykonane z jej pokładu słynne zdjęcie wschodu Ziemi „uratowały" tamten niespokojny rok. Może i dziś potrzebujemy takiego ratunku?

© MARCIN ŻYŁA

BARTOSZ MINKIEWICZ

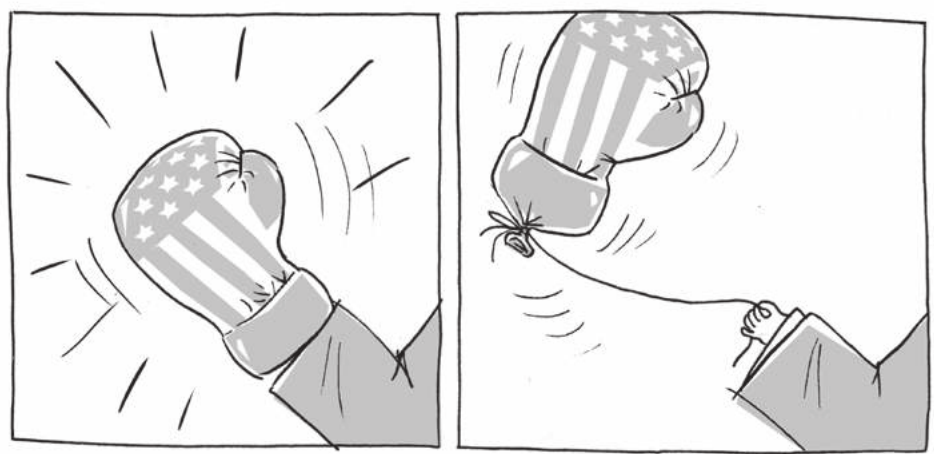

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

eprasa.pl 2b98c8e853

TEMAT TYGODNIKA

PIERWSZA OSOBA LICZBY POJEDYNCZEJ

Już niemal co drugi Polak przed trzydziestką jest singlem. Czy to tylko zgubny wpływ platform społecznościowych i kulturowego prymatu jednostki?

MAREK RABIJ, PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI



JERZY SKAKUN DLA „TP"

Wyobraźmy sobie, że mamy połowę roku 2008. We wsi Izdebki na Podkarpaciu właśnie oddano do użytku pierwszego „Orlika". Sławomir Mrożek ponownie wyprowadził się z Polski. Dolar kosztuje ledwie 2,02 zł, a w mediach trwają rozliczenia niedawnej porażki polskiej reprezentacji na Euro w Austrii i Niemczech. Najpopularniejszymi imionami nadawanymi dzieciom są Julia i Jakub.

Zatem nazwijmy tak również naszych hipotetycznych bohaterów. Niedawno przyszli na świat w małej miejscowości. Dokładnie za osiemnaście lat – w roku 2026 – będą chodzić do tej samej klasy tego samego, jedynego w miasteczku liceum. Być może nawet odtańczą wspólnie poloneza na studniówce.

Ale po ukończeniu szkoły Julia i Jakub pójdą w swoją stronę. Miną się nie tylko ze sobą nawzajem: przez kolejną dekadę z hakiem każde z nich będzie się także mijać z rówieśnikami płci przeciwnej w każdym możliwym sensie: geograficznym, emocjonalnym, mentalnym, a nawet fizycznym.

Będzie to właśnie tekst o mijaniu. O tym, że spotkanie młodej Polki i młodego Polaka – zakończone trwałym związkiem, zgodnie z wyobrażeniami i przyzwyczajeniami starszych generacji – jest dziś czasami utrudnione, czasem niemożliwe, a nierzadko zgoła niechciane.

eprasa.pl 2b98c8e853

– Lubię w tym kontekście przywoływać metaforę „fistaszkową”, zaczerpniętą z amerykańskiego komiksu „Peanuts”, gdzie Charlie, jeden z bohaterów, uważał, że dorosłość zaczyna się wtedy, gdy musisz się przesiąść z tylnego siedzenia samochodu na przednie – mówi nam prof. Tomasz Szlendak, socjolog z toruńskiego UMK, badacz relacji społecznych. – Z badań nad pokoleniem Z widać, że oni się na to przednie siedzenie przenosić nie chcą. A że bycie w związku uważają za jeden z atrybutów tej zmiany miejsca, to również ten atrybut pomijają.

Julia i Jakub przyspawają się do swoich tylnych siedzeń na co najmniej kilkanaście najbliższych lat.

Spóźnieni

Dlaczego Julia poszła na studniówkę z Kubą? Nie są parą – po prostu przyjęło się, że na taką imprezę idzie się we dwoje. W ich klasie tylko co czwarta osoba jest w stałym związku – to zaledwie siedem, osiem sparowanych osób.

W ciągu kolejnych siedmiu lat niewiele się pod tym względem zmieni – z trzydziestki byłych uczniów, którzy wyfruną już w świat, ponad połowa będzie kontynuować naukę, a tylko co trzeci znajdzie do 25. roku życia partnera lub partnerkę. Do trzydziestki aż trzynaście osób z tej byłej klasy pozostanie samotna, mniej więcej tyle samo będzie nadal mieszkać z rodzicami.

Nie zmyślamy. To statystyki zawarte w dopiero co ogłoszonym przez Polskie Towarzystwo Polityki Społecznej raporcie „Diagnoza Młodzieży”, które pokazują, że w grupie wiekowej 18-29 lat samotnych pozostaje 44 proc. Polaków, zaś wśród starszych, bo w przedziale 25-34, ponad połowa mieszka z rodzicami.

– Dzisiejszy dwudziestopięciolatek to pod pewnymi względami niegdysiejszy szesnasto-, siedemnastolatek – mówi prof. Szlendak, zawierając w tym skrócie myślowym prostą konstatację: i jeden, i drugi ma przed sobą jeszcze co najmniej kilka lat młodości, z różnymi jej atrybutami, takimi jak np. nauka. – W ciągu ostatniego ćwierćwiecza średni czas trwania edukacji młodego Polaka wydłużył się z 14 do 22 lat. Jeśli kształcę się do trzydziestki, to siłą rzeczy nie sprzyja to krokom zmierzającym do stabilizacji – dodaje socjolog.

Takich progów zwalniających na drodze do dorosłości jest zresztą więcej, na czele z niedostępnymi dla młodego pokolenia mieszkaniami. Jak podają autorzy wspomnianego raportu, koszty najmu i zakupu nieruchomości pochłaniają od 35 do 55 proc. dochodu rozporządzalnego młodych Polaków, „co czyni samodzielność finansowo nieosiągalną dla dużej części pokolenia”. Równocześnie aż 44 proc. młodych dorosłych, a więc Polaków między 19 a 29 lat, uznaje wyprowadzkę od rodziców za najważniejszy symbol dorosłego życia.

Oczywiście, kontynuacja nauki i mieszkanie pod dachem matki i ojca nie muszą wykluczać życia w parze – ale jednak w praktyce często je wykluczają. Bycie w stałym związku to dziś dla wielu przedstawicieli pokolenia Z nieodłączny atrybut dorosłości, którą odsuwają w czasie, bo jawi im się jako ambitny, arcytrudny życiowy projekt.

– Choć warto w tym względzie dokonać rozróżnienia klasowego, bo wewnętrzne różnice w ramach pokolenia Z bywają nawet większe niż pęknięcia międzygeneracyjne – zastrzega prof. Szlendak, gdy pytamy go o ten wyższy próg obaw przed projektem „dorosłe życie”. – Poczucie, że dorosłość i rodzina są czymś niesłychanie trudnym, wymagającym wielu zasobów, jak mieszkanie i praca, dotyczy młodych z klasy średniej. To na tych ludzi działa też presja kultury pop-psychologii, która przedstawia związki jako ciężką robotę, także emocjonalną. Dlatego o ile trzydzieści lat temu ludzie w ten dorosły świat po prostu wchodzili, dzisiaj się kilka razy zastanawiają. A nawet antycypują porażkę. ↦



eprasa.pl 2b98c8e853

↦ Ta może być zresztą efektem napięć związanych z brakiem mieszkania. – Spotykałam się swego czasu z 33-letnim facetem, i dopiero na którymś spotkaniu z kolei wyznał, że mieszka z rodzicami – opowiada nam Zuzanna, 26-letnia singielka z Warszawy. – Powiem szczerze, odepchnęło mnie to od niego. Wiem, że nie jest łatwo na rynku mieszkaniowym, zwłaszcza w dużym mieście, ale są też inne opcje, choćby współdzielenia z kimś lokum. A jeśli ktoś, kto jest wyraźnie starszy ode mnie, mówi mi, że mieszka z rodzicami, to trudno mi się przy kimś takim rozwijać. W tamtej relacji więcej rzeczy się nie zgadzało, ale informacja o mieszkaniu z rodzicami była gwoździem do trumny.

Gdy pytamy Zuzannę, jak widzi własne pokolenie i jego niechęć do łączenia się w pary, 26-latka odpowiada: – Nie powiedziałabym, że to jest niechęć, ale że dzisiaj trudniej jest w te związki wchodzić. Jesteśmy generacją, która ma duże wymagania – i od siebie, i od innych. Mamy wartości, cele, których się trzymamy, i jest to ważne także w dobieraniu partnera. Dzisiaj po prostu selekcja jest większa, a przypadkowość w dobieraniu partnerów mniejsza. Jestem singielką, ale nie jest mi z tym źle. Wolę być sama, niż tkwić w relacji byle jakiej.

Z różnych światów

Julia i Jakub, nasi fikcyjni bohaterowie z miasteczka pokroju Chełmży, Hajnówki czy Przeworska, za moment skończą liceum. Ona przeniesie się do dużego, niezłego ośrodka akademickiego – w Toruniu, Warszawie czy Krakowie – a on zostanie na tzw. prowincji, poprzestając w najlepszym razie na studiach w filii mało znanej uczelni, ewentualnie szkole policealnej.

Znowu: to nie publicystyczne odklejenie, tylko refleks twardych statystyk, które od lat pokazują nierównomierny poziom migracji do dużych miast młodych Polek i Polaków. Z najnowszych danych KRUS można wyczytać, że w ciągu ostatniej dekady liczba kobiet w wieku 16-49 lat ubezpieczonych w tej instytucji spadła o połowę, a w roku 2024 na wsi mieszkało o 166 tys. mniej kobiet niż mężczyzn w wieku 20-44 lata. – To trend widoczny od dawna – mówi prof. Szlendak. – Skutkuje tym, że w aglomeracjach mamy o kilkanaście procent więcej młodych kobiet niż panów.

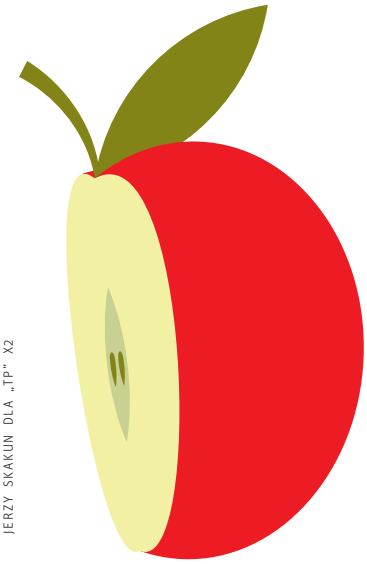

JERZY SKAKUN DLA „TP" X2

W ostatnim ćwierćwieczu średni czas trwania edukacji młodego Polaka wydłużył się z 14 do 22 lat. Jeśli kształcę się do trzydziestki, to siłą rzeczy nie sprzyja to krokom zmierzającym do stabilizacji.

Julka i Kuba zapłacą za to nie tylko minięciem się nawzajem. On, być może nieco sfrustrowany pozostaniem w miejscu, nie znajdzie partnerki, nawet jeśli już bardzo zechce – bo zwyczajnie nie będzie „w kim wybierać". Ona, już wykształcona w Warszawie, Toruniu albo Krakowie, też będzie miała problem ze znalezieniem dla siebie satysfakcjonującej partii – równie wykształceni i ambitni jak ona faceci będą przecież mniej liczni, a częściowo – zwłaszcza ci starsi – zajęci.

A jeśli nawet do jakichś spotkań dojdzie, przyszłe związki będą obarczone większym ryzykiem niedobrania. Także tego światopoglądowego. Badania preferencji politycznych od lat pokazują, że o ile wśród młodych kobiet nadreprezentowana jest opcja liberalno-lewicowa, o tyle pośród młodych mężczyzn częściej zdarzają się wyborcy o poglądach prawicowych. I choć te polityczne wybory są – jak zastrzega prof. Szlendak – pochodną innych cech, jak np. wykształcenie, a tym samym szansa na spotkanie dwóch skrajności nie jest duża, to w życiu jednak się to zdarza.

– Dla mnie bardzo ważna jest sfera wartości: nie zwiążę się z facetem, który ma skrajnie inne poglądy niż ja – wyznaje Zuzanna. – Dlatego już na pierwszych spotkaniach zdarza mi się inicjować rozmowy o polityce. Osoba, z którą masz dzielić życie i spędzać tak dużo czasu, musi mieć podobną do twojej życiową filozofię. Jestem feministką, nie zmienię się, uważam, że równość płci jest ważna, i nie wyobrażam sobie obok mnie kogoś, kto mówi: „To nic złego, że mężczyźni są częściej dyrektorami dużych firm". Tymczasem kilka razy zdarzyło mi się, że facet, z którym korespondowałam, czuł się moim feminizmem wręcz atakowany.

Wyizolowani

Tyle prawdziwa 26-latka, wróćmy na moment do naszych hipotetycznych bohaterów.

Urodzili się w roku, na który przypada także ostatni polski rekord liczby zawartych małżeństw. Przed ołtarzem lub urzędnikiem stanu cywilnego stanęło wówczas ponad 257,7 tys. par, blisko dwa razy więcej niż w roku 2025. Na ten spadek wpłynęły także tendencje demograficzne: dość wspomnieć, że w 2008 r. żyło w Polsce około 9,8 mln osób w wieku 18-35, w którym najczęściej zakłada się rodzinę. W zeszłym roku mieszkańców kraju w tym samym wieku mieliśmy już mniej niż 7 mln.

Ale to niejedyne wytłumaczenie. Sukcesywnie spada bowiem także odsetek zawieranych małżeństw w przeliczeniu na każdy tysiąc mieszkańców. W 2008 r. wyniósł on 6,8. W roku ubiegłym otarł się już o 3,5. Rzecz jasna, ślub – czy to kościelny, czy tylko cywilny – od dawna nie jest w Polsce jedyną społecznie akceptowaną formą wejścia we wspólne życie. Tylko pomiędzy rokiem 2011 a 2021 – czyli w okresie między dwoma ostatnimi spisami powszechnymi – liczba polskich par nieformalnych wzrosła niemal trzykrotnie: z 316 505 do 895 443. Julia i Jakub mogliby więc – gdyby nie rozjechali się w różne strony świata – przejść przez życie razem w formule, którą pokolenie ich dziadków tyleż pobłażliwie co pogardliwie nazywało „życiem na kartę rowerową". Ale przyjmujemy, że tego nie

eprasa.pl 2b98c8e853

zrobili – i przez najbliższe lata pozostaną sami.

Również dlatego, że cywilizacja, w której funkcjonują od urodzenia jako przedstawiciele generacji nieznającej świata bez internetu i tzw. platform społecznościowych, tylko pozornie oferuje im całodobowe rozwiązanie problemu samotności. W rzeczywistości ją utrwala. Albo wręcz hoduje – jak ostrzegał już na początku stulecia Richard Florida, a za nim Eric Klinenberg, Noreena Hertz i inni ekonomiści, antropolodzy i socjologowie piszący o tzw. ekonomii samotności, coraz potężniejszej gałęzi gospodarki skoncentrowanej na singlach. Świat urządzony z myślą o niewychodzeniu z domu to oczywiście dziedzictwo pandemii, tu covid jednak tylko pogłębił widoczną od dawna tendencję do ograniczania relacji twarzą w twarz. Widać ją m.in. w opublikowanym w ub. roku badaniu bilansu czasu ludności, przeprowadzonym przez GUS.

Nasi bohaterowie również doświadczają tego na co dzień, być może nawet stopniowo zapominając, że da się inaczej. Kino od dawna mają w swoich domach w formie serwisów streamingowych. Koncerty od biedy też da się zastąpić muzyką z sieci. Zakupy? Kursy i szkolenia? Najwygodniej online, podobnie jak sprawy urzędowe. A gdyby któreś z nich zgłodniało, problem rozwiąże kilka stuknięć palcem w aplikację do zamawiania na wynos. Prawdopodobieństwo, że w trakcie codziennej rutyny przypadkiem wpadną na „drugą połówkę", maleje wraz z każdą sytuacją, w której świat wirtualny wygrywa z realem. Gwoli uczciwości, temu realnemu również przesadnie nie zależy na tym, aby Julia lub Jakub założyli rodzinę. Jeśli już, to w bezdzietnej wersji, opisanej z brutalną precyzją angielskim akronimem DINK. *Double Income, No Kids* (ang. podwójny dochód, żadnych dzieci).

Julia i Jakub wchodzą więc w dorosłość w rzeczywistości, która nieustannie podpowiada im, by koncentrowali się na sobie. Kusi nie tylko przyjemnościami, ale także wizją samorozwoju. Kwestionuje wartość wyrzeczeń i poświęcenia, często stawiając je na równi z naiwnością. Algorytmy platform społecznościowych z chirurgiczną precyzją odczytują (lub pobudzają) kolejne konsumpcyjne potrzeby, ale milczą o tym, że życie zbudowane na innych fundamentach może być nie tylko znośne. Może być po prostu szczęśliwe.

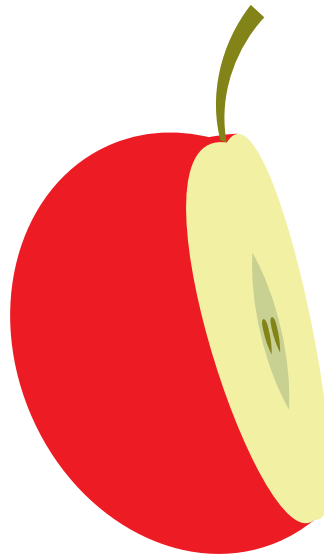

Rzeczywistość, w której młodzi funkcjonują od urodzenia jako przedstawiciele generacji nieznającej świata bez internetu, tylko pozornie oferuje im całodobowe rozwiązanie problemu samotności.

Wychłodzeni

Dodajmy od razu zastrzeżenie: singielstwo Julii i Jakuba aż do trzydziestki wcale nie musi ich przyprawiać o smutek (choć takie ryzyko istnieje: osoby w wieku między 18 a 29 lat bez partnera należą, jak podaje „Diagnoza Młodzieży", do grupy o najwyższym wskaźniku samotności w całej populacji dorosłych).

Oboje szybko zarejestrują się na jednym z licznych randkowych portali, które jednak niewiele im dadzą poza przygodnymi relacjami. Oboje będą realizować swoje potrzeby – bliskości i seksualności – zupełnie inaczej niż starsze pokolenia.

– Gdy konsultowałem dwie dekady temu wyniki badania, które brało pod lupę ówczesnych gimnazjalistów i licealistów, już wtedy widoczne było stopniowe przechodzenie młodych ludzi z tradycyjnego systemu znanego nam „randkowania", czyli łączenia się w pary, do funkcjonowania bardziej gromadnego – opowiada prof. Szlendak. – To drugie podejście amerykańscy badacze już dawno temu ochrzcili terminem „hooking-up", czyli czegoś w rodzaju nienajlepiej brzmiącego po polsku „wyhaczania". W ramach tego nowego systemu potrzeby, także seksualne, zaspokaja się właśnie w ramach gromady, grona przyjacielskiego, przeżywając przygodne kontakty, ale znacznie rzadziej łącząc się w pary.

Same potrzeby, dodaje socjolog, też podlegają zmianom – i różnią się w zależności od płci. – Młodzi mężczyźni znacznie częściej realizują je za pośrednictwem sieciowej pornografii, która niejednokrotnie im wystarcza – mówi prof. Szlendak. – Młode kobiety mają potrzebę bliskości daleko bardziej rozbudowaną, ale i one przeżywają ją zupełnie inaczej niż kobiety kiedyś.

O minięciu się – przyznajmy: dość spektakularnym – właśnie na tym newralgicznym polu opowiada nam Karolina (imię zmienione), 30-latka z Krakowa: – Na randkę zaprosił mnie kolega, z którym robiłam doktorat. Poszliśmy na kolację. Było zaskakująco miło, wręcz intymnie i zaczęłam myśleć, że może faktycznie będzie z tego coś więcej niż jeden wieczór. Po kilku kolejnych spotkaniach w mieście zaprosiłam go do siebie. Lubię gotować, on zresztą o tym wie, zaproponowałam więc kolację. Tak, to miała być kolacja z epilogiem. Zadbałam o nastrój, założyłam prowokującą sukienkę. Przyszedł, zjadł. Rozmawialiśmy, atmosfera gęstniała – po czym on nagle powiedział, że musi lecieć. Rano w pracy gadał ze mną jak z kumplem z siłowni. A wieczorem napisał, że w myślach widzi ciągle moje plecy. Odpisałam, że może ma ochotę wpaść jeszcze raz. Nie doczekałam się odpowiedzi.

O podobnym, choć niedotyczącym tylko sfery erotyki doświadczeniu, mówi nam też 26-letnia Zuzanna: – Spotykam masę pewnych siebie dziewczyn, a niewielu podobnych facetów. Są często wycofani, nie wiedzą, czego chcą.

Jak do tych podlegających dynamicznym zmianom norm ma się technologia, na czele z portalami randkowymi typu Tinder? Gdy ponad dekadę temu stawały się rewelacją, określano je mianem platform dla kobiet, które szukają swojej ↦

eprasa.pl 2b98c8e853

↦ „drugiej połówki". Dziś nie są ani tylko dla kobiet, ani – tym bardziej – nie służą łączeniu się w pary. Nie tego zresztą, tylko rozrywki, oczekuje po nich większość odbiorców. Ci zaś, którzy chcieliby za ich pośrednictwem znaleźć parę, odchodzą często rozczarowani.

– Szczerze nienawidzę portali randkowych, z których zdarzyło mi w przeszłości korzystać – wyznaje Zuzanna. – Wierzę w opowieści, że ktoś znalazł tam męża czy żonę, ale mechanizm działania tych platform nie ma tego na celu. One mają tylko zatrzymać nas przy aplikacjach, dlatego bardzo trudno jest tam znaleźć kogoś na stałe. Po pierwsze dlatego, że na pierwszym miejscu jest wygląd, a jedynie na nim nie da się bazować. Po drugie, w działanie tych portali wpisany jest mechanizm, w ramach którego zawsze ci się wydaje, że następnym razem znajdziesz „kogoś lepszego". Po trzecie, tych kontaktów jest tak wiele, że z czasem powszednieją, doprowadzając nawet do sytuacji, w których bywasz odczłowieczana, traktowana jak „profil", któremu nie trzeba nawet odpisać, jeśli nie ma się w tym interesu. A nawet jeśli się z kimś już spotkamy, ryzyko, że nic z tego nie wyjdzie, jest wielkie – przecież nie poznaliśmy się na koncercie zespołu, który oboje lubimy, ani nawet w kawiarni, do której i on, i ja chodzimy – spotykamy się, bo przydzielił nas sobie algorytm. W dodatku algorytm służący interesowi właściciela, a nie łączeniu w pary.

Portale randkowe to jednak tylko wierzchołek góry. Młodzi dorośli – jak podkreślają autorzy „Diagnozy" – mają coraz większy problem z odróżnieniem partnera realnego od idealizowanego. „Algorytmy – czytamy w raporcie – wzmacniają treści związane z idealnym wyglądem, perfekcyjnym związkiem czy »virality romance«, co buduje nierealne punkty odniesienia dla relacji offline". Ekspozycja na takie wzorce powoduje, że „młodzi zaczynają postrzegać jako normę ciągłą dostępność partnera, perfekcyjną komunikację i natychmiastową responsywność", a „rozczarowanie rzeczywistością może prowadzić do unikania relacji".

> W grupie wiekowej 18-29 lat samotnych pozostaje 44 proc. Polaków. Wśród starszych, w przedziale 25-34, ponad połowa mieszka z rodzicami.

Michał (imię zmienione), 22-letni student z Krakowa, ujmuje to samo następująco: – Głębsza relacja coraz częściej zaczyna przypominać teleturniej, w którym można tylko tracić punkty. Mój ostatni związek zakończył się tak, że usłyszałem od mojej dziewczyny ciąg bliżej niesprecyzowanych zarzutów o wspólnym mianowniku: „Nie zasługujesz na kogoś tak fajnego, jak ja".

Przeciążenie wyborami, ich wielość prowadzą – jak piszą we wnioskach autorzy raportu – „do hamowania decyzji o wejściu w związek oraz chronicznego poczucia »mogę znaleźć kogoś lepszego« [...] W badaniach krajowych zauważa się, że młodzi coraz częściej deklarują brak partnera z powodu braku odpowiedniej osoby, co jest powiązane z wysokimi wymaganiami wobec wyglądu, stabilności emocjonalnej i sukcesu zawodowego".

– Z wieloma spośród tych wniosków się zgadzam – mówi nam Zuzanna. – Widzę w naszej generacji niską gotowość do kompromisu. Sama staram się go szukać, ale w wielu sytuacjach jest faktycznie trudno. Im dłużej jest się samemu, tym trudniej. Ma to jednak też dobre strony: bycie samemu jest moim zdaniem lepsze niż tkwienie z związku byle jakim. Sądzę zresztą, że naszym pokoleniowym problemem nie jest brak relacji romantycznych, tylko kryzys relacji w ogóle.

Straceni?

Wspomnijmy na koniec, że nasi Julka i Kuba mają o dekadę młodsze rodzeństwo: ośmiolatków, których sposób przeżywania świata i relacji się jeszcze kształtuje. Czy coś można dla nich zrobić, by ich losy potoczyły się inaczej niż brata i siostry? A może wypada pogodzić się z faktem, że przechył w stronę świata singli to urealnienie ludzkich potrzeb po stuleciach rządów małżeńskiego konwenansu?

Nawet jeśli to częściowo prawda, nie sposób nie widzieć jej drugiej części. „Diagnoza Młodzieży", która powstała na zamówienie Ministerstwa Edukacji Narodowej, wiele mówi o cyfrowej higienie, zdrowiu psychicznym, wyrównywaniu szans. Wspomina w rekomendacjach o budowaniu instytucji – także szkół – jako „platform relacji". Tyle że ten sam MEN buduje i wzmacnia od dekad szkołę skoncentrowaną na indywidualnym sukcesie, przydzielając w rekrutacji do liceum punkty nawet za działalność charytatywną.

Więc jeśli nic się nie zmieni, rodzeństwo Julki i Kuby tylko przez kilka najbliższych lat – powiedzmy do ukończenia czwartej, piątej klasy – będzie chodziło do szkoły, w której ważna jest grupa. Później znajdą się niemal niepostrzeżenie na poligonie walki o tzw. sukces edukacyjny – na egzaminie ósmoklasisty, na maturze, na studiach. W dodatku w świecie, w którym jedyny możliwy trening relacji (np. na przerwach) zagłuszany jest dźwiękiem smartfona.

W tym świecie Zuzia i Antoś (to najpopularniejsze imiona w roku 2018) raczej nie odnajdą się jako para.

©℗ MAREK RABIJ,
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny: JACEK STAWISKI
Zastępcy redaktora naczelnego: EWELINA BURDA, MICHAŁ OKOŃSKI
Redakcja: www.TygodnikPowszechny.pl/redakcja
Wydawca: Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.

Prezes zarządu: JACEK ŚLUSARCZYK
www.tygodnikpowszechny.pl/wydawca
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
tel. 668 477 039
Reklama i promocja: tel. 602 590 416
reklama@tygodnikpowszechny.pl

promocja@tygodnikpowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@tygodnikpowszechny.pl
Druk: Walstead Kraków sp. z o.o.
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń.
Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
© Wszelkie prawa zastrzeżone
Regulamin korzystania z artykułów: www.tygodnikpowszechny.pl/nota-wydawnicza

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA

S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

eprasa.pl 2b98c8e853

S-NET
GRUPA TOYA

Data Center
dla Twojego biznesu
w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy S-NET Data Center

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.

- Gwarancja SLA
- Obiekt klasy Tier 3
- Transmisja danych do krajowych operatorów
- Samodzielny dostęp do szaf w trybie 24/7
- Redundantne połączenie z siecią Internet
- Monitoring 24/7 oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszej generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.

- Systemy przeciwpożarowe
- Systemy chłodzenia
- Niezależne zasilanie



REKLAMA

s-net.pl/data-center

Skontaktuj się z nami

+48 12 395 71 00

eprasa.pl 2b98c8e853

KRAJ

WIELKI TYDZIEŃ, WIELKI REGRES

Awantura wokół ostatniego listu Episkopatu to fragment większej całości. Nie chodzi tylko o Żydów, a niektóre tropy prowadzą za Ocean.

MICHAŁ OKOŃSKI

Tłumów nie było, ale może to kwestia aury. W deszczu i chłodzie wielkośrodowego popołudnia u stóp pomnika Piotra Skargi na krakowskim Placu św. Marii Magdaleny zgromadziło się kilkadziesiąt osób. Z transparentami, na których wzrok przykuwały wizerunek Chrystusa Króla, nie do końca poprawne teologicznie hasło „Tylko Maryja zwycięży szatana" oraz również nie do końca fortunny w tym kontekście profil Jana Pawła II – prowadzeni przez niedawną małopolską kurator Barbarę Nowak modlili się do św. Michała Archanioła o prawdziwe przywództwo duchowe w kontekście „herezji Rysia i Episkopatu".

Herezją w ich oczach był oczywiście list biskupów na 40-lecie wizyty Jana Pawła II w rzymskiej synagodze.

Kardynał z pejsami

Powiedzieć, że ostatnie dni Wielkiego Postu upłynęły pod znakiem wywołanej przez ów list burzy, to nic nie powiedzieć. W mediach tradycyjnych i społecznościowych trwają spory o polski antysemityzm i zbrodnicze działania Państwa Izrael. Pisze się i mówi o pełzającej w Kościele nad Wisłą tradycjonalistycznej schizmie, w której ikona Jana Pawła II nie działa już hamująco na podważanie nauczania Soboru i kolejnych papieży (wszak dokument Episkopatu składał się niemal wyłącznie z cytatów z Papieża Polaka). Debatuje się także o tym, czy wiara w Jezusa jest niezbędnym warunkiem do zbawienia (spoiler: nie jest, a Kościół – jak uczył Benedykt XVI – przepowiada Go także przez dialog międzyreligijny).

Komentarz cenionego skądinąd niemcoznawcy prof. Stanisława Żerki na portalu X („Kościół kard. Rysia i tego drugiego ancymonka [mowa o kard. Krajewskim – przyp. MO] niech idzie swoją drogą, skoro nadal uważają się oni za »hierarchię«. Skoro postanowili oderwać się od nas, wiernych – trudno, co robić") wydaje się w tym kontekście symptomatyczny. Choć były i takie „reakcje", jak pejsy dorysowane na fotografii metropolity krakowskiego, zamieszczonej w tej formie na stronie punktowanego przez MEiN czasopisma „Pedagogika Katolicka".

Dlaczego dokument, będący w gruncie rzeczy streszczeniem doktryny dobrze już utrwalonej w Kościele ostatnich dekad, wywołał tyle zamieszania? Spróbujmy porozdzielać splątane tu wątki, zwłaszcza że niektóre prowadzą w przeszłość, a niektóre... za Ocean.

Krew Jego na nas

Sądząc po gwałtowności reakcji nigdy nie ma dobrego czasu na zajmowanie się relacjami polsko- lub chrześcijańsko-żydowskimi, ale akurat okres około-



BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Modlitwa ekspiacyjna za „herezje" kardynała Grzegorza Rysia i Episkopatu pod pomnikiem Piotra Skargi w Krakowie, 1 kwietnia 2026 r.

eprasa.pl 2b98c8e853

wielkanocny wydaje się odpowiedni: i z racji na to, co wydarzyło się dwa tysiące lat temu w Jerozolimie, i ze względu na zapisane przez jednego z ewangelistów słowa wykrzyczane przez tłum domagający się śmierci Rodaka (Mt 27, 25), i ze względu na sposób, w jaki przez stulecia interpretowała je chrześcijańska teologia.

„Są ślepi, bo nie rozumieją tego, co czytają. Zachowują Prawo cieleśnie, co do ciała, a nie co do ducha. Nie rozumieją Pisma – i nie dzieje się to bez ich winy" – tak św. Augustyn definiował odrzuconą dopiero przez Sobór Watykański II tzw. teologię zastępstwa, wedle której Żydzi utracili (na rzecz Kościoła) status narodu wybranego.

Jak pisał będący przecież historykiem Grzegorz Ryś (cytuję książkę „Chrześcijanie wobec Żydów. Od Jezusa po inkwizycję. XV wieków trudnych relacji"): „w tekście Augustyna to zaledwie akapit, w dziejach relacji Kościoła i Izraela – kamień uruchamiający wielowiekową lawinę oskarżeń Żydów o »bogobójstwo« i »bratobójstwo«".

Antropologia przesądu

Bo teologiczne interpretacje miały swoje konsekwencje, za które przepraszał Jan Paweł II, wyznając winy Kościoła w trakcie liturgii pokutnej Roku Jubileuszowego. Kiedy w 1453 r. do Wrocławia zjechał franciszkański mnich Jan Kapistran, efektem wygłaszanych przezeń w Wielkim Tygodniu kazań były – podobnie jak w innych miastach Europy, które ów kanonizowany w XVIII w. zakonnik odwiedzał – antyżydowskie zajścia; ofiarą pogromu, wywołanego fałszywymi oskarżeniami o zatruwanie studni i kradzieże hostii, padło kilkadziesiąt osób, spalonych później na Placu Solnym.

Przykładów podobnych zbrodni było przez stulecia wiele; niektóre przywołuje Joanna Tokarska-Bakir w „Legendach o krwi. Antropologii przesądu". Jak zauważa badaczka, w porze Wielkanocy Żydzi na przestrzeni wieków nagle „przestają być sąsiadami, z którymi chrześcijan łączą dobre lub złe, ale codzienne stosunki. Zaczynają być Żydami, którzy ukrzyżowali Chrystusa".

Pamiętajmy: aż do 1965 r. w Kościele czczono pamięć Szymona z Trydentu, kilkuletniego chłopca, który zaginął przed Wielkanocą 1475 r. i o którego śmierć również obwiniono Żydów. ↦



Widowisko paschalne

↦ W 1940 r. na ulicach Warszawy odbył się – zgoda, inspirowany przez Niemców, którzy wkrótce zaczęli wznosić mury getta – ale przeprowadzony polskimi rękami pogrom, rozpoczęty właśnie w Wielki Piątek. A co się wydarzyło trzy lata później?

Zekranizowane przez Wajdę opowiadanie Jerzego Andrzejewskiego „Wielki Tydzień" bywa krytykowane jako nadmiernie wybielające polskie postawy (robi to np. Tomasz Żukowski w książce „Wielki retusz. Jak zapomnieliśmy, że Polacy zabijali Żydów"), choć padające z ust jednego z bohaterów frazy typu: „W tym jednym wypadku możemy być wdzięczni Hitlerowi. Odwalił za nas uciążliwą i powiedzmy, że nawet przykrą, czarną robotę. Teraz w ogóle kwestii żydowskiej nie będzie! Gdyby nie zrobił tego Hitler, musielibyśmy po wojnie my sami zabrać się do likwidacji Żydów", uznać można za powszednie.

Obrazy warszawskiej wiosny 1943 r. są nierozerwalnie splecione z widowiskiem opisywanym przez Adolfa Rudnickiego w opowiadaniu „Wielkanoc": „Przez Wielki Tydzień trwały nieustanne pochody ku murom [getta]. Nie ustały i w święta. Ledwie padły słowa: »Idźcie, msza skończona, Alleluja, Alleluja«, a tłum z przepełnionych kościołów, jeszcze w duszy gorący, szumiący wiosną, z młodymi kwiatami w ręku biegł pod mury ku widowisku. Ku warszawskiemu widowisku paschalnemu".

Oszczędzimy sobie szczegółów owego „widowiska", ale płomienie znów odgrywały w nim kluczową rolę.

Mickiewicz w synagodze

Piszę o tym obszernie, bo historia Kościoła i dzieje Polski tutaj się łączą. Być może dlatego zresztą papieski biograf (a na potrzeby tego tekstu nie od rzeczy będzie dodać: amerykański neokonserwatysta) George Weigel konstatował, że wizyta w rzymskiej synagodze stanowiła zwieńczenie drogi, która dla przebywającego ją człowieka zaczęła się 60 lat wcześniej, a której etapami były „dziecięce przyjaźnie z Żydami, lekcje tolerancji swego ojca oraz nauki starego proboszcza o tym, że antysemityzm jest zabroniony przez Ewangelię, doświadczenia hitlerowskiej okupacji i wiedza o Holokauście".

Podobnych opinii było więcej. Kiedy 4 nisan 5746 r. – albo, wedle kalendarza gregoriańskiego, 13 kwietnia 1986 – zwierzchnik Kościoła katolickiego przekraczał próg żydowskiej świątyni, kluczowe było nie tylko poczucie, któremu dawał wyraz inny znawca tamtego pontyfikatu Bernard Lecomte, że „20 wieków wrogości, pogardy, niezrozumienia i prześladowań zostało w ten sposób odesłane w przeszłość – z chwilą kiedy katolicki papież odmówił po hebrajsku psalm »Hodu l'Adonai ki tov« [Dziękujcie Panu, bo jest dobry]".

Wielu obserwatorów tamtego wydarzenia podkreślało, że nieprzypadkowo to właśnie papież z Polski – z jej doświadczeniem streszczonym choćby w opowiadaniu Andrzejewskiego – zamieniał teorię Vaticanum Secundum na praktykę miłości bliźniego.

Źródeł padającego z ust tego wielbiciela romantyzmu sformułowania o Żydach jako starszych braciach upatrywano zresztą w „Składzie zasad", ogłoszonym przez Adama Mickiewicza w Rzymie. Dziesiąty punkt dokumentu z 1848 r. brzmiał: „Izraelowi, bratu starszemu, uszanowanie, braterstwo, pomoc na drodze ku jego dobru wiecznemu i doczesnemu. Równe we wszystkim prawo".

Chrześcijaństwo po Zagładzie

Wtedy, na przełomie lat 80. i 90., ćwierć wieku po Soborze i pół wieku po Zagładzie, faktycznie wydawało się, że w Kościele – powszechnym i polskim – zaszła nieodwracalna zmiana. „Nie można dzisiaj uprawiać refleksji teologicznej tak, jakby się nic nie stało. Chrześcijanie powinni podjąć fundamentalne pytania dotyczące kształtu i sensu własnej wiary. Ludobójstwo dokonało się przecież w środku Europy, na oczach narodów, które od wieków przyswajały sobie Ewangelię i nauczanie Kościoła" – pisał np. ks. Waldemar Chrostowski na łamach „Collectanea Theologica" w 1992 r.

Trudno się ówczesnym wrażeniom dziwić. Jan Paweł II był w pełni sił i żywo interesował się polskimi sprawami. Kilkanaście miesięcy wcześniej Episkopat wydał list pasterski na 25-lecie soborowej deklaracji „Nostra aetate", który w warstwie teologicznej – podobnie jak list tegoroczny – stanowił dość oczywiste streszczenie kościelnego nauczania, że „to, co popełniono podczas Jego męki, nie może być przypisane, ani wszystkim bez różnicy Żydom wówczas żyjącym, ani Żydom dzisiejszym", bo (jak pisano już w katechizmie Soboru Trydenckiego) „chrześcijanie grzesznicy są bardziej winni śmierci Chrystusa w porównaniu z niektórymi Żydami, którzy w niej mieli udział: ci ostatni istotnie nie wiedzieli, co czynią, podczas gdy my wiemy to aż za dobrze".

Zarzut bogobójstwa wydawał się w 1990 r. tak bardzo nieaktualny, że jedynym tak naprawdę dyskutowanym zdaniem z tamtego listu biskupów była fraza: „Choćby tylko jeden chrześcijanin mógł pomóc, a nie podał pomocnej ręki Żydowi w czasie zagrożenia lub przyczynił się do jego śmierci, każe to nam prosić naszych Sióstr i Braci Żydów o przebaczenie".

Narody wybrane

Raz jeszcze zacytujmy jednego z najzagorzalszych krytyków obecnego listu Episkopatu, ks. Waldemara Chrostowskiego. „W rezultacie Szoah trzeba na nowo rozważyć związki między judaizmem a chrześcijaństwem rozumiejąc, że jest to centralny problem dla samorozumienia chrześcijan – pisał 34 lata temu ów profesor biblistyki. – Chrześcijanie, a więc i chrześcijanie w Polsce, nie mogą dłużej określać własnej tożsamości poprzez odcinanie się lub przeciwstawianie Żydom. Wszelkie nastawienie negatywne zubaża tego i tych, którzy je w sobie noszą. Ponieważ objaśnianie Biblii obficie karmiło się antyżydowskimi uprzedzeniami, zatem wszystkie zasadnicze poziomy refleksji biblijnej, czyli egzegeza, teologia i hermeneutyka, powinny uwzględniać nastawienie oparte na nowych partnerskich zasadach".

Tym właśnie, a nie jakimś wydumanym „chrześcijańskim syjonizmem" należy tłumaczyć wysiłki dokonujące się w ciągu ostatnich dekad – nie tylko w łonie teologii, ale i w obrębie Magisterium, bo to, co można było przeczytać w ostatnim liście biskupów, jest w nim solidnie osadzone. Owszem, Żydzi „są nadal umiłowani przez Boga, który wezwał ich nieodwołalnym powołaniem. Bóg bowiem, wierny swym obietnicom, nie odwołał Pierwszego Przymierza. Izrael pozostaje nadal narodem wybranym", czytamy w dokumencie. Nie jest to żadna herezja, tylko nauka Kościoła.

I twierdzenia te nie są w żadnej mierze w konflikcie z deklaracją „Dominus Iesus" z 2000 r., przywoływaną (jak twier-

eprasa.pl 2b98c8e853



WOJTEK LASKI / EAST NEWS

Jan Paweł II w Synagodze Większej w Rzymie. 13 kwietnia 1986 r.

dzą prawicowe media: polemicznie) przez abp. Marka Jędraszewskiego podczas ubiegłotygodniowego kazania w Kalwarii Zebrzydowskiej. „Nawiązując do wspólnej nadziei eschatologicznej, św. Jan Paweł II powiedział: »Przymierze Nowe odnajduje w Starym swoje korzenie. O ile zaś Stare może odnaleźć w Nowym swe spełnienie, to jest oczywiście sprawą Ducha Świętego. My, ludzie, staramy się temu tylko nie przeszkadzać«" – piszą biskupi. Przecież to, że Jezus jest jedynym zbawicielem, a darmowy akt łaski, jakim stało się zbawienie, stanowi zaproszenie dla całej ludzkości, nie jest sprzecznością.

Uczniowie Wielkiego Inkwizytora

Skoro to wszystko takie proste, dające się wywieść z Katechizmu, soborowych dokumentów i papieskich wystąpień, skąd dzisiejsze awantury? Czemu trzymający transparent z Janem Pawłem II u stóp pomnika Piotra Skargi (skądinąd kaznodzieja ów również przestrzegał przed Żydami, zabijającymi katolików rzekomo po to, „aby od smrodu, którym od przyrodzenia śmierdzą, tą krwią chrześcijańską wolni byli") modlili się o prawdziwe przywództwo duchowe, a biskupów nazywali heretykami?

Czyżby ks. Józef Tischner mylił się twierdząc, że „prawdziwe dzieje chrześcijaństwa są wciąż przed nami, a nie za nami"? Odpowiadając w 2000 r. na pytania Chantal Delsol autor „Myślenia według wartości" zauważał, że „chrześcijaństwo było dotychczas wplątane w polityczną walkę o władzę"; że przez pryzmat tej walki było interpretowane; że szukało swej tożsamości w podkreślaniu różnic, a nawet przeciwieństw w stosunku do innych wiar. „Wydaje się, że ta historia dobiegła końca. Chrześcijaństwo wyzwolone z polityki i konieczności przeciwstawiania się innym religiom może głębiej zrozumieć siebie poprzez pryzmat nadziei, jaką niesie człowiekowi".

Otóż ostatnie lata przynoszą w tej kwestii regres, i widać go nie tylko spod pomnika Skargi. Podobny rodzaj religijności prezentuje przecież – wbrew nadziejom Tischnera zbijając na nim polityczny kapitał – Grzegorz Braun, z którym próbuje konkurować więcej polityków z prawej strony.

Lider Konfederacji Korony Polskiej podbija kraj nie tylko przekazem antyszczepionkowym, antyukraińskim czy (będzie o tym mowa za chwilę) antysemickim, ale także filmem o objawieniach w Gietrzwałdzie, z którym objeżdża parafie, jakby realizował recepty Wielkiego Inkwizytora z „Braci Karamazow". Przypomnijmy: ów sędziwy kardynał mówił, że są tylko trzy siły, za pomocą których można zapewnić sobie panowanie nad światem, a mianowicie cud, tajemnica i autorytet.

Jezus MAGA

Autorytet, władza, ale też przemoc – to coś, co przez lata współtworzyło historię chrześcijaństwa (o czym zresztą również Jan Paweł II mówił w swoich przeprosinach z 2000 r.) i co dziś próbuje wypreparować z niego ruch MAGA.

Zapewne: w czasach wszechogarniającego chaosu tak jednoznaczny przekaz wydaje się atrakcyjny, rzecz w tym, że – jak zauważa na łamach „The Atlantic" Peter Wehner – „Jezus ruchu MAGA nie jest prawdziwym Jezusem".

Wehner (skądinąd w swoim pisarskim CV mający przemówienia wygłaszane przez trzech republikańskich prezydentów) zauważa, że Jezus nie wzywał uczniów do wygrywania wojen kulturowych, tylko do niesienia krzyża – i nie do pokonywania nieprzyjaciół, tylko do ich miłowania. Ale w dobie wzmożeń i jednoznaczności napędzanych jeszcze przez media społecznościowe ta prawda się nie przebija, a z perspektywy Wielkich Inkwizytorów tego świata – wydaje się wręcz śmieszna.

Miłość bliźniego? Przebaczenie? Nadstawianie drugiego policzka? Błogosławieni ubodzy w duchu? Potrzymajcie mi piwo, najlepiej w kuflu ze złotą podobizną Donalda Trumpa. To się przecież kompletnie nie opłaca – w polityce i w życiu. Tu się nie bierze jeńców, *no quarter*, jak zapowiedział w pierwszym tygodniu wojny z Iranem (ściągając na siebie dość bezpośrednią krytykę Leona XIV) amerykański sekretarz obrony Pete Hegseth.

Jak czynić pokój

Zarazem jednak czujemy, że chrześcijańskie imaginarium wciąż działa. Tyle że sprowadzone do karykatury. O tym, co robi z nim np. guru Doliny Krzemowej Peter Thiel, już w „Tygodniku" pisaliśmy; to w polemice z amerykańskim miliarderem przewodniczący Papieskiej Akademii Teologicznej bp Antonio Staglianò wygłasza znamienne zdania: „Przez dziesięciolecia wierzyliśmy, że sekularyzacja jest nieuniknionym losem kultury zachodniej. Dziś zauważamy, że kategorie teologiczne wcale nie zniknęły, tylko wyemigrowały w nowe miejsca".

Wehner z kolei przypomina zamieszczony w mediach społecznościowych przez Departament Bezpieczeństwa Krajowego USA filmik przedstawiający umundurowanych mężczyzn wdzierających się ↦

eprasa.pl 2b98c8e853

↦ do czyjegoś domu z bronią i psami; sugestywnym obrazom antyimigranckiej przemocy towarzyszy cytat z Kazania na Górze: „Błogosławieni pokój czyniący, albowiem oni synami Bożymi będą nazwani". Doprawdy, nie jesteśmy tu daleko od nienawistnych wypowiedzi Grzegorza Brauna poprzedzonych frazą „Szczęść Boże".

Jak widać, awantura wokół ostatniego listu Episkopatu jest fragmentem większej całości. I nie chodzi w nim tylko o Żydów.

„Dejudaizacja" Brauna

Ale o Żydów też chodzi, bo symbolicznym początkiem regresu – już nie tylko w polskim Kościele, a w polskiej polityce – był atak Brauna na chanukowy świecznik w Sejmie, w grudniu 2023 r. Na ów jawny przejaw antysemityzmu (i towarzyszącą mu przemoc wobec zaatakowanej gaśnicą kobiety) zareagował wówczas tylko jeden hierarcha, kardynał Ryś. Opieszały wymiar sprawiedliwości stworzył wrażenie, że również na tym polu agresja wobec czegoś, co żydowskie, może być bezkarna.

Kilkanaście miesięcy później nadszedł niewątpliwy sukces Brauna w wyborach prezydenckich. I nie chodzi tu tylko o jego wysoki wynik, ale o poprzedzające go w trakcie kampanii faktyczne znormalizowanie nienawiści wobec Żydów. Choć kandydat otwarcie wzywał do „dejudaizacji", był pożądanym gościem najpopularniejszych mediów. Między bajki włóżmy tłumaczenia o wolności słowa: zerwanie z antysemickim tabu – uznawanym dotąd ponad podziałami, warto dodać, że chanukową tradycję ze względu na pamięć o milionach żydowskich współobywateli kultywowali i Lech Kaczyński, i Andrzej Duda – przyciągało odbiorców jak lep muchy, a internetowe algorytmy grzały się do czerwoności. W elektoracie krzepło przekonanie, że antysemityzm to po prostu jedna z wielu ofert na politycznym rynku, a nie czyn karalny.

Miłość bliźniego? Przebaczenie? Nadstawianie drugiego policzka? Błogosławieni ubodzy w duchu? **Potrzymajcie mi piwo, najlepiej w kuflu ze złotą podobizną Donalda Trumpa.**

Uwaga na marginesie: Braun urósł tak bardzo, że dziś trudno wyobrazić sobie prawicowy rząd bez jego udziału, ale w tym miejscu drogi wielu nadwiślańskich populistów z ruchem MAGA się rozchodzą. O ile obie strony łączy redukcja wiary do słownictwa uszlachetniającego siłę (jak to ujął bp Staglianò), to za Oceanem nienawiść do Żydów nie uchodzi. „Obchody pogromu w Jedwabnem podżeganego przez nazistów w 1941 r. zostały karygodnie zakłócone przez bandyckich ekstremistów, którzy szydzili ze zmarłych i hańbili żywych" – mówił w zeszłym roku Thomas Rose, jeszcze jako kandydat na ambasadora USA, krytykując braunowskie ekscesy.

Biskupi i polityka

Trudno w tym tekście abstrahować od polityki, skoro okazało się, że antysemityzm znów jest u nas politycznym paliwem, a do stałego repertuaru oskarżeń Żydów o niewdzięczność i antypolonizm można jeszcze dołożyć (i to nie tylko po prawej stronie) zrozumiałe oburzenie na zbrodnie dokonywane przez rząd Netanjahu w Strefie Gazy. Choć niektórzy powiedzieliby pewnie, że za gniewnymi reakcjami na list Episkopatu stoi nie tylko polityczna kalkulacja, ale autentyczna ulga, że w obecnym klimacie można znów powiedzieć, co się tak naprawdę myśli.

O tym jednak nie chcę więcej pisać. Nawet jeśli biskupi polscy zrobili w ostatnich latach wiele, by utożsamiać ich wypowiedzi na temat publicznych spraw z linią jednej partii, mam nieodparte wrażenie, że stawką, o którą zagrał przygotowując list Episkopatu kard. Grzegorz Ryś, nie była polityka czy władza, ale Ewangelia. Której przesłanie – może jednak Tischner miał rację – wciąż pozostaje przed nami.

I jeszcze jedno, w związku z tym, ile powyżej znalazło się pojęć związanych z naukową refleksją o Bogu. „Są tacy, którzy uważają, że mówienie publicznie o teologii jest nie na czasie. W rzeczywistości jest to pilniejsze niż kiedykolwiek. Bo gdy ideologie przebierają się w język wiary – jak dzieje się to u Thiela i innych nowych proroków przemocy – jedyną odpowiedzią nie może być ani zakłopotane milczenie zwolenników laicyzmu, ani nostalgia tradycjonalistów" – pisze cytowany już bp Antonio Staglianò, dodając trzeźwo, że „człowiek nie jest ani aniołem, ani bestią, ale zranioną istotą, która może się wyleczyć tylko wtedy, gdy zgodzi się być kochana".

Dokument Papieskiej Akademii Teologicznej również ukazał się w Wielkim Tygodniu. ©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

POŻEGNANIE

Andrzejowi
najserdeczniejsze wyrazy współczucia
w związku ze śmiercią Taty

Ś.†P.

Edwarda Leśniaka

wieloletniego pracownika
„Tygodnika Powszechnego" i wydawnictwa Znak,
znakomitego redaktora technicznego
i dyrektora do spraw produkcji

składają

PRZYJACIELE Z „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"
I FUNDACJI TYGODNIKA POWSZECHNEGO

eprasa.pl 2b98c8e853



BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Przemysław Czarnek na Konwencji Prawa i Sprawiedliwości, podczas której ogłoszono jego kandydaturę na premiera. Kraków, 7 marca 2026 r.

Rewizjoniści

STEFAN SĘKOWSKI

POLITYKA | Koniec z jednolitym frontem ideologicznym na prawicy. Dyskusja wokół polexitu oraz nieprzewidywalna polityka Donalda Trumpa wykopały rów, który trudno będzie zasypać.

W połowie marca senator Prawa i Sprawiedliwości Jacek Włosowicz skrytykował swoją partię za sprzeciw wobec ustawy o pożyczce SAFE. Po tym, jak został z PiS wyrzucony, odbył *tournée* po mediach, twierdząc, że ugrupowanie zrobiło tak tylko dlatego, że SAFE nie przyniósłby mu politycznych korzyści. Włosowicz, w przeszłości skarbnik Suwerennej Polski, a więc najbardziej eurosceptycznego składnika Zjednoczonej Prawicy, udowadniał, że działanie to było niezgodne z polską racją stanu.

Chwilę wcześniej były europoseł PiS i minister ds. europejskich Konrad Szymański opublikował w „Rzeczpospolitej" artykuł, który wzbudził niezwykłe poruszenie. Wskazywał na to, że postawa PiS i „suwpolizacja" jego polityki ustawia nas na kursie do izolacji w Europie, a w konsekwencji do polexitu.

Prezentując się jako eurorealista, świadomy licznych wad i zaniedbań Unii Europejskiej, pisał, że „litania prawdziwych i nieprawdziwych wad i win Brukseli (...) brzmi coraz bardziej pusto i nielogicznie", zaś „stworzona z półprawd i kłamstw zasadnicza nieufność do Europy wymusza dryf całego PiS w ślepą uliczkę eurofobii". Od podobnego dryfu na Wyspach zaczął się brexit.

Bez pardonu o Trumpie

Nie są to najostrzejsze oskarżenia wobec prawicy ze strony byłych dyplomatów epoki PiS. „Ja rozumiem, że jak się z jednej strony tyle w coś zainwestowało, ile polska prawica w Trumpa, a z drugiej boi się, że jak on przegra, to pociągnie za sobą do grobu także nas, to owocuje to określonymi psychologicznymi skutkami. Nie czynię więc nikomu zarzutu z milczenia. Ale milczeć o czymś to jedno, a aktywnie udawać, że się tego czegoś nie dostrzega, że tego czegoś w ogóle nie było (...) to coś innego" – nie jest to rytualne okładanie prawicy ze strony „liberalnego salonu", tylko fragment felietonu Piotra Skwiecińskiego (byłego ambasadora RP w Armenii i szefa PAP z pisowskiego nadania), opublikowanego w grudniu na łamach „Tygodnika Solidarność".

W chórze zdeklarowanych krytyków Trumpa jest też były ambasador w USA i Izraelu Marek Magierowski, który na łamach Wirtualnej Polski opisywał podejście amerykańskiego prezydenta do dziennikarstwa: „to władze mają patrzeć na ręce mediom, by za bardzo nie odbiegały od »patriotycznej linii«. A gdy wierzgają, zawsze można im odebrać licencję (...) wytoczyć proces na dziesiątki milionów dolarów, albo tak pokierować niektórymi biznesowymi transakcjami, by stacje TV, rozgłośnie radiowe czy portale trafiły do zaprzyjaźnionych oligarchów".

Magierowski, co w środowisku polityków PiS jest herezją, posuwa się wręcz do porównywania Trumpa do Putina. I nie jest to ujęcie zarezerwowane tylko dla oczu mainstreamowego czytelnika, bo ten sam autor na łamach „Gościa Niedzielnego" wskazuje, że w kręgach amerykańskiej władzy coraz częściej obecni są „biali supremacyści".

A jeśli nawet Wojciech Mucha, były prawicowy naczelny „Dziennika Polskiego" (przejętego przez Orlen z całym koncernem Polska Press) krytykuje Viktora Orbána za zawłaszczanie państwa (choć akurat w mediach społecznościowych, a nie w „Gazecie Polskiej", z którą jest związany), to znaczy, że wewnątrz okołopisowskiej prawicy coś pękło.

Trzy małpki

Dlaczego właśnie teraz? Przecież to, że Orbán tworzy nad Balatonem wzorcową ↦

eprasa.pl 2b98c8e853

↦ prorosyjską kleptokrację, było wiadome od lat. Również pierwsza kadencja Trumpa pokazała, że nie liczy się on ze swoimi sojusznikami, wykorzystując Stany Zjednoczone jako wehikuł do pomnażania majątku swojego i powiązanych z nim ludzi. Z dojrzałą strategią najważniejszego mocarstwa globu miało to niewiele wspólnego, tak samo jak obecna wojna z Iranem.

Ci, którzy ostrzegali przez Trumpem i Orbánem, byli (i wciąż są) zapisywani do obozu liberalno-lewicowego, albo uważani za „pipi prawicę", która zamiast skupiać się na tym, co jest naprawdę ważne, interesuje się jakimiś błahostkami typu praworządność. Przytłaczająca większość prawicowców (nie licząc przedstawicieli niezależnych środowisk, takich jak Klub Jagielloński czy Nowa Konfederacja) latami była jak słynne „trzy małpki". Jak to się stało, że dziś część z nich przejrzała na oczy?

Gdzie wtedy byliście

Ponad dekadę temu prawica zdominowała wyobraźnię Polaków w sprawach publicznych. Łącząc społeczny przekaz godnościowy z dumą z polskości, zaspokoiła braki spowodowane przez niedostrzeganie wartości patriotyzmu, rozumianego szerzej niż płacenie podatków i sprzątanie po psie. Dostrzegła też pozostawienie odłogiem świadomej polityki historycznej (na rzecz zachłyśnięcia się Europą), a także brak wrażliwości społecznej po stronie politycznego centrum i... lewicy. W kwestii polityki międzynarodowej prawica połączyła konserwatyzm obyczajowy z przekonaniem o swej prometejskiej roli, co nominalnym suwerenistom pozwoliło jednocześnie myśleć w kategoriach światowej misji ideologicznej.

Zarazem erozja polskiej praworządności i demokracji liberalnej stała się słoniem w pokoju, którego nie zauważali. Te kwestie nie były dla nich wielką wartością. A jeśli nawet coś ich drażniło, to uważali, że od dekad jest to pole walki między prawicą i liberałami (a wcześniej lewicą), i także przez drugą stronę bywa wykorzystywane jako łup polityczny. Łatwo było zwalczyć dysonans poznawczy mówiąc, że poprzednicy robili przecież dokładnie to samo, nawet jeżeli w praktyce to „dokładnie" Zjednoczona Prawica podniosła do sześcianu.

Prawdą jest zarazem, że i świat się zmienił przez te lata. Coś, co jeszcze w ubiegłej dekadzie mogło wydawać się korektą lub zakłóceniem demokracji liberalnej, okazało się początkiem jej erozji w kierunku autorytarnym (Słowacja, Węgry czy nawet USA). Winą naszej prawicy było jednak to, że bagatelizowała ten proces aż do niedawna, choć związek między niszczeniem demokracji oraz światowego ładu, opartego na (fakt, że wybiórczo przestrzeganym) prawie międzynarodowym, można było dostrzec już wcześniej. Jeżeli Donaldowi Trumpowi łatwiej dogadać się z Władimirem Putinem niż z Ursulą von der Leyen, to dlatego, że jest z natury autokratą, z tą różnicą, że jeszcze nie ma takich narzędzi do realizacji swojej polityki jak władca Rosji.

Przebudzenie na prawicy jest mniejszościowe i obecne głównie na intelektualnych obrzeżach. Ale za to bardzo twórcze, bo inicjujące dyskusję, przez ostatnią dekadę niemal tam nieobecną.

Polskiej prawicy nie przeszkadzało nawet głoszenie absurdalnej tezy o „ukradzionych wyborach" z 2020 roku; trudno zresztą, żeby było inaczej, skoro sami często głosili ją w odniesieniu do kolejnych porażek PiS. Przy czym nie było to cyniczne podejście spod znaku „Trump to skurczybyk, ale nasz skurczybyk". Grupa rekonstrukcyjna kultu MAGA w Polsce autentycznie uważa, że łączą ją z alt-rightową międzynarodówką pod wodzą prezydenta USA wspólne idee, co liczni politycy PiS i dziennikarze TV Republika próbowali udowadniać podczas konferencji amerykańskich konserwatystów CPAC.

To samo tyczy się Viktora Orbána. Niszcząc węgierską praworządność, robił to między innymi po to, żeby ułatwić powiązanym z nim nowym węgierskim oligarchom drenowanie zasobów krajowych oraz unijnych. A nasza prawica przez lata dawała się mu brać na lep rzekomej wspólnej obrony suwerenności przed Brukselą. W ten sposób czyniła Polskę częścią brudnej wspólnoty europejskich kleptokracji. Obudziła się dopiero, kiedy stało się jasne, że Orbán to koń trojański Kremla w Unii Europejskiej i że jego działania w bardzo istotnym stopniu zagrażają polskiej racji stanu poprzez podkopywanie zdolności obronnych Ukrainy.

Choć i tu nie jest to głos całej prawicy, jeśli wspomnimy choćby występy Karola Nawrockiego u boku węgierskiego premiera oraz obrońców Zbigniewa Ziobry, azylanta w Budapeszcie.

Tylko prawda jest ciekawa

„Przebudzenie" jest więc raczej mniejszościowe i obecne głównie na intelektualnych obrzeżach. Ale za to bardzo twórcze, bo wprowadzające do tego środowiska wewnętrzną dyskusję, przez ostatnią dekadę niemal tam nieobecną. Prawicowi rewizjoniści wbijają klin między obronę racji stanu i poczucie światopoglądowego mesjanizmu, pokazując, że fakt, iż przedstawiciele różnych prawic w Europie i USA mają podobne spojrzenie na kwestie obyczajowe, nie znaczy, że państwa, w których funkcjonują, mają takie same interesy. Albo że politycy ci będą prowadzili politykę zgodną z naszą racją stanu.

Zwłaszcza Szymański zachęca konserwatywne środowiska do otrzeźwienia w kwestii Europy. Odbywa się to na wspólnym fundamencie ideowym, tak jak wtedy, gdy prezes Klubu Jagiellońskiego Paweł Musiałek stara się przekonać polityków PiS, żeby wzorowali się na Georgii Meloni, a nie na Viktorze Orbánie. Albo gdy Kacper Kita na łamach „Nowego Ładu" (choć tu zagłębiamy się bardziej w neoendeckie rejony) przedstawia niuanse polityki USA wobec Wenezueli czy Iranu, dowodząc, że w polskim interesie nie jest entuzjastyczne udawanie się na ideologiczne krucjaty.

Korzyści płynące z prawicowej refleksji wychodzą poza środowiskowe rozliczenia i wewnętrzne dyskusje. Wspólnym wątkiem łączącym teksty „prawicowych rewizjonistów" jest tęsknota za klasycznym rozumieniem prawdy, rozumianej jako zgodność myśli i słowa z rzeczywistością. To nie tylko wewnętrzny sprzeciw wobec postawy „trzech małpek" w komentariacie. To także zauważenie, że post-prawda i kłamstwo stały się sednem polityki, co szczególnie widać dziś w postawie Trumpa nieprzywiązującego do swych słów i postanowień żadnej wagi.

Jak pisze Marek Cichocki z „Teologii Politycznej" na łamach „Rzeczpospolitej":

eprasa.pl 2b98c8e853

„Zamieszczane w mediach społecznościowych filmiki przez administrację Trumpa, czy to dotyczące przyszłości Strefy Gazy, czy teraz wojny w Zatoce Perskiej, wywołują szczere osłupienie, gdyż kompletna fantazja miesza się w nich z brutalną rzeczywistością. Traktowałbym je jednak śmiertelnie poważnie, gdyż są one wyrazem nowego rozumienia polityki jako narzędzia urzeczywistniania fantazji".

Również Marek Magierowski zżyma się na jawne fałszowanie rzeczywistości przez prezydenta USA i na to, że odwraca uwagę od sedna pytań dziennikarzy, wybijając na pierwszy plan ich afiliację. Tak jakby fakty miały mniejsze znaczenie niż to, kto o nich mówi. W odniesieniu do debaty europejskiej Szymański pokazuje, jak szkodliwa jest „selektywnie podawana informacja i zwykła dezinformacja", czyniąca obywateli ślepymi na rzeczywiste efekty naszego członkostwa w UE.

To może dotknąć każdego

Refleksja w środowisku konserwatystów oraz próba powtórnego postawienia prawdy na piedestale może przyczynić się do poważnej dyskusji, mającej na celu szukanie dobrych rozwiązań dla Polski (zwłaszcza teraz, gdy nie możemy być pewni zobowiązań USA w ramach NATO).

Do takiej debaty zaprasza choćby Szymański, który w swoim tekście proponuje nowe spojrzenie na Unię Europejską. Nie traktuje jej jak podmiotu zewnętrznego, tylko jak wspólnotę, którą współtworzymy. Unijne instytucje są tu polem rozgrywek między różnego rodzaju interesami, nie tylko między rządami. Polityki unijne nie są zaś z góry zdeterminowane, a kierunki, jakie obierają, podlegają ciągłym zmianom. Wiele aspektów można ze sobą uzgodnić.

Szymański pokazuje, że realistycznie patrzący na to polski rząd może pchać UE w dobrym kierunku. Ekipa Morawieckiego przed laty jako swój sukces uznała „korzystne zamknięcie negocjacji budżetu wieloletniego UE, uzgodnienie umowy wyjścia Wielkiej Brytanii z UE, która rzetelnie chroni prawa Polaków na Wyspach, czy przyjęcie bezprecedensowych sankcji na Moskwę w reakcji na wojnę". Byłoby miło, gdyby dziś udawało się oceniać polityki unijne z perspektywy ich rzeczywistych skutków, a nie tego, jakie kłótnie na ich temat wywołują Kaczyński i Tusk.

To, że tę „centroprawicową część narracji o integracji europejskiej" stara się przywrócić człowiek jednoznacznie kojarzony ze Zjednoczoną Prawicą, może być również odtrutką na odruchowy euroentuzjazm, który każe ślepo bronić wszystkich propozycji Komisji Europejskiej tylko dlatego, że krytykuje ją prawica.

Być może po lekturze większej liczby podobnych artykułów bardziej umiarkowani politycy PiS (może i sam prezes?) pójdą po rozum do głowy i zatrzymają dryf partii w stronę skrajnego alt-rightu, zanim osiągnie on pęd, którego nie da się powstrzymać. Opowieść o tym, że „tylko prawda jest ciekawa" i wskazywanie na to, że suwerenizm i prężenie muskułów też powinny mieć swoje granice, mogą stać się znakiem rozpoznawczym dla nowego, bardziej umiarkowanego skrzydła w PiS. Czy skupi się ono wokół Morawieckiego czy kogoś zupełnie nowego, nie ma dziś znaczenia. Tendencja jest jednak prawdopodobna, im bardziej dotychczasowe buksowanie w koleinach oraz próby licytowania się z Braunem będą prowadzić do erozji poparcia dla PiS.

■■■

Niestety, nie jest to pewne. Wskazanie Przemysława Czarnka jako kandydata na premiera każe na razie wątpić w zmianę kursu. Nie można również przeceniać wpływu publicystyki na rzeczywistość polityczną: tu i teraz. Ale „tu i jutro", kto wie. Na razie warto docenić fakt, że pewne ważne akcenty znów, a niektóre wreszcie, wracają do prawicowego dyskursu. Mogą być początkiem otwarcia na to, co ważne. I prawdziwe.

© STEFAN SĘKOWSKI

POŻEGNANIE

Z najgłębszym smutkiem żegnamy
zmarłego w Krakowie 31 marca 2026 roku

Ś.†P.

Edwarda Leśniaka

który był filarem Wydawnictwa Znak,
pełniąc w nim przez 43 lata różne funkcje techniczne,
by z czasem zorganizować drukarnię, kierować nią,
objąć stanowisko dyrektora ds. produkcji.

Do śmierci związany ze Znakiem jako zaufany przyjaciel,
był członkiem zarządu Fundacji im. Hanny Malewskiej.

Jego życzliwość, ciepło, gotowość do pomocy koleżankom i kolegom,
ofiarne oddanie Wydawnictwu, spokój i siła charakteru
w sytuacjach kryzysowych pozostaną w naszej pamięci
i są wzorem dla Jego następców.

Msza św. i pogrzeb odbyły się we wtorek 7 kwietnia
na Cmentarzu Salwatorskim w Krakowie.

Żonie, Synom i całej Rodzinie składamy serdeczne kondolencje

Przyjaciele ze Społecznego Instytutu
Wydawniczego ZNAK

eprasa.pl 2b98c8e853

Kto zda egzamin

ANNA GOC

SZKOŁA | Rodzice głuchego ucznia ósmej klasy: nasz syn musi zdać egzamin w języku, którego nie jest w stanie się nauczyć. Kogo powinniśmy winić za dyskryminację dziecka?

Zaczęło się od przeczuć. Marta i Piotr Bronkowie zauważyli, że ich półtoraroczny syn Gustaw nie gaworzy. Niepokoili się, choć wiedzieli, że badania przesiewowe słuchu wyszły dobrze.

Byli czujni. Martwili się, gdy Gustaw nie reagował na zabawki, które trąbią, brzęczą i warkoczą. Pocieszali się, gdy – podobnie jak inne dzieci – wystraszył się odgłosu pękającego balonu na przyjęciu urodzinowym. Martwili, gdy go wołali, a on się nie odwracał. Pocieszali, gdy w domu rozlegał się dzwonek i mały Gustaw szedł w stronę drzwi.

Laryngolog wyjaśnił, że chłopiec zareagował na balon urodzinowy, bo najpewniej poczuł podmuch powietrza. A do drzwi poszedł za psem, który biegł, by przywitać gości. Ale najpierw lekarz poprosił Martę, by posadziła Gustawa na kolanach, sam usiadł za nimi i zaczął drzeć gazetę. Chłopiec nawet nie drgnął.

– Dźwięk wyrywanych stron jest na tyle irytujący, że jeśli dziecko go usłyszy, musi się odwrócić, by sprawdzić, co się dzieje – powiedział.

Potwierdziły to badania: niedosłuch obustronny, głęboki, ponad 90 dB. Piotr, inżynier, który na co dzień konstruuje statki, wyjaśnia: – Gdyby teraz wylądował obok nas samolot, prawdopodobnie nie obudziłby śpiącego Gustawa.

– Dowiadujesz się, że twoje dziecko jest głuche. I jest to pierwsza głucha osoba, którą w życiu spotykasz – mówi Marta. – Nie masz pojęcia, jak żyją głusi i jakie mają potrzeby.

Potrzeba podstawowa: język

Rok później Gustaw miał operację wszczepienia implantu ślimakowego, który – w uproszczeniu – wychwytuje dźwięki z otoczenia i je przetwarza. Po zabiegu rozpoczął rehabilitację słuchową, która trwała kilka miesięcy. Uczył się rozpoznawać nowe dźwięki. Marta i Piotr zatrzaskiwali drzwi, pukali w szybę, odkręcali wodę. Wychodzili do lasu albo nad rzekę.

– Co to? – pokazywał ciągle Gustaw.

Marta: – Ptaszki, słyszysz, jak śpiewają?

Chodzili na zajęcia do gdańskiego oddziału Polskiego Związku Głuchych, na prywatne zajęcia z logopedą, ćwiczyli w domu. Oglądali historie na obrazkach: na pierwszym talerz leżał na stole, na drugim spadał, na trzecim był rozbity – i równolegle słuchali dźwięków tłuczonego szkła. – Gustaw reagował na dźwięki, ale nie rozumiał tego, co mówiliśmy. I nie powtarzał za nami słów – mówi Piotr. – Rehabilitanci uspokajali, że ten proces może zająć nawet rok. Jednak i po tym czasie Gustaw nie rozumiał mowy.

Wtedy zdecydowali się na drugą operację wszczepienia implantu. I znów: zabieg, rehabilitacja, ćwiczenia. Marta: – Gustaw miał już prawie pięć lat i nie potrafił posługiwać się językiem.

Wymyślili proste gesty na domowy użytek: chcę jeść, chcę pić, muszę do toalety. – Pamiętam tamten wieczór. Byliśmy zdeterminowani, żeby znaleźć sposób na kontakt z synem – mówi Piotr.

– W internecie trafiliśmy na informacje o języku migowym. Dotąd logopedka odradzała nam używania nawet prostych gestów, które wymyśliliśmy w domu. Gdy czekaliśmy przed jej gabinetem, pilnowałam się, żeby niczego Guciowi nie pokazywać rękami, bo takie były zalecenia. A przecież inaczej nie potrafiliśmy się porozumieć – wspomina Marta.

– I zgodnie z zaleceniami posłaliśmy Gustawa do przedszkola ze słyszącymi dziećmi – dodaje Piotr. – Usłyszeliśmy od logopedki, że nasz głuchy syn otoczony słyszącymi dziećmi tak bardzo będzie chciał się z nimi porozumieć, że zacznie mówić.

Gustaw chodził do przedszkola ze słyszącymi przez rok. Piotr: – Codziennie musiałem go w jakiś sposób przekonywać, żeby wsiadł do samochodu. Zawsze płakał, gdy dojeżdżaliśmy do przedszkola.

Marta: – Kończyłam pracę o czternastej i biegłam po niego, bo wiedziałam, że jemu tam jest źle. Nie ma kolegów, jest nierozumiany.

Równolegle Marta zapisała się na kurs języka migowego.

Potrzeba samorealizacji: szkoła

W Gdańsku nie ma szkoły dla głuchych, najbliższa jest w Gdyni. Marta i Piotr dowiedzieli się, że gmina organizuje dojazd dla głuchych dzieci z Gdańska. – Moje pierwsze zaskoczenie? Kierowca busa nie potrafił migać, nie był w stanie się porozumieć z wsiadającymi dziećmi. Nie było też tłumacza, więc gdyby dzieciom stało się coś po drodze, nie byłoby z nimi kontaktu – mówi Piotr. – Znaliśmy już niektóre znaki języka migowego, więc potrafiliśmy Guciowi wytłumaczyć, dlaczego ma wsiąść do busa, dokąd pojedzie i że za kilka godzin do nas wróci.

Przez pierwsze tygodnie Piotr jeździł samochodem za busem, by mieć pewność, że wszystko jest w porządku.

Klasa okazała się trzyosobowa. Dwóch kolegów Gustawa było głuchych, mieli także głuchych rodziców. W takich rodzinach dzieci uczą się polskiego języka migowego (PJM) na podobnej zasadzie jak słyszące dzieci w słyszących rodzinach. Chłopcy migali więc biegle. Gustaw obserwował ich i uczył się migać. – Okazało, że Gucio miga inaczej, niż uczyliśmy się na kursie. On migał w PJM, naturalnym i często pierwszym języku osób głuchych. My w tzw. systemie językowo-migowym, który polega na tym, że choć używa się znaków migowych, to miga się zgodnie z gramatyką języka polskiego, która jest różna od gramatyki języka migowego – mówi Marta.

– Gustaw chłonął język, z tygodnia na tydzień migał do nas coraz trudniejszymi zdaniami. Na początku nagrywaliśmy go i wysyłaliśmy filmiki znajomej, która zna biegle PJM, żeby nam przetłumaczyła, o co nas pytał. To był dla nas kop do intensywniej nauki PJM, bo jako rodzice chcieliśmy być o krok w języku przed nim – mówi Piotr. – Jeśli nasz młodszy słyszący syn Władek zapyta, jaką rybę może złowić w jeziorze, swobodnie mogę mu odpowiedzieć. Chcę mieć taką komunikację z Gustawem.

eprasa.pl 2b98c8e853



ARCHIWUM PRYWATNE

Gustaw Bronk z rodzicami Martą i Piotrem oraz młodszym bratem Władkiem. Gdańsk, marzec 2026 r.

W Trójmieście nie znaleźli kursów PJM. Jedyny, na który zapisała się Marta, był z systemu językowo-migowego (SJM). Niedługo później w ramach Stowarzyszenia Okno na Świat, które prowadzą, ściągnęli do Trójmiasta lektorów PJM i zaczęli sami organizować kursy: PJM, a potem języka polskiego dla głuchych.

– W czasie pandemii zdaliśmy sobie sprawę, że w szkole dla głuchych nie wszyscy nauczyciele migają. Na zdalnej lekcji zobaczyłam nauczycielkę, która mówiła do mojego głuchego syna – opowiada Marta. – Nie wytrzymałam i włączyłam się, żeby zapytać, czy może migać, bo mój głuchy syn jej przecież nie słyszy. Odpowiedziała, że wszystko mu „przemiga", ale nie zdążyła przed końcem lekcji.

Piotr: – Wymaganie od głuchych dzieci, by słuchały nauczycieli, którzy do nich mówią, jest jak powiedzenie dziecku, które porusza się na wózku, by spróbowało przeskoczyć przez płotki.

W Polsce wciąż nie ma obowiązku znajomości PJM, gdy zatrudnia się nauczyciela w szkole dla głuchych. Poza tym, jak zwracają uwagę nauczyciele i dyrektorzy szkół, na studiach surdopedagogicznych, które przygotowują do zawodu, liczba godzin PJM jest niewystarczająca, by opanować go biegle.

Z informacji, które przekazała mi gdyńska szkoła dla głuchych, wynika, że sytuacja w porównaniu do tej sprzed kilku lat, gdy Gustaw był jej uczniem, poprawiła się. Jeśli lekcję prowadzi nauczyciel, który nie potrafi biegle migać, albo jest w trakcie kursu z PJM, głusi uczniowie mają zapewnionego tłumacza. Od 2023 r. w szkole są prowadzone kursy PJM, ze wsparciem PZG i PFRON, z których mogą korzystać nauczyciele i inni pracownicy. W szkole pracują też głusi absolwenci.

Edukacja do reformy

Na stan edukacji głuchych dzieci i trudną sytuację samych szkół eksperci zwracają uwagę od kilkunastu lat. Już w 2014 r. autorzy raportu Rzecznika Praw Obywatelskich pt. „Edukacja głuchych" podkreślali, że ich prawo „do edukacji w najodpowiedniejszym dla nich języku – polskim języku migowym – nie jest w Polsce realizowane".

„Nauczyciele pracujący z niesłyszącymi uczniami nie muszą znać języka migowego, a do potrzeb uczniów, którzy się nim posługują, nie dostosowano podstawy programowej, podręczników i arkuszy egzaminacyjnych" – to z kolei pierwsze zdania podsumowania raportu NIK z końca 2022 r. Wynika z niego, że w 15 szkołach, które były objęte badaniem, na 674 nauczycieli tylko 40 proc. zadeklarowało, że zna PJM, a 35 proc., że posługuje się SJM.

„Zdaniem dyrektorów kontrolowanych placówek, uczeń często zna prawidłową odpowiedź na pytanie egzaminacyjne, jednak nie jest w stanie rozkodować samego pytania" – piszą kontrolerzy NIK. A sami nauczyciele podkreślają, że sytuacja jest trudna, bo w szkołach dla głuchych są też słabosłyszący uczniowie, którzy znają język polski i nie posługują się PJM, a także uczniowie z innymi potrzebami komunikacyjnymi, np. z afazją.

W marcu 2024 r., na zlecenie MEN, Uniwersytet Warszawski uruchomił studia podyplomowe pn. „Polski język migowy dla nauczycieli". Ewelina Gorczyca, rzecznik prasowy MEN, podkreśla, że dzięki studiom nauczyciele mają osiągnąć biegłość w PJM na poziomie B2. Zaznacza także, że opracowano rekomendacje dot. wykorzystania PJM w kształceniu uczniów głuchych. Tematem ma się zająć także Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego i rozważyć zmiany w przepisach, by nauczyciele po studiach, którzy zaczynają pracę w szkole dla głuchych, znali PJM na poziomie B2. Z informacji przesłanych przez rzeczniczkę wynika, że MEN wystąpiło także do CKE o analizę propozycji dostosowań arkuszy egzaminacyjnych w roku 2026/2027. ↦

eprasa.pl 2b98c8e853

Pierwsza klasa terapeutyczna

↦ Śledzę tę historię od kilku lat. Pod koniec kwietnia 2024 r. spotkaliśmy się w Szkole Podstawowej nr 15 w Gdańsku. Gustaw był wtedy jej uczniem od kilku miesięcy. Jego rodzice, ze wsparciem władz Gdańska i przychylnością dyrekcji szkoły, zorganizowali tu klasę terapeutyczną. W klasie Gustawa jest ośmioro słyszących dzieci, a na każdej lekcji są tłumacze PJM. Gdy dzieci grają w coś na wuefie, tłumacze stoją obok i migają. Gdy Gustaw miga wiersz z pamięci, tłumaczą go na język polski. Są na każdym apelu, na każdej wycieczce klasowej.

Na rozpoczęciu roku szkolnego tłumacze opowiedzieli o języku migowym i o kulturze głuchych. O tym, że PJM jest jak każdy inny język – ma bogate słownictwo, własną gramatykę. Żeby nie mówić za plecami osoby głuchej, chcąc zwrócić jej uwagę, wystarczy lekko uderzyć w ramię.

– To jest inne dziecko – mówi Marta. – Rozumie, co dzieje się na lekcjach.

Weszliśmy do niewielkiej klasy gdańskiej podstawówki. Gustaw zajął miejsce w trzeciej ławce. Obok nauczycielki stała tłumaczka PJM. Rozmawiali o umięśnionych ptasich skrzydłach. O piórach: puchowych, pokrywowych, sterówkach i lotkach. O tym, że są kości pneumatyczne, czyli takie, które są wypełnione powietrzem. Nauczycielka używała specjalistycznego słownictwa, ale to nic nie szkodzi – dzięki tłumaczom PJM Gustaw je rozumiał.

– Zależało nam na tym, by mógł przyswajać wszystkie informacje, które dostają słyszące dzieci. Stąd pomysł, by powstała pierwsza w Polsce klasa terapeutyczna i dwujęzyczna – mówi Piotr. – Dostaliśmy informację z urzędu miasta, że w Trójmieście jest ponad 90 dzieci z dysfunkcją słuchu w wieku od siedmiu do czternastu lat, w 88 szkołach. Niektóre z nich mają implanty i funkcjonują jak słyszące, ale są też dzieci, które mogą nie rozumieć tego, co dzieje się na lekcjach. Są rozproszone po placówkach, więc ich codziennych zmagań nie widać.

I dodaje: – W Gdańsku stworzyliśmy model edukacyjny, który działa. Gustaw osiąga bardzo dobre wyniki w nauce, dostał stypendium. To pokazuje, że dzieci głuche mogą osiągnąć wszystko. Pod warunkiem, że mają zapewnioną komunikację w języku, którym się posługują.

Z Gustawem zrobiliśmy wszystko, by opanował język polski. **Dlaczego teraz ma za swój wysiłek zapłacić podwójnie:** trudniejszym dla niego egzaminem i być może gorszym wynikiem?

W międzyczasie Marta skończyła studia logopedyczne i zajęła się rehabilitacją głuchych dzieci. – Spędziłam z Guciem wiele godzin na rehabilitacji, wiedziałam, czego mu brakuje. Przede wszystkim języka i kontaktu z logopedą – mówi. – Najpierw ćwiczymy z dzieckiem w języku, który jest w stanie opanować, dopiero potem wprowadzam język polski. Przez wiele lat panowało przekonanie, że głuche dzieci mają nauczyć się mówić. Choć wiadomo, że nie wszystkie potrafią.

Egzamin ósmoklasisty

Za kilka tygodni Gustaw i jego koledzy podejdą do egzaminu ósmoklasisty. Gustaw będzie go zdawał w języku polskim, który jest dla niego językiem drugim i obcym.

– Jeżeli dla naszego syna PJM jest pierwszym językiem i tym, którym posługuje się biegle, to zdawanie egzaminu w języku polskim będzie dla niego trudniejsze i może na tym stracić, mimo przygotowania – mówi Marta. – Z Gustawem zrobiliśmy wszystko, by opanował język polski. Dlaczego teraz ma za swój wysiłek zapłacić podwójnie: trudniejszym dla niego egzaminem i być może gorszym wynikiem?

Za dostosowanie egzaminów do potrzeb uczniów odpowiada Centralna Komisja Egzaminacyjna. Jej dyrektor Robert Zakrzewski, odpisując na moje pytanie, wyjaśnił, że egzamin ósmoklasisty jest dostosowany do potrzeb osób z niepełnosprawnościami i „nie ogranicza się jedynie do organizacji samego egzaminu, ale obejmuje także odpowiednie przygotowanie arkuszy egzaminacyjnych". Podkreślił też, że arkusze dla uczniów głuchych i słabosłyszących są przygotowywane z przedstawicielami PZG, a potem recenzowane przez specjalistów z zakresu surdopedagogiki.

Poza wydłużeniem czasu pracy na egzaminie, zmiany są też w arkuszach egzaminacyjnych; na języku polskim uczniowie pracują na innym tekście publicystycznym. „Zmienia się również warstwa językowa poleceń i zadań: sformułowania metaforyczne lub przenośne zastępowane są prostszymi i bardziej jednoznacznymi. Dodatkowo wyjaśniane są trudniejsze słowa, których osoba g/Głucha po ukończeniu szkoły podstawowej może nie rozumieć" – pisze dyrektor CKE. Podobnie na egzaminie z matematyki – polecenia i zadania są upraszczane językowo, a w zadaniach otwartych dodaje się pomocnicze zapisy ułatwiające zrozumienie zadania.

System dyskryminacji

Marta i Gustaw zwrócili się do CKE, by tłumacz był nie tylko w momencie, gdy wyjaśniane są procedury, lecz także by mógł przetłumaczyć Gustawowi wszystkie zadania i polecenia egzaminacyjne.

– Dzięki temu, że od blisko trzech lat Gustaw ma tłumaczy na lekcjach i zdobywał wiedzę w swoim naturalnym języku, wiemy, że jest bardzo dobrze przygotowany. Z próbnego egzaminu z języka polskiego zdobył prawie 70 procent, z języka angielskiego blisko 90 procent – mówi Piotr. – To zasługa dwujęzycznej edukacji, którą wywalczyliśmy. Nie wszystkie głuche dzieci miały na nią szansę.

Napisali także do Ministerstwa Edukacji Narodowej i Rzecznika Praw Obywatelskich. A sprawę powierzyli kancelarii prawnej.

– Pełnomocnik terenowy RPO w Gdańsku przesłał nam pismo, które skierował do Biura Pełnomocnika Rządu ds. Osób Niepełnosprawnych oraz do Dyrektora Okręgowej Komisji Egzaminacyjnej w Gdańsku, w którym podkreślił, że choć językiem urzędowym jest język polski, to dla wielu głuchych jest on językiem obcym – mówi Marta. – Zaznaczył także to, że jeśli głusi mają zdawać w języku dla nich obcym, to egzaminy nie sprawdzą ich wiedzy, tylko kompetencje językowe.

Piotr: – To jest pierwszy, ale nie ostatni egzamin Gustawa i nie jest on jedynym głuchym dzieckiem w Polsce, posługującym się PJM. Chcemy, żeby egzaminy były dla dzieci takich jak Gucio w pełni dostępne i zrozumiałe. Jesteśmy gotowi podjąć działania prawne, aby wykazać, że obecny system egzaminacyjny dyskryminuje uczniów głuchych. ©℗ ANNA GOC

eprasa.pl 2b98c8e853

OLGA

Drenda: *Życie w kicie*



Są obszary, w których istnieje pewna milcząca, obustronna zgoda co do pewnej zawartości ściemy i kitu. Nadawca wciska kit albo tak ostentacyjnie, że wiadomo, z czym mamy do czynienia, albo przeciwnie – stąpa po cienkiej, lecz wyraźnej linii, świadomy, że odbiorca mu do końca nie wierzy. Ten zaś wysłuchuje i może nawet z uprzejmości przytakiwać, chociaż od początku i tak wie swoje (wyobraźmy sobie tu w ramach efektu dźwiękowego pobłażliwe „tak, tak" albo piękne i zwięzłe śląskie „ja, mhm"). Ale czasami decyduje się dla jakichś własnych korzyści – na przykład poprawy samopoczucia i przyjemności zapatrzenia się w czarodziejskiego ptaka ułudy – do jakiegoś stopnia ten kit kupić. Wiem, że to nieprawda, mówi sobie, ale co mi szkodzi. Obnażanie faktów może być ekscytujące, ale z jakiejś przyczyny ludzie wciąż urozmaicają sobie życie wymyślaniem plotek.

Takie obszary uzgodnionego społecznie kitu to na przykład reklama, programy typu reality show albo kampania wyborcza. Odbiorcy wiedzą, że to nie jest na serio, że żel pod prysznic nie przenosi na rajską wyspę, że „spontaniczne" sceny w programie zostały wyreżyserowane i że zwycięska partia jak zwykle rozczaruje, ale w jakimś stopniu zgadzają się na to, by im pięknie kłamano. To taka niepisana umowa o obecności pewnej dawki (limitowanej, na przykład przez Komisję Etyki Reklamy) ściemy w życiu codziennym.

Ale – mimo wszystko – chyba możemy się zgodzić, że do takich obszarów raczej nie należy edukacyjne konto internetowe o architekturze. Gdy ktoś twierdzi, że „popularyzuje wiedzę", to chciałabym ufać, że jest to ktoś biorący odpowiedzialność za swoje słowa. Ale, widać, czynię nieroztropnie.

Przypadkiem trafiłam na taki kanał internetowy, gdzie w jednym z filmów „popularyzator wiedzy o architekturze" coś bardzo przeinaczał, myląc ze sobą dość znane zjawiska. Ktoś z widzów w dobrej wierze chciał to sprostować i coś dopowiedzieć. Niebaczny! Popularyzator odpisał mu z pełnym samozachwytem: „to moja ściema sprawiła, że się odezwałeś i zwiększyłeś widoczność mojego filmu!".

Bez kitu!



OLGA DRENDA

Nigdy tak bardzo nie marzyłam o tym, żeby siłą odebrać komuś telefon i wrzucić do najbliższej rzeki. Nie chodziło jedynie o tę bałwańską arogancję. Najbardziej chyba o to, że był tak łapczywy i przez to swój kit wciskał topornie i bez wdzięku. Każdy sprzedawca magicznych garnków wysłałby go do przedszkola. Oczywiście, było w tym coś z przestrogi: zobaczcie, czego to człowiek nie zrobi dla zysku. Ale też przypomnienie, jak dziwnym zjawiskiem była internetowa „era influencera".

Gdy dopiero rozpowszechniał się dostęp do internetu, kampanie i memy mówiły jednym głosem, że sieć daje nieskończone możliwości udawania i kłamania. Satyryczny rysunek z „New Yorkera" (już z 1993 roku!) głosił: „w internecie nikt nie wie, że jesteś psem". Mało kto posługiwał się prawdziwym imieniem. Na plakacie znanej ostrzegawczej kampanii społecznej obleśny dorosły podszywał się pod 13-letnią Anię.

Ale później coś się zmieniło: na krótką chwilę internet dawał szansę, by zostać sławnym i żyć z tego, że jest się po prostu sobą. Popularny profil w internecie mógł założyć każdy, człowiek z ulicy jak ja i ty, wystarczyło, że miał jakiś pomysł i odrobinę determinacji. Niektórzy skorzystali z tego okienka szczęścia i zarobili sobie już pewnie na emeryturę. Tym, co im służyło, była aura autentyczności, która sprzyjała zaufaniu w to, że ktoś zachowuje się naturalnie i raczej mówi to, co faktycznie myśli. Influencerzy świadczyli przecież swoją twarzą i nazwiskiem, a kto chciałby stracić twarz? Przecież czasem nawet pokazywał ją bez makijażu! Z punktu widzenia publiczności była to wielka ulga: móc odpocząć od ściemy.

Oczywiście, nie da się być sobą bez końca, zwłaszcza na wizji. Influencerzy musieli w końcu stać się aktorami zawodowo grającymi jedną rolę – siebie. Publiczność przez jakiś czas „aktualizowała system": ludziom zdarzało się wierzyć w to, że gdy ktoś płacze, to koniecznie musi włączyć kamerę, albo w to, że filmiki z idealnego życia rodzinnego to spontaniczne sceny z codzienności, a nie produkcje realizowane w wynajętych pomieszczeniach, które sprząta zawodowa ekipa. Koniec końców „naturalni i normalni" ludzie z internetu stali się tak samo odlegli i niewiarygodni jak zawodowi celebryci.

Publiczność nabrała dystansu, choć trudno było pożegnać się z obietnicą autentyczności. Teraz ta dziwna anomalia najwyraźniej dobiegła końca. Standardem jest ponownie świat magicznych garnków. Na szczęście człowiek się na to dość szybko uodparnia i zaczyna udawać, że słucha, a w rzeczywistości ma ochotę pokazać, że jedzie mu tu czołg. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

eprasa.pl 2b98c8e853

ŚWIAT

PĘPEK ŚWIATA

Relacje z Rosją i Ukrainą zdominowały końcówkę kampanii wyborczej nad Dunajem. Jak to możliwe, że tak wielu wyborców Fideszu usprawiedliwia zażyłe kontakty szefa węgierskiej dyplomacji z Kremlem?

MARCIN ŻYŁA Z WĘGIER



Widmo krąży nad Europą, widmo samozagłady. Słabnący i porzucany przez Amerykę kontynent, rządzony przez unijnych biurokratów, uparcie działa na swoją szkodę – a to wysyłając pieniądze i broń Ukrainie, a to upierając się przy „zielonej transformacji", a to zapominając o chrześcijańskiej tożsamości.

To obraz otoczenia Węgier, jaki od miesięcy przekazują tutaj państwowe media. Obraz, do którego sprzyjający władzy komentatorzy na bieżąco dodają kolejne elementy. Wojna z Iranem? Obnaża nieprzygotowanie Europy. Pogróżki Zełenskiego pod adresem Viktora Orbána? Dowód, że Ukraina jest państwem awanturniczym. Logika tej propagandy jest spójna, a wynikający z niej wniosek oczywisty: spokój i pokój zapewni Węgrom wyłącznie Orbán.

Intensywność tej propagandy jest wprost proporcjonalna do faktu, że po raz pierwszy od lat władza Orbána jest dziś realnie zagrożona.

Napięcia na pograniczu

W ostatnich dniach kampanii przed wyborczą niedzielą, 12 kwietnia, Fidesz i prowadząca w sondażach opozycyjna Tisza postawiły na częste wiece w małych miejscowościach. Péter Magyar, lider Tiszy, odbywa nawet po 5-6 spotkań dziennie. Chce zdążyć z odwiedzeniem wszystkich okręgów wyborczych. Z kolei wiece Fideszu gromadzą zwykle po kilkaset osób, ale ich oprawa robi wrażenie – nie tylko w telewizji.

Tak było 25 marca w Ostrzyhomiu, 30-tysięcznym mieście na północy kraju, które przez Dunaj graniczy ze słowackim Šturovem. U stóp wzgórza, na którym stoi słynna bazylika, siedziba najstarszego węgierskiego biskupstwa, scenę ustawiono przodem ku rzece.

Gdy wszedł na nią Orbán, gdy zapalono pochodnie, a w niebo wystrzeliły reflektory, trudno było uciec od wrażenia, że przemawia on także do Węgrów z drugiego brzegu. Istotnie: po wiecu sznur wracających na Słowację aut ustawił się do wjazdu na graniczny Most Marii Walerii.

Pas słowackiego terytorium wzdłuż granicy z Węgrami to miejsce symboliczne. Po upadku komunizmu odżyły tu historyczne napięcia między Bratysławą a węgierską mniejszością i występującym w jej obronie Budapesztem.

Po czecho-słowackim „aksamitnym rozwodzie" i powstaniu w 1993 r. niepodległej Słowacji, Węgry długo odmawiały uznania granicy. Politycy w Budapeszcie deklarowali, że gdy celem jest ochrona Węgrów, dopuszczalna jest ingerencja w słowackie sprawy (trzeba dodać, że także ówczesny premier Vladimír Mečiar wykorzystywał 400-tysięczną diasporę węgierską w wewnętrznej polityce).

Napięcia załagodziło wspólne wejście obu krajów do Unii Europejskiej. Jednak od kilku lat, na nowo, do interesu etnicznych Węgrów poza krajem odwołuje się Orbán.

Ukraina w sondażach

Najwyraźniej widać to dziś w relacjach z Ukrainą. Na Zakarpaciu – do końca I wojny światowej terytorium należącym do Królestwa Węgier, a następnie do Czechosłowacji – mieszka wciąż ok. 100 tys. Węgrów.

– Wojna w Ukrainie ma dla Węgrów także osobisty wymiar – wyjaśnia Sándor Gallai, politolog z Uniwersytetu Korwina w Budapeszcie. – Trzeba pamiętać, że także ci z zakarpackich Węgrów, którzy mają podwójne obywatelstwo Ukrainy i Węgier, podlegają obowiązkowej służbie wojskowej. Niektórzy uciekają przed poborem, inni bronią na froncie swojej ojczyzny, Ukrainy.

Gallai mówi, że wie, iż z polskiej perspektywy wojna w Ukrainie wydaje się bliska. Jednak Węgrzy patrzą na nią ina-

eprasa.pl 2b98c8e853



JAAP ARRIENS / NURPHOTO / GETTY IMAGES

„Nie pozwól, aby Zełenski śmiał się ostatni" – taki przekaz widzą codziennie mieszańcy Budapesztu na reklamach wyborczych Fideszu. Węgry, 19 marca 2026 r.

czej. – Wśród jej śmiertelnych ofiar zdarzają się osoby o węgierskich nazwiskach. To dodatkowo wzmacnia przekaz Fideszu – dodaje politolog.

Na Węgrzech właściwie wszystko, co kojarzy się z Kijowem, jest groźne dla sondaży. Według badania z jesieni 2025 r. połowa Węgrów uznaje Ukrainę za państwo niebezpieczne, dwie trzecie sprzeciwia się jej wstąpieniu do Unii, a trzy czwarte nie chce, aby Budapeszt pomagał jej finansowo.

Deklaracje Magyara

„Nie pozwól, aby Zełenski śmiał się ostatni" – taki przekaz widzą codziennie mieszkańcy Budapesztu na reklamach wyborczych Fideszu, umieszczonych na przystankach. Domniemanych powiązań polityków opozycji z „mocodawcami z Kijowa" ekipa Orbána używa jako straszaka. Ostatnio oskarżając o szpiegostwo na rzecz Ukrainy np. dziennikarza śledczego Szabolcsa Panyi'ego.

– Tego typu powiązań władze będą w ostatnich dniach kampanii wciąż używać w celu zdyskredytowania Tiszy – uważa Sándor Gallai. – Wcześniej też już próbowały rzucać na opozycję podobne podejrzenia. Obywatel Ukrainy, który organizował wizytę Magyara na Zakarpaciu, został uznany za *persona non grata* na Węgrzech.

To wszystko powoduje, że także Tiszę trudno uznać za partię sprzyjającą Ukrainie. Magyar sprzeciwia się „szybkiej ścieżce" dla niej do Unii Europejskiej i nie wyklucza referendum w sprawie ewentualnego jej członkostwa. Nie chce też wysyłać jej pomocy wojskowej, a jego posłowie w Parlamencie Europejskim głosowali przeciw pożyczce dla Ukrainy w wysokości 90 mld euro.

„Nikt nie chce na Węgrzech proukraińskiego rządu" – deklarował 28 marca lider Tiszy i patrząc na stosunek Węgrów do Ukraińców trudno oczekiwać, by po ewentualnej wygranej złagodził tę retorykę. Tym bardziej że on także odwołuje się do węgierskiej dumy: w minionym roku Magyar przeszedł 300 km dzielących Budapeszt do granicy z Rumunią, co miało symbolizować jego chęć „zjednoczenia" narodu.

„Zawsze do usług"

Tisza nie jest jednak partią prorosyjską. Natomiast jak bardzo prorosyjska jest ekipa Orbána, dowiedzieliśmy się w tych dniach. ↦

eprasa.pl 2b98c8e853

↦ Wspomniany Panyi wraz z kilkorgiem innych dziennikarzy z Europy Środkowej opublikowali pod koniec marca materiał, z którego wynika, że minister spraw zagranicznych Péter Szijjártó dostarczał Rosjanom strategiczne informacje na kluczowe tematy prosto z unijnych spotkań w Brukseli.

Szijjártó próbował też doprowadzić do zawieszenia unijnych sankcji nałożonych na wpływowego rosyjsko-uzbeckiego biznesmena Aliszera Usmanowa (jednego z najbogatszych ludzi w Rosji), zablokować kolejną transzę sankcji i uchronić przed ich skutkami rosyjskie przedsiębiorstwa. W rozmowach telefonicznych zapewniał Ławrowa, że można liczyć na wsparcie Słowacji w tych działaniach. „Zawsze jestem do twojej dyspozycji" – deklarował.

Te sensacyjne informacje, które w większości państw Europy wywołałyby dymisję ministra, kryzys rządu i oskarżenia o zdradę, na Węgrzech nie wzbudziły jednak znaczącego poruszenia wśród sympatyków Orbána. Sam Szijjártó nie kryje swoich kontaktów, uznając je za część normalnej aktywności dyplomatycznej.

Logika Orbána

Sándor Gallai, który wykłada także w Mathias Corvinus Collegium (to prywatna uczelnia, uznawana za sprzyjającą Fideszowi Orbána), uważa, że na węgierskie relacje z Rosją warto patrzeć w szerokim kontekście: gospodarczym i strategicznym.

– Dziś w świecie dla mniejszych krajów, takich jak Węgry, kluczowe jest zróżnicowanie stosunków zagranicznych, w pewnym sensie rozbicie ich na wiele mniejszych, niezależnych od siebie relacji – przekonuje politolog.

– Częściowo wynika to z przesunięcia centrum gospodarczego świata z Zachodu na Daleki Wschód. Ale także z tego, że rosyjskie źródła energii są tak tanie. Jednym z powodów spadku znaczenia Unii Europejskiej w świecie, o czym Orbán mówi często, jest utrata konkurencyjności gospodarczej. To rzecz niezwiązana z ideologią, tylko fakt ekonomiczny: im wyższe ceny energii, tym mniej konkurencyjna gospodarka – dowodzi Gallai.

Dalej politolog wymienia: zielona transformacja, wojna w Ukrainie i sankcje nałożone na Rosję mają sprawiać, że Europa przegrywa w świecie wyścig z innymi. – Właśnie dlatego węgierski rząd naciska także na szczeblu europejskim na zacieśnienie współpracy z Rosjanami – mówi Gallai.



MARCIN ŻYŁA

Plakat wyborczy Fideszu w Kecskemét, środkowe Węgry, 24 marca 2026 r.

– To według Orbána jedyny ratunek dla naszych gospodarek. Takie podejście nie jest związane z żadną ideologią. Dopiero tu nakłada się na nie kwestia moralności. Tisza twierdzi, że biznes jest ważny, ale nie za wszelką cenę. Także większość państw Unii używa argumentów natury etycznej. Jest jednak też mniejszość, która ma tendencję do bardziej pragmatycznego podejścia. Fidesz i Orbán należą właśnie do niej – mówi Sándor Gallai.

System sprzyja władzy

Na kilka dni przed wyborami faworytem jest Tisza. Od ponad roku jej przewaga nad Fideszem nie spadła poniżej 9 procent. W cytowanym przez „Politico" sondażu z 28 marca, jeszcze sprzed ujawnienia informacji o kontaktach Szijjártó z Ławrowem, wynosiła 11 procent.

Kłopot w tym, że system wyborczy – wielokrotnie dopasowywany przez Fidesz do własnych potrzeb – wyjątkowo sprzyja dotychczasowej władzy.

Już po wyborach z 2010 r. – ostatnich uznawanych za spełniające normy demokratyczne – Fidesz zmniejszył liczbę posłów do 106. Są wybierani w okręgach jednomandatowych. Te różnią się wielkością: większe wyznaczono na obszarach tradycyjnie sprzyjających opozycji, mniejsze tam, gdzie zwykle wygrywa Fidesz. Wyborcy mogą rejestrować się w dowolnym okręgu, a państwowe fundusze, które popłynęły do Węgrów mieszkających w sąsiednich krajach, sprawiły, że pół miliona wyborców z zagranicy może wpłynąć na wynik (łącznie do głosowania uprawnionych jest 8 mln ludzi).

Fidesz ograniczył też niezależność mediów, zaczynając od broni ekonomicznej: wycofania z nich państwowych ogłoszeń. Koncesję dla ostatniej niezależnej stacji radiowej, Klubrádió, wycofano już pięć lat temu. W raporcie Parlamentu Europejskiego z listopada 2025 r. wskazano, że w praktyce Węgrzy w swoim języku nie mają możliwości kontaktu z inną narracją niż państwowa propaganda.

Zanim w Bratysławie objął na powrót władzę Robert Fico, obywatele krytyczni wobec Orbána mogli przynajmniej słuchać audycji węgierskiego programu słowackiego radia publicznego. Potem utracili tę możliwość.

„Teraz!"

Sándor Gallai wskazuje na jeszcze jeden kłopot opozycyjnej Tiszy: niewielkie pole manewru w sprawach gospodarczych. Ekonomia Węgier jest w złej kondycji, a zapowiadane przez Magyara odmrożenie unijnych funduszy dla Węgier to za mało.

– To nie wystarczy, aby dać pozytywny impuls gospodarce. Koniunktura na Węgrzech zależy w dużej mierze od sytuacji na rynkach europejskich. To kolejny argument przemawiający za polityką obecnego rządu, aby budować sojusze gospodarcze z innymi regionami, np. azjatyckim czy latynoamerykańskim.

Od czasu pandemii gospodarka Węgier nie odnotowała znaczącego wzrostu. – Wcześniej węgierski elektorat cieszył się jednym z najwyższych wzrostów płac i to przez 8-9 lat z rzędu. Na razie Tisza na tym zyskuje, wyborcom trudno zaakceptować fakt, że teraz jest inaczej. Nie wiadomo jednak, czy sama będzie w stanie to zmienić – uważa Gallai.

Sądząc po wiecach, Péter Magyar jest tego pewien. „Teraz albo nigdy!" – brzmiało jedno z jego haseł. Tuż przed wyborami zostało skrócone. Na ostatniej prostej brzmi: „Teraz!". © MARCIN ŻYŁA

eprasa.pl 2b98c8e853

O przyszłość Zatoki

MAREK KĘSKRAWIEC

BLISKI WSCHÓD | W tej wojnie największe koszty poniosą Iran, USA i kraje arabskie. Tylko Izraelowi zależy dziś na jej kontynuowaniu.

Dla władz w Tel Awiwie obecny konflikt to szansa na spacyfikowanie Iranu, największego od półwiecza wroga, zniszczenie jego programu balistycznego i atomowego, a także infrastruktury przemysłowej i energetycznej. Cofnięcie Iranu w rozwoju umożliwiłoby też ostateczną rozprawę z Hamasem i Hezbollahem, a może nawet przesunięcie granic. Nawet jeśli miałoby to oznaczać „zimną wojnę" z Europą.

Jednocześnie Izrael chce zredukować do zera zaufanie do transportu surowców przez cieśninę Ormuz i przekierować je rurociągami – jak stwierdził otwarcie premier Netanjahu – do własnego portu w Aszkelonie nad Morzem Śródziemnym.

DYLEMAT AMERYKI | Cel to ambitny, w dodatku realizowany w dużym stopniu rękami USA, które poszły na wojnę pod presją Izraela – mimo opinii własnego wywiadu, że Iran nie prowadził prac nad bronią jądrową. Wojna okazała się jednak trudniejsza, niż zakładano, i dziś Stany nie wiedzą, jak ją zakończyć. Donald Trump rano chwali „nowe władze" w Teheranie za rozsądek, by wieczorem straszyć je „cofnięciem do epoki kamienia".

Dla Islamskiej Republiki to bój o przetrwanie, do którego przygotowywała się od dekad, tworząc wielowarstwową obronę, rozproszoną po ogromnym terytorium. Jej podstawą są systemy rakietowe, umieszczone pod górami lub na mobilnych platformach, a także tysiące dronów.

Trump i Hegseth zlekceważyli strategię Iranu. Przystąpili do wojny z marszu, sądząc, że reżim, naruszony styczniowymi protestami, rozpadnie się po zabiciu kierownictwa Islamskiej Republiki. Nic takiego się nie stało, mimo ciężkich nalotów i użycia w pierwszym miesiącu wojny ponad 850 pocisków Tomahawk. Według danych wywiadowczych ujawnionych przez agencję Reuters, potencjał obronny Iranu został zniszczony tylko w jednej trzeciej.

Zakończenie wojny jest w interesie Teheranu, ale wydaje się, że w jego obecnym kierownictwie są na ten temat różne zdania. Zwłaszcza generałowie Korpusu Strażników Rewolucji, wyznający kult szyickiego męczeństwa, uważają, że są w stanie odpowiedzieć na każdą eskalację i zmęczyć Trumpa oraz opinię publiczną w USA, która w większości jest przeciwna wojnie. Zakładają, że z samym Izraelem są w stanie toczyć równorzędną walkę.

ZATOKA POD PRESJĄ | Dla Waszyngtonu porzucenie izraelskiego sojusznika, a zwłaszcza pozostawienie cieśniny Ormuz pod kontrolą Iranu to byłby – wbrew temu, co twierdzi Trump – ogromny problem. Światowa gospodarka jest u progu kryzysu energetycznego. Ponadto handel ropą i gazem z Zatoki Perskiej oparty jest na dolarze, czyniąc z niego światową walutę rezerwową. Dziś Iran próbuje zamienić petrodolara na petroyuana, pobierając haracz za przepłynięcie Ormuzu w chińskiej walucie.

Amerykańska dominacja w regionie Zatoki Perskiej opierała się dotąd na miliardowych kontraktach zbrojeniowych i bazach wojskowych, które miały gwarantować bezpieczeństwo krajom arabskim. Te założenia zawiodły. Większość baz, wraz z kosztownymi radarami, została uszkodzona przez irańskie rakiety, a ich personel mieszka w większości w hotelach.

Ponadto Iran uznał, że skoro ataki USA prowadzone są z terenu państw sąsiednich, to są one za nie współodpowiedzialne. Odwet Teheranu na infrastrukturę energetyczną zszokował kraje arabskie, ale żaden nie odważył się na zbrojną odpowiedź. Nawet Arabia Saudyjska, która w ostatnich latach kupowała od USA na potęgę rakiety i myśliwce, nie zrobiła nic.

Granice krajów Zatoki Perskiej utworzono po I wojnie światowej, często wbrew podziałom etnicznym i religijnym. Ich struktura społeczna jest delikatna, a władza autorytarna. Utrzymuje się z handlu ropą i gazem, ostatnio także z turystyki (zwłaszcza Emiraty). Zniszczenia rafinerii i magazynów surowcowych, przy jednoczesnym ataku na odsalarnie morskie, gwarantujące wodę milionom – to może być dla Arabów katastrofa.

INTERES IZRAELA | Wprawdzie Emiraty, Kuwejt, Katar, Bahrajn mają zestawy obrony przeciwlotniczej, ale pociski im się właśnie kończą. Ich armie nie byłyby w stanie samodzielnie obronić się przed inwazją. To zaś nie jest wykluczone: jedną z reakcji Iranu na ewentualny atak USA na irańskie wybrzeże i wyspy Ormuzu mógłby być rajd na Kuwejt.

93-milionowy Iran, okopany w regionie i wciąż uzbrojony po zęby, gra dziś więc o trzy stawki: przetrwanie reżimu, usunięcie Amerykanów z regionu, a także narzucenie swego politycznego zwierzchnictwa słabym państwom arabskim.

Problem w tym, że wszystkie te plany godzą w interesy Izraela. I nawet jeśli Ameryka wycofa się z tej wojny, Netanjahu może prowadzić ją nadal. ©℗

Tekst ukończono 2 kwietnia



JAY L CLENDENIN / GETTY IMAGES

Widok na cieśninę Ormuz i tankowce w mieście Maskat, stolicy Omanu. 30 marca 2026 r.

A przecież obiecywał

MARTA ZDZIEBORSKA

USA | Większość sympatyków Trumpa stoi za nim murem, ale reszta Stanów pokazuje jemu i Republikanom czerwoną kartkę. Iran, rosnące ceny, emocje wokół akt Epsteina: o nastroje pytamy zwykłych Amerykanów.



JAY L CLENDENIN / GETTY IMAGES

Do starcia nie doszło: samotny zwolennik Trumpa (z lewej) i krytycy prezydenta podczas protestu w 15-tysięcznym mieście El Segundo w Kalifornii. W sobotę 28 marca w całych Stanach około ośmiu milionów Amerykanów protestowało przeciw Trumpowi pod hasłem „No Kings".

Angela Gschwend zapewnia, że nie da sobie przypiąć łatki zagorzałej fanki Trumpa i ruchu MAGA. W końcu 61-latka z Lubbock, ćwierćmilionowego miasta w Teksasie, nie nosi bejsbolówki z napisem Make America Great Again. Nie zgadza się z niektórymi postulatami ruchu, jak tym o niemal całkowitym zakazie aborcji. Nie uważa się też za chrześcijańską nacjonalistkę: nie twierdzi, że Trump to mesjasz, który ochroni Stany przed radykalną lewicą.

Angela wierzy za to, że Trump zapisze się w historii jako jeden z najważniejszych prezydentów USA. Miejsce w tym gronie gwarantuje mu zaś decyzja o wymierzonej w Iran operacji „Epicka Furia", podjętej wspólnie z Izraelem.

– Czekaliśmy na ten moment od dawna, ja i moi irańscy znajomi mieszkający w USA. Odkąd Stany w czerwcu zeszłego roku uderzyły w trzy główne ośrodki nuklearne w Iranie, miałam nadzieję, że to nie koniec i prezydent Trump podejmie próbę, by pomóc Irańczykom w obaleniu reżimu – mówi mi Angela.

Jednak reżim w Teheranie nie upadł, a ponad miesiąc trwania tej wojny pokazał raczej jego odporność. Mimo to Angela wciąż ma nadzieję, że Trumpowi zależy na zmianie władzy w Iranie. Jej optymizmu nie studzą wypowiedzi prezydenta, jak ta z końca marca, gdy wypalił, że doszło do obalenia reżimu, bo jego kluczowi przywódcy nie żyją.

Można wątpić, aby irańscy emigranci, znajomi Angeli, podzielali opinię Trumpa.

Irańczyk w czapce MAGA

Angela, urzędniczka w teksaskim sądzie, kibicuje tak mocno Irańczykom, bo śledzi ich losy od czasów rewolucji islamskiej w 1979 r. Wspomina, że jako nastolatka codziennie oglądała telewizyjne relacje o upadku prozachodniego szacha Mohammada Rezy Pahlawiego.

Gdy 47 lat później usłyszała o ataku USA i Izraela na Iran, od razu zadzwoniła do znajomego, irańskiego inżyniera mieszkającego w Teksasie. Angela twierdzi, że jest on także zwolennikiem Trumpa i nawet nosi bejsbolówkę z napisem MAGA.

– Mój przyjaciel marzy, by jego rodzina w Iranie mogła cieszyć się taką samą wolnością, jak on w Ameryce. Przed naszą rozmową poprosił, by przekazać polskiej prasie jedną rzecz: „Większość informacji docierających z Iranu pochodzi od irańskich władz, a zwykli obywatele są odcięci od internetu" – mówi Angela.

Angela uważa, że jest jednak czerwona linia, której USA nie powinny przekroczyć. To wysłanie wojsk lądowych do Iranu. Niepokoiło ją skierowanie na Bliski Wschód tysięcy marines i żołnierzy z dywizji powietrznodesantowej.

Tymczasem musiał minąć miesiąc, nim Trump zwrócił się wprost do Amerykanów w sprawie wojny, którą zaczął. W orędziu, jakie wygłosił nocą z 1 na 2 kwietnia czasu polskiego, obiecał, że skończy się ona wkrótce. Nie przedstawił planu, jak chce to osiągnąć – ograniczył się do powtarzania gróźb o nasileniu ataków na Iran, co miałoby „cofnąć ten kraj do epoki kamienia".

Przemawiając do Amerykanów, zmęczonych skutkami ekonomicznymi tej wojny, przekonywał, że powinni patrzeć na nią z szerszej perspektywy. Trwa ona bowiem krócej niż inne wojny, w które zaangażowane były Stany, a wyeliminowanie zagrożenia ze strony Iranu miałoby być „inwestycją" w przyszłość kolejnych pokoleń.

Gdzie Iran, gdzie Ukraina

Murem za Trumpem stoi też 60-letni Jerry Stepanovich, budowlaniec z 200-tysięcznego miasta Grand Rapids w stanie Michigan. Gdy rozmawialiśmy półtora roku temu, Jerry wściekał się, że administracja Bidena pompuje amerykańskie pieniądze w pomoc wojskową dla Ukrainy. Dziś Jerry popiera wojnę z Iranem i akceptuje związane z nią ogromne wydatki.

Według szacunków Pentagonu tylko pierwsze sześć dni działań wojskowych kosztowały co najmniej 11 mld dolarów. Pentagon sugerował, że może wystąpić do Kongresu o dodatkowe 200 mld dolarów na wydatki związane z Bliskim Wschodem (tymczasem, jak podała w styczniu 2025 r. administracja Bidena, USA przekazały Ukrainie sprzęt wojskowy o wartości 66 mld dolarów).

eprasa.pl 2b98c8e853

Ekipa Trumpa jest gotowa wydawać takie środki, choć w 2025 r. Republikanie w Kongresie obcięli pieniądze na programy społeczne, w tym Medicaid – opiekę zdrowotną dla najbiedniejszych.

Jerry Stepanovich nie chce komentować tego paradoksu. Choć przyznaje, że koszmarnie droga opieka zdrowotna to jeden z głównych problemów w USA. Woli jednak mówić dziś o rzekomej rozrzutności administracji Bidena, która miała z otwartymi rękami wpuszczać do kraju nielegalnych imigrantów i przymykać oko na korupcję przy programach socjalnych.

Jerry nawiązuje tu do autentycznej historii przekrętów finansowych z udziałem somalijskiej diaspory w Minneapolis, mieście rządzonym przez Demokratów. Zamiast np. rozdawać posiłki dzieciom, latami defraudowano przeznaczone na to fundusze. Nadużycia te są dziś przywoływane w prawicowych kręgach jako uzasadnienie dla radykalnych działań rządu federalnego w tym mieście.

Galon po cztery dolary

Być może Jerry'emu łatwiej jest niewzruszenie sympatyzować z Trumpem, bo za jego rządów zwyczajnie dobrze mu się żyje. Jako singiel z odchowanym synem i spłaconą hipoteką nie ma poważnych bieżących wydatków. Do tego firma, w której pracuje, w ostatnim roku zdobyła dużo nowych kontraktów.

Jerry sporo jeździ po Midweście, amerykańskim Środkowym Zachodzie, pracując przy budowie fabryk. Koszty za benzynę zwraca mu szef, Jerry nie odczuł więc tak mocno skutków kryzysu paliwowego, który od momentu rozpoczęcia izraelsko-amerykańskich ataków na Iran uderza po kieszeni właściwie cały świat.

Pod koniec marca średnia cena za tzw. amerykański galon benzyny (to ok. 3,8 litra) przekroczyła w Stanach poziom 4 dolarów – po raz pierwszy od 2022 r. Przed wybuchem wojny z Iranem Amerykanie płacili średnio o ponad dolara mniej. Blokada kluczowej dla światowego handlu cieśniny Ormuz wywołała też wzrost cen nawozów, co odbija się na amerykańskich rolnikach.

Pęknięcia wśród trumpistów

Choć atak na Iran kłóci się z obietnicą Trumpa, że nie wciągnie USA w nowe wojny, większość zwolenników Republikanów popiera zaangażowanie w konflikt z Iranem. Zarazem w sondażu opublikowanym 26 marca przez Associated Press tylko jedna piąta republikańskich respondentów opowiadała się za wysłaniem wojsk lądowych USA do Iranu.

Przed takim scenariuszem przestrzegał – podczas konferencji konserwatystów CPAC pod koniec marca – były kongresmen Matt Gaetz. „Inwazja lądowa na Iran sprawi, że nasz kraj stanie się biedniejszy i mniej bezpieczny" – mówił Gaetz, który podczas CPAC jako jeden z nielicznych krytykował publicznie wojnę z Iranem.

Frustracji nie kryli za to młodzi Republikanie. „Czuję się zdradzony, bo Trump obiecał nam, że nie będzie nowych wojen. Dlaczego nie pomagamy Amerykanom? Nasza gospodarka cierpi" – komentował w rozmowie z radiem publicznym NPR 30-letni Joseph Bolick, weteran wojen w Iraku i Afganistanie.

W mediach częściej niż jeszcze miesiąc temu pojawiają się krytyczne opinie fanów MAGA. Wcześniej słychać było głównie głosy prawicowych komentatorów, jak Tucker Carlson czy Megyn Kelly. Decyzję o ataku na Iran krytykował też popularny podkaster Joe Rogan, twierdząc, że niektórzy zwolennicy Trumpa czują się przez niego zdradzeni.

W obozie MAGA zawrzało też za sprawą odejścia Joego Kenta z funkcji dyrektora Narodowego Centrum Zwalczania Terroryzmu. Kent, dotąd sojusznik Trumpa, zrobił to twierdząc, że nie może popierać wojny z Iranem, gdyż Iran nie stanowi bezpośredniego zagrożenia dla Stanów, oraz że Biały Dom zaczął tę wojnę „pod presją Izraela i jego potężnego lobby w USA".

„Połówkowe" na horyzoncie

Republikanie obawiają się, że konflikt z Iranem i jego skutki utrudnią im walkę o utrzymanie kontroli nad obiema izbami Kongresu. Dziś mają w nich większość. Wybory odbędą się w listopadzie: Amerykanie będą głosować nad nową Izbą Reprezentantów oraz nad jedną trzecią składu Senatu.

Stawka jest wysoka: jeśli Demokraci uzyskają większość w parlamencie federalnym, będą mogli blokować reformy podsuwane przez Trumpa i wszcząć procedurę usunięcia go z urzędu – jeśli uznają, że czas już po temu.

Aby przezwyciężyć tendencję, według której partia urzędującego prezydenta zwykle przegrywa w tych tzw. wyborach „połówkowych" – nazywanych tak, gdyż odbywają się w połowie jego kadencji – Republikanie potrzebują wsparcia szerokiej koalicji. Nie tylko przekonanych fanów Trumpa, ale też umiarkowanych Republikanów i wyborców niezależnych. Tymczasem wśród tych ostatnich, podobnie jak wśród Demokratów, większość nie popiera wojny z Iranem.

W tej grupie jest 22-letnia Devynn de Velasco, nauczycielka z Nebraski, która zazwyczaj głosuje na kandydatów Partii Demokratycznej.

Devynn mówi mi, że razem z mężem martwią się dziś o swoje finanse, bo wysokie ceny paliwa wyjątkowo mocno uderzyły w ich domowy budżet. Ona dojeżdża codziennie do pracy 40 kilometrów w obie strony, a jej mąż jest pracownikiem kontraktowym i także spędza dużo czasu za kółkiem.

USA już nie „policjant"

Devynn de Velasco jest przeciwna angażowaniu się Stanów w konflikty zagraniczne. Uważa, że Trump powinien skupić się na rozwiązywaniu problemów Amerykanów, takich jak właśnie wysokie koszty życia i wyśrubowane ceny nieruchomości.

Nauczycielka tłumaczy w rozmowie, że ona i jej mąż mogliby wziąć dziś kredyt hipoteczny jedynie na kupno niewielkiego domu – i to w mało atrakcyjnej okolicy, bo w pobliżu bazy sił powietrznych Offutt, na południe od Omahy.

Obecnie małżeństwo wynajmuje w tej okolicy dom, ale nie wyobraża sobie, aby mieli kupić tutaj coś na stałe. Devynn i jej mąż boją się, że w obliczu zawirowań geopolitycznych baza ta może być potencjalnie zaatakowana przez adwersarzy USA. Boją się też wpakować swoich oszczędności w kredyt, bo nie wiadomo, czy nie będą potrzebowali nagle zastrzyku pieniędzy.

– Chciałabym powiedzieć, że jestem zaskoczona, iż Biały Dom przedkłada wojnę z Iranem nad dobro swoich obywateli. Ale to nie pierwszy raz, gdy amerykański rząd woli pompować pieniądze na działania za granicą – uważa Devynn.

Dodaje, że jej zdaniem USA nie powinny już pełnić roli światowego policjanta. – Robiliśmy to w przeszłości m.in. dlatego, że uważano nas za państwo godne zaufania. Nie sądzę, żeby postrzegano nas tak za rządów tej administracji. ↦

eprasa.pl 2b98c8e853

↦ Devynn jest sfrustrowana nie tylko wojną z Iranem, ale także retorycznymi atakami Trumpa na kraje NATO i jego groźbami aneksji Grenlandii.

Wojna i akta Epsteina

Jazda bez trzymanki, którą w oczach wielu Amerykanów funduje Trump, bulwersuje też 41-letnią Shanę Ziolko ze stanu Missouri. Po tym, jak Izrael i USA zaatakowały Iran, Shana zaczęła dojeżdżać do pracy autem wspólnie z koleżanką, by zaoszczędzić na paliwie.

O konflikcie przypominają jej też studenci, którym udziela konsultacji jako doradczyni akademicka. Na jej uniwersytecie uczą się rezerwiści, obawiający się wezwania do służby wojskowej na Bliskim Wschodzie. – Wielu dobija niepewność, czy w ciągu najbliższych tygodni nie będą musieli porzucić swojego dotychczasowego życia – mówi mi Shana Ziolko.

Niepokój czuć nawet w przedszkolu, w którym na przedmieściach Phoenix w Arizonie pracuje 23-letni Roman Corey. W jego rozmowach z nauczycielami i rodzicami przedszkolaków przeważały ostatnio dwa tematy: wojna z Iranem oraz sprawa nieżyjącego już przestępcy seksualnego i finansisty Jeffreya Epsteina.

Roman, podobnie jak wielu nauczycieli, uważa, że jest między nimi związek: że mianowicie decyzja o ataku na Iran miała na celu odwrócenie uwagi amerykańskiej opinii publicznej od znajomości Trumpa z Epsteinem.

Świat widziany z przedszkola

Jak bardzo sprawa Epsteina porusza Amerykanów, widać także tutaj. Rodzice z przedszkola Romana obawiają się, że zdjęcia ich dzieci mogły trafić w ręce pedofilów. A to dlatego, że firma Lifetouch, zatrudniona do wykonania pamiątkowych fotografii w placówce, pośrednio należy do podmiotu, którego były prezes figuruje w aktach Epsteina.

Lifetouch to nie firma pierwsza z brzegu – to przedsiębiorstwo z tradycją, działające od niemal 90 lat, jedna z najbardziej znanych firm w Stanach i Kanadzie zajmująca się fotografią szkolną. Za sprawą obecnego zamieszania, napędzanego przez teorie spiskowe, wiele szkół i przedszkoli zerwało już z nią współpracę.

Nie jest to jedyny problem, jakim żyje przedszkole, w którym pracuje Roman. Ekipa Trumpa nie przedłużyła placówce federalnych grantów. Kierownictwo będzie więc musiało skrócić godziny otwarcia i zacząć pobierać czesne od rodziców (dotąd opieka była bezpłatna). A że jest to biedne przedmieście Phoenix, niektórych rodzin nie będzie stać na taki wydatek.

– Już teraz ludziom trudno dopiąć domowy budżet, za sprawą wysokich cen benzyny i żywności – irytuje się Roman. Przyznaje, że w ostatnich miesiącach mocno zaciska pasa. Kupuje najtańsze produkty, zrezygnował z subskrypcji premium na YouTubie i zawiesił plan zakupu nowego auta, bo jak tłumaczy, przez wojnę celną Trumpa mocno skoczyły ceny.

Dziś Romanowi trudno uwierzyć, że poparł Trumpa w wyborach prezydenckich w 2020 r., wkrótce po tym, jak uzyskał prawo do głosowania.

Nie na to głosowałem

Ten moment w życiu ma już za sobą również Katey, która oddała głos na Trumpa w 2016 r., zachęcona obietnicami poprawy sytuacji gospodarczej. Katey, pracowniczka banku z Grand Rapids, kibicuje dziś Partii Demokratycznej i chce głosować na jej kandydatów w wyborach „połówkowych". Mówi, że jest wściekła, iż Trump wmanewrował Stany w interwencję w Wenezueli i wojnę z Iranem.

Katey: – Każdy polityk Partii Republikańskiej ma na rękach krew niewinnych cywilów, którzy zginęli na Bliskim Wschodzie.

Roman: – W listopadzie zagłosuję na Demokratów. Nie dlatego, że dbają o klasę pracującą, bo tak nie jest, ale dlatego, że przynajmniej nie całują tyłka Trumpowi.

Devynn: – Nie znam wielu zwolenników ruchu MAGA, którzy przyznają dziś otwarcie, że są rozczarowani. Większość unika tego tematu. Ale jeśli mają choć odrobinę rozsądku, to zrozumieją, że Trump nigdy nie miał zamiaru trzymać się polityki America First. Problemy zwykłych Amerykanów go nie interesują.

Tak mówią dziś byli zwolennicy Trumpa lub wyborcy niezależni, jak Devynn.

Do głosowania „połówkowego" jeszcze ponad pół roku. © MARTA ZDZIEBORSKA

Tekst ukończono 2 kwietnia

Autorka jest dziennikarką „Press" i byłą korespondentką w USA. Stale współpracuje z „Tygodnikiem".



ARCHIWUM PRYWATNE X4

JERRY STEPANOVICH *z Michigan wciąż bezwarunkowo popiera Trumpa.*



DEVYNN DE VELASCO *z Nebraski coraz bardziej martwi się o domowe finanse.*



ROMAN COREY *z Phoenix żałuje, że w 2020 r. głosował na Trumpa.*



SHANA ZIOLKO *dojeżdża do pracy autem wspólnie z koleżanką, by oszczędzić na paliwie.*

eprasa.pl 2b98c8e853



TALESFROMTHECANOPY / CC BY-SA 4.0

Jesion z Glasgow od ok. 170 lat trwa samotnie przy Argyle Street

Skrzynia skarbów

PATRYCJA BUKALSKA Z ELLON I HADDO HOUSE (SZKOCJA)

DRZEWA I LUDZIE | Ponad 170-letni jesion, samotnie trwający na ulicy Glasgow, wprawdzie nie wygrał konkursu na Europejskie Drzewo Roku. Ale dla tutejszych jest najwspanialszy: świadek historii. W Szkocji nie brakuje niezwykłych drzew.

Zwycięzcą tegorocznego konkursu został dąb z Litwy, liczący sobie 400 lat. Wygrał ze znaczną przewagą nad słowacką 150-letnią jabłonią i niezwykle ukształtowanym ponad stuletnim wiązem z Polski, z Szydłowca, który zajął miejsce trzecie.

Zwycięzca nosi miano Dębu Laukiai – od nazwiska rodziny, która posadziła go kilkaset lat temu i przez sześć pokoleń nim się zajmowała. Rośnie we wsi Rukai w rejonie szkudzkim, ma 27 metrów wysokości i ponad pięć metrów w obwodzie pnia.

Jeszcze rok temu był zapomniany. Jednak ludzie z Rukai przypomnieli sobie o nim (i przy okazji o własnej historii). Uporządkowali jego otoczenie, nagłośnili. Znów jest ważny, znów chłonie i chroni w sobie dzieje wsi i jej mieszkańców.

Przeszłość jest tu istotna. Bo w konkursie, organizowanym od 2011 r. przez międzynarodowe konsorcjum Environmental Partnership Association (Stowarzyszenie na rzecz Partnerstwa Ekologicznego), nie chodzi o drzewo największe czy najstarsze. Chodzi o takie zakorzenione w społeczności, którego losy splotły się z dziejami ludzi i opowiadają coś istotnego.

Udajmy się tym tropem przez Szkocję.

JESION Z GLASGOW | Z finałowej dwunastki drzew – są to zwycięzcy konkursów w poszczególnych krajach – on uplasował się na ostatniej pozycji. Choć nie rośnie na górskiej łące czy w urokliwej dolinie, jego historia porusza: od ok. 170 lat trwa samotnie przy Argyle Street, jednej z głównej ulic Glasgow, największego miasta Szkocji. Ten jesion towarzyszy ludziom i ich wielkomiejskiej historii, z dala od zielonych przestrzeni.

Argyle Street to długa ulica, wzdłuż której ciągnie się zwarta zabudowa tzw. *tenement houses* – najbliższy polski odpowiednik to kamienice czynszowe. Budowane w czasach rewolucji przemysłowej, gdy Glasgow rozwijało się intensywnie, były potrzebne dla mas robotników (populacja miasta przekroczyła wtedy milion). Warunki w nich były bardzo skromne. Dziś te kamienice, które przetrwały, mieszczą przestronne mieszkania, ale wtedy liczył się zysk i praktyczność.

Jesionu nikt świadomie nie zasadził. Wyrósł przypadkowo z nasionka, które się tam zaplątało z sadzonkami pierwiosnków, posadzonych na skrawku gruntu przed kamienicą. Rósł, bo mu pozwolono.

Przetrwał *boom* przemysłowy, naloty na Glasgow w czasie II wojny światowej, a nawet tzw. zamieranie jesionu – chorobę tych drzew wywołaną przez pewien gatunek grzyba, która rozprzestrzeniła się w latach 90. XX w. w Europie (są obawy, że epidemia może finalnie wyniszczyć nawet 50-75 proc. jesionów w Wielkiej Brytanii).

Dziś jest jedynym drzewem na tej ulicy.

OPOWIEŚCI | Zielona korona jesionu na Argyle Street sięga ponad dachy kamienic, drzewo ma ok. 25 metrów. Już w 1951 r. dziennikarz James Cowan porównał jego smukły pień do masztu statku. W swojej książce „From ↦

eprasa.pl 2b98c8e853



WICEK SOSNA

Sekwoja olbrzymia w Haddo House. Zasadził ją książę Albert w 1857 roku. Szkocja, marzec 2026 r.

↦ Glasgow's Treasure Chest" („Ze skrzyni skarbów Glasgow") przytacza opowieść o nasionku jesionu i pierwiosnkach.

Strzelistą sylwetkę drzewa Cowan tłumaczył tym, że rosnąc w cieniu kamienic, ze wszystkich sił pnie się ku słońcu. „To najwspanialszy jesion, jaki widziałem" – pisał.

Teraz, gdy drzewo wygrało konkurs krajowy i weszło do europejskiego finału, ludzie pospieszyli ze swoimi opowieściami o nim, dzieląc się nimi w mediach społecznościowych. Pewna kobieta wspominała, że w latach 60. XX. jako studentka była zaproszona na imprezę w tamtej kamienicy i podano jej właśnie taki adres: wejście jest tam, gdzie rośnie jedyne drzewo na tej ulicy. Przyznała, że z imprezy nic nie pamięta, ale „adresu" nie zapomniała.

Ktoś inny jako dziecko mijał jesion codziennie w drodze do szkoły. „Mam 84 lata i drzewo było już duże, kiedy ja byłem mały" – pisał ktoś inny. „Też mam tam moje korzenie, na zachodnim krańcu Argyle Street" – stwierdził pewien mężczyzna.

Potwierdzając to, co o jesionie napisano w konkursowej prezentacji: że jest symbolem odporności, cierpliwości i współistnienia drzew i ludzi. Choć nazywany czasem „samotnym drzewem", samotny nie jest – mocno wpisał się w ludzką pamięć.

CISOWY GĄSZCZ | O ile jesion wyrósł już po tym, jak powstała Argyle Street, o tyle cisy z Ellon są starsze niż kamienne mury XVIII-wiecznego ogrodu, który je dziś otacza. One były pierwsze, mają kilkaset lat, może nawet osiemset. Były już, gdy w pierwszej połowie XV w. zbudowano tutaj warownię (są hipotezy, że może wtedy je posadzono).

Zamek rozbudowywano, przebudowywano, zburzono, w końcu obok zbudowano nowy, który też zburzono. Dziś są tu resztki pierwszej warowni i stajnie, przebudowane na dom mieszkalny. Przez te wszystkie wieki zamętu, wojen, bankructw i rodzinnych dramatów grupa kilkunastu cisów rosła i rosła. Wielometrowe powyginane gałęzie tworzą dziś zwartą zieloną kopułę. Znalazły się w centrum ogrodu, który powstał wokół nich – i w centrum wydarzeń.

Kiedy wchodzę do cisowego gaju, zaczyna padać lekki deszcz, ale krople nie przedostają się przez iglastą gęstwinę. Siadam na jednej z kilku ławek, czekam, aż deszcz ustanie. Cisy są olbrzymie, pękate. Ich grube konary opadają ku ziemi jak potężne węże.

Każde drzewo jest tu inne, każde ma własny charakter. Ich konary wydają się zastygłe w połowie ruchu, trwają w swoim odrębnym świecie. Na niektórych zawieszono karmniki dla ptaków i wiewiórek. Ziemię pokrywa bluszcz, gdzieniegdzie kwitną ostatnie przebiśniegi.

Jest cicho i spokojnie. Trudno znaleźć słowa oddające niezwykłość tego miejsca.

ŚWIĘTE GAJE | Paul Greenwood uśmiecha się ze zrozumieniem, gdy opowiadam mu o wizycie w Ellon i kłopocie ze znalezieniem sposobu na opis cisowego gaju.

Od 34 lat Greenwood zajmuje się cisami. Dokumentuje najważniejsze okazy w Szkocji, tworzy ich mapę. Jest współzałożycielem Scotland's Yew Tree Heritage Initiative (Inicjatywa na rzecz dziedzictwa cisów w Szkocji).

– Takie gaje nie są rzadkością – mówi. – Jeden cis potrafi stworzyć cały gaj, jeśli tylko mu się na to pozwoli. Cisy mogą rosnąć w poprzek terenu, nie wzwyż, zataczać koła wokół własnego pnia, jak kręgi na wodzie.

Greenwood podaje przykład cisu z Ormiston koło Edynburga, który może mieć tysiąc lat. Podobno w jego cieniu nauczał John Knox, XVI-wieczny kaznodzieja, przywódca ruchu reformacyjnego w Szkocji. Ten cis i dwa inne pnie tworzą zagajnik o promieniu 27 metrów.

ZAKORZENIONE | W przeszłości cisowe gaje były miejscem rytuałów i ważnych spotkań. W trudno dostępnym miejscu, na zboczach nad brzegami Loch Ness, znajduje się gaj klanu Fraser (tego z serialu „Outlander").

– Członkowie klanu zbierali się tam w czasie kryzysów, np. zanim ruszyli pod Culloden – mówi Greenwood. W 1746 r. miała tam miejsce bitwa, podczas której jakobici – czyli szkoccy powstańcy, zwolennicy księcia Karola z dynastii Stuartów – zostali rozbici w starciu z armią brytyjską.

Dlaczego wybrali to miejsce na zgrupowanie? Dlaczego np. składanie przysięgi pod cisem jest częścią szkockiej tradycji? Paul wyjaśnia, że w kulturze gaelickiej cis to ważny symbol, często widniejący przy centrum władzy.

Dlatego w Szkocji cisy często można znaleźć w pobliżu zamków, podczas gdy w Anglii rosną raczej przy kościołach. Tu i tam jest to jednak drzewo głęboko zakorzenione w przeszłości, w dawnych rytuałach. Czasem to kościół czy twierdzę budowano przy cisach, a czasem sadzono je tam celowo po zakończeniu budowy.

NAJSTARSZE | Najbardziej wiekowy cis w Szkocji rośnie na niewielkim cmentarzu przy kościele w wiosce Fortingall.

– Większość ekspertów ocenia jego wiek na dwa-trzy tysiące lat. Zważywszy, że ślady ludzi pochodzą tam z czasów neolitu, epoki żelaza itd., możliwe, że ktoś zobaczył drzewo i postanowił się przy nim osiedlić ze względu na ówczesny system wierzeń – mówi mi Paul.

eprasa.pl 2b98c8e853

Dwa-trzy tysiące lat – to robi wrażenie. Choć są opinie, że cis z Fortingall może być jeszcze starszy.

Czy cisy to najstarsze drzewa na Wyspach Brytyjskich? – Tak! – Greenwood odpowiada zdecydowanie. Choć zaraz dodaje: – Dokładne określenie ich wieku jest bardzo trudne. To, co widzimy jako jeden pień, może być nawet trzema-czterema mniejszymi trzonami. Upewnić można by się dopiero, analizując przekrój pnia, ale przecież nie będziemy ścinać drzewa...

Określenie wieku na podstawie próbek z pnia drzewa też bywa skomplikowane. W swojej pracy dokumentującej cisy Paul stara się więc znaleźć dane historyczne, które mogą potwierdzić, z jakiego czasu pochodzą drzewa. To też jednak jest trudne, bo podczas konfliktów i wojen w Szkocji archiwa klasztorów i zamków przepadły.

Paul Greenwood mówi, że stara się zwiększyć społeczną świadomość znaczenia cisów w tym kraju: – Nie tylko z naukowego punktu widzenia, lecz także kulturowego. Są związane z tyloma historycznymi postaciami i tradycjami!

WYŚCIG ŁOWCÓW | O ile cisy są najstarszymi drzewami w Szkocji, to sekwoje olbrzymie – lub wellingtonie, jak się je powszechnie nazywa w Wielkiej Brytanii – trafiły tu dopiero w połowie XIX w.

Czasy wiktoriańskie sprzyjały dalekim wyprawom, z których podróżnicy przywozili rzadkie gatunki roślin. Te poszukiwania wzbudzały zainteresowanie ówczesnej prasy i emocje naukowców. Czasem też wiązały się z ostrą rywalizacją tzw. łowców roślin [pisaliśmy o tym w „TP" 1/2013 – red.].

Nie inaczej było z sekwojami. Nasiona tych gigantycznych drzew wysłał swojemu ojcu Patrickowi, szkockiemu kupcowi i zapalonemu ogrodnikowi, John Matthew. Ten inżynier górnictwa zawędrował do Ameryki podczas kalifornijskiej gorączki złota.

Patrick Matthew otrzymał nasiona w sierpniu 1853 r. Traf chciał, że do znanej firmy ogrodniczej Veitch w Anglii dotarły one w grudniu tego samego roku – wysłane przez niejakiego Williama Lobba, łowcę roślin. I to firma Veitch wprowadziła sekwoje na brytyjski rynek komercyjny. Przez jakiś czas dzierżyła palmę pierwszeństwa co do tego, kto pierwszy wprowadził ten gatunek drzew na Wyspy Brytyjskie.

Tymczasem Patrick Matthew nasiona i wyhodowane z nich sadzonki miał podobno po prostu rozdać przyjaciołom i znajomym.

Dopiero w 1966 r. prestiżowy magazyn ogrodniczy „The Gardeners' chronicle" rozstrzygnął spór w tym wyścigu na korzyść Szkota. Niektóre z drzew, które wyrosły z jego puli nasion, nadal można oglądać w szkockim Perthshire.

MONARSZE SEKWOJE | Królowa Wiktoria i książę Albert odwiedzili Haddo House, piękną posiadłość w północno-wschodniej części Szkocji, w 1857 r. (turyści, którzy dziś ją zwiedzają, mogą zobaczyć sypialnię, w której spała monarchini).

W tym czasie sekwoje, których nasiona sprowadzono z Kalifornii ledwie kilka lat wcześniej, były wciąż drzewami rzadkimi i budzącymi zainteresowanie. Być może dlatego to właśnie ich sadzonki zostały wybrane, aby zasadziła je na terenie ↦

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

zlot POWSZECHNY

Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha w Krakowie

Piątek, 29 maja 2026

Chcemy spotkać się **poza łamami gazety** – w rozmowie, sporze i wspólnym myśleniu.

Bez pośpiechu. Bez uproszczeń. Z uważnością.

Na zakończenie – specjalnie przygotowany dla czytelników „Tygodnika Powszechnego" **koncert Grzegorza Turnaua**.

Grzegorz Turnau

Zapraszamy na pierwszy ogólnopolski zjazd czytelniczek, czytelników i sympatyków „Tygodnika Powszechnego" – wydarzenie stworzone z myślą o tych, którzy nie chcą tylko czytać rozmów, ale chcą w nich uczestniczyć.

Ks. Adam Boniecki

Anita Piotrowska

Eliza Kącka

Katarzyna Kubisiowska

Jacek Stawiski

Tomasz Stawiszyński

Więcej informacji i bilety: https://evenea.pl/pl/wydarzenie/ZlotPowszechny

Piotr Mucharski

Monika Ochędowska

Marek Rabij

To nie będzie seria wykładów. Będzie to **żywa, otwarta dyskusja** – z przestrzenią na pytania, komentarze i głosy uczestników.

Prof. Bogdan de Barbaro

Ewelina Burda

Marcin Napiórkowski

ZAMÓW BILET!

Michał Okoński

TP NA ŻYWO

eprasa.pl 2b98c8e853

↦ Haddo House królewska para. Dziś są atrakcją dla wielbicieli historii i ogrodów.

Odwiedzam Haddo House w marcu, w wietrzny dzień. Sekwoje, rosnące blisko rezydencji z XVIII w., są olbrzymie. Aby je objąć, potrzeba by kilku osób. Ich gałęzie łagodnie bujają się na wietrze, wykonują jakiś sobie jedynie znany taniec.

Wokół rosną żonkile, które powinny zakwitnąć lada dzień. Grunt pokrywają szyszki i miękkie gąbczaste fragmenty kory. Pachnie ziemią, w ogrodzie trwają prace porządkowe, przygotowujące go na nadejście wiosny. Za kilka miesięcy zakwitną lipy rosnące wzdłuż długiej i spektakularnej alei, prowadzącej do budynku mieszkalnego.

PAMIĘĆ MIEJSCA | W listopadzie 2021 r. tę część Szkocji zdewastowała wichura. Tylko w okolicy Haddo House cyklon Arwen powalił około stu tysięcy drzew. W wielu miejscach hrabstwa Aberdeenshire nadal można zobaczyć całe hektary brutalnie połamanych pni.

Sekwoje Wiktorii i Alberta jednak ocalały. Drzewo Alberta wydaje się wyższe, co z całą pewnością jest przypadkiem, choć Albert rzeczywiście uchodził za bardzo wysokiego, a Wiktoria wręcz przeciwnie, miała jedynie ok. 150 cm wzrostu.

Ich sekwoje w Haddo House mają prawie 170 lat, zatem są już drzewami w pełni dojrzałymi. Nadal będą jednak piąć się w górę w sprzyjającym im najwyraźniej szkockim klimacie. Niedaleko rosną inne drzewa, buki i jawory. Przed niektórymi – tymi, które również posadzono, by upamiętnić jakieś wydarzenie – stoją pamiątkowe tabliczki.

Pod drzewami chowano też psy należące do rodu Gordonów, właścicieli posiadłości. One też są upamiętnione, stały się częścią historii tego miejsca.

W 2022 r., na tzw. platynowy jubileusz królowej Elżbiety II (70-lecie objęcia przez nią tronu), posadzono tutaj dąb. Na razie jest malutki, o tej porze roku łysy i bez liści. Nie może równać się z sekwojami. Za kilkadziesiąt lat też stanie się jednak potężny – w życiu drzewa to tylko chwila.

OGIEŃ W SERCACH | W 2021 r. w konkursie na Europejskie Drzewo Roku też brało udział drzewo ze Szkocji – około stuletnia jarzębina, rosnąca na stromym zboczu nad strumieniem w dolinie Carrifran. Dzięki grupie pasjonatów w 2000 r. rozpoczęto tam szeroką akcję regeneracji, starając się przywrócić dolinę do stanu, w jakim była przed tysiącami lat. Zasadzono setki tysięcy rodzimych drzew, krzewów i innych roślin. Jarzębinie w konkursie towarzyszyło hasło: „Gdzie przetrwa jedno drzewo, urośnie milion drzew".

Historia tej jarzębiny pokazuje, że drzewo może wiele przetrwać, ale że czasem trzeba też mu pomóc, otoczyć go ochroną.

Jesion z Argyle Street otrzymał taką ochronę ze strony władz lokalnych jako pierwsze drzewo w Glasgow.

Paul Greenwood chciałby, aby lepszą ochronę zapewniono cisom, aby wprowadzono surowsze kary za ich wycinanie. – Są narodowym skarbem, dziedzictwem Szkocji – mówi Paul. – Choć sam jestem z Newcastle w północnej Anglii, to chcę rozpalić ogień w szkockich sercach.

© PATRYCJA BUKALSKA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

debata POWSZECHNA

KRAKÓW wspólnota kultury

29 KWIETNIA
w Galerii Sztuki Współczesnej Bunkier Sztuki
(Pl. Szczepański 3a, Kraków)
odbędzie się debata
„Kraków – wspólnota kultury. Biznes, kultura i technologia"

Czy miasto może być jednocześnie centrum biznesu, laboratorium technologii i żywym organizmem kultury? Kraków od lat udowadnia, że tak. Kolejna odsłona Debaty Powszechnej to spotkanie ludzi, którym zależy na tym, aby tę tezę potwierdzić.

Zapraszamy do rozmowy o tym, jak sztuka, przedsiębiorczość i nowe technologie mogą się nawzajem wzmacniać – zamiast ze sobą konkurować. W obliczu automatyzacji, kryzysu zaufania do mediów i rewolucji wywołanej przez sztuczną inteligencję pytania o przyszłość sektora kreatywnego stają się pytaniami o przyszłość nas wszystkich.

Podczas debaty porozmawiamy o:

Nowym mecenacie – kto dziś powinien finansować kulturę? Czy tradycyjne dotacje publiczne wystarczą, czy przyszłość leży w crowdfundingu, inwestycjach społecznych i zaangażowaniu biznesu?

Mediach i ekonomii uwagi – jak algorytmy zmieniają jakość publicznej rozmowy i czy możemy odbudować zaufanie do mediów w czasach, gdy granica między informacją a dezinformacją jest coraz trudniejsza do uchwycenia?

Kulturze po algorytmie – sztuczna inteligencja tworzy obrazy, muzykę i teksty. Czy to zagrożenie dla twórców, czy otwarcie na zupełnie nowe możliwości?

Krakowie jako laboratorium przyszłości – co dzieje się tu i teraz: miejskie inicjatywy, które łączą technologię, biznes i lokalną kreatywność w jeden ekosystem.

DEBATA POWSZECHNA TO CYKL OTWARTYCH SPOTKAŃ, W KTÓRYCH KAŻDY GŁOS SIĘ LICZY. PRZYCHODŹ Z PYTANIAMI.

Wydarzenie jest otwarte dla publiczności – wystarczy się zarejestrować
https://evenea.pl/pl/wydarzenie/debatapowszechna

ORGANIZATOR: TYGODNIK POWSZECHNY
PARTNER GŁÓWNY: Kraków

eprasa.pl 2b98c8e853

TYGODNIK POWSZECHNY

Prenumeruj „Tygodnik Powszechny”



fot. Grażyna Makara

Wiarygodność stała się nadrzędnym dobrem.
I o nią głównie staramy się dbać.
Naszą marką jest suwerenność: sami odpowiadamy za publikowane tu treści i nikt poza Wami, Czytelnikami, nie ma na nie wpływu.

ks. Adam Boniecki

Dziękujemy, że są Państwo z nami – z pismem, które szuka sensu tam, gdzie inni widzą sensację.
Dzięki Państwa wsparciu możemy co tydzień tworzyć przestrzeń do rozmowy o społeczeństwie, kulturze i duchowości – o świecie, który ma wiele stron, a każdą z nich warto przeczytać ze zrozumieniem.



OFERTA CENOWA

Paczkomat InPost	Roczna	cena **686 zł**
	Półroczna	cena **366 zł**
Odbiór w Żabce	Roczna	cena **688 zł**
	Półroczna	cena **368 zł**

Zamówienie prenumeraty z dostawą przez Paczkomat InPost oraz z odbiorem w Żabce można dokonać **TYLKO** przez konto w serwisie TygodnikPowszechny.pl

Poczta	Roczna	cena **687 zł**
	Półroczna	cena **367 zł**

prenumerata.TygodnikPowszechny.pl

Rachunek bankowy do wpłat: Bank Pekao SA, nr konta: **49 1240 4533 1111 0000 5431 1987**

„Tygodnik Powszechny”, ul. Dworska 1C/LU 3–4, 30-314 Kraków, tel. 668 479 075 (w godz. 12:00-15:00), adres e-mail w sprawie prenumeraty: **prenumerata@TygodnikPowszechny.pl**

Razem tworzymy „Tygodnik”

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 2b98c8e853

WIARA

MIŁOSIERDZIE WOBEC BOGA

Czy Bóg zasługuje na miłosierdzie? Pytanie wydaje się bluźniercze, ale dla wielu może być najważniejszą religijną kwestią.

ARTUR SPORNIAK



eprasa.pl 2b98c8e853



PIOTR GUZIK / FORUM KRAKÓW

Portret Jezusa Miłosiernego utworzony z 15 tys. zdjęć wiernych, Sanktuarium Bożego Miłosierdzia w Łagiewnikach, lipiec 2016 r.

Kult Bożego miłosierdzia osiągnął swój szczyt za pontyfikatu Jana Pawła II. Podczas kanonizacji siostry Faustyny w 2000 r. papież ogłosił, że w pierwszą niedzielę po Wielkanocy Kościół będzie czcić ten najważniejszy Boski przymiot. Wydawać by się mogło, że wszystko, co ważne, zostało już o miłosierdziu powiedziane. Zobaczmy.

Archetypiczną opowieścią wskazującą, na czym polega miłosierdzie, jest ewangeliczna przypowieść o synu marnotrawnym (Łk 15, 11-32). Ilekroć ten fragment Biblii jest odczytywany podczas liturgii, wzrusza nas postawa ojca. Komentarze zwykle skupiają się na krytyce młodszego brata, który przez rozrzutne życie marnuje majątek otrzymany od ojca. Doświadczając nędzy, dochodzi do przekonania, że ponieważ roztrwonił ojcowskie dziedzictwo, nie może się uważać już za syna, dlatego chce wrócić jako najemnik. Opowieść sugeruje, że to sprawiedliwe. Tymczasem ojciec okazuje zaskakującą hojność – nie tylko nie przestaje go traktować jak syna i dziedzica (każe przynieść najlepsze ubranie, pierścień na rękę i sandały), ale też z okazji jego powrotu organizuje ucztę. Co wzbudza gniew w starszym synu, który wiernie trwał przy ojcu i uważa postępowanie rodzica za niesprawiedliwe. I taką rolę pełni w tej opowieści – ma podkreślić hojność miłości ojca wykraczającej poza to, co jedynie sprawiedliwe.

Sprawiedliwość kontra miłosierdzie

Taka jest kanoniczna interpretacja przypowieści o synu marnotrawnym. Ale można ją przekroczyć i dostrzec w ewangelicznym tekście nie tylko opowieść o miłosierdziu, ale także o narodzinach ojcostwa, czy wręcz – odwołując się do teologicznej analogii – o narodzinach miłosiernego Boga. Okazuje się, że możemy mówić również o okazywaniu miłosierdzia wobec samego Boga.

Najpierw jednak spójrzmy, jak przypowieść interpretuje Jan Paweł II w encyklice „Dives in misericordia" z 1980 r. To jego druga encyklika, ale też pierwsza w historii Kościoła poświęcona Bożemu miłosierdziu (o którym Jan Paweł II pisze jako o „najwspanialszym przymiocie Stwórcy"). Napięcie pomiędzy miłością Boga do ludzi a Jego sprawiedliwością dostrzeżono już w średniowieczu (św. Anzelm z Canterbury) i próbowano godzić – z różnym skutkiem. Jak poradził sobie Jan Paweł II?

Z jednej strony papież zauważa, że Jezus – oddając za nasze grzechy swoje życie – wyrównał rachunek sprawiedliwości. Jan Paweł II pisze, że „jest to wręcz jakiś »nadmiar« sprawiedliwości, gdyż grzechy człowieka zostają »wyrównane« ofiarą ↦

eprasa.pl 2b98c8e853

↦ Boga-Człowieka". Z drugiej – wskazuje, że człowiek posiada godność obrazu Bożego, której nie traci nawet wtedy, gdy dokonuje zła. Ze względu na tę stałą godność okazanie człowiekowi miłosierdzia nie sprzeciwia się sprawiedliwości, tylko jest mocniejszym jej wypełnieniem. „Autentyczne miłosierdzie jest jakby głębszym źródłem sprawiedliwości" – pisze papież. „W swoim właściwym i pełnym kształcie miłosierdzie objawia się jako dowartościowywanie, jako podnoszenie w górę, jako wydobywanie dobra spod wszelkich nawarstwień zła, które jest w świecie i w człowieku" – dopowiada.

Perypetie kultu

Uporowi i konsekwencji Jana Pawła II zawdzięczamy, że w Kościele wprowadzono kult Bożego miłosierdzia. Ale jego zaistnienie to sprawa bogatego życia religijnego zakonnicy, której wykształcenie ograniczało się do trzech klas szkoły powszechnej. Siostra Faustyna Kowalska (urodzona w 1905 r. w Głogowcu koło Łodzi, zmarła w 1938 r. w Krakowie) na polecenie spowiedników spisywała swoje wizje i rozmowy z ukazującym się jej Jezusem. Wielokrotnie domagał się On wprowadzenia w Kościele kultu Bożego miłosierdzia, którego elementami miały być koronka do Bożego miłosierdzia, obraz „Jezu, ufam Tobie", godzina miłosierdzia i święto obchodzone w pierwszą niedzielę po Wielkanocy. Najtrudniejsze okazało się wprowadzenie tego ostatniego elementu – święta Bożego Miłosierdzia.

Po raz pierwszy z prośbą o ustanowienie takiego święta zwrócił się do Watykanu polski Episkopat w 1946 r. Na jego czele stał wówczas kard. August Hlond, który był – jak pisze Ewa Czaczkowska w książce „Siostra Faustyna. Biografia świętej" – „przychylny kultowi Bożego miłosierdzia". Jego następca – kard. Stefan Wyszyński – był już innego zdania. Prymasowi Tysiąclecia zależało bardziej na rozwoju pobożności maryjnej, a nie wspieraniu „konkurencyjnego" kultu.

Szybko rozwijającym się w Polsce kultem zainteresowało się Święte Oficjum (poprzedniczka dzisiejszej watykańskiej Dykasterii Nauki Wiary), które w 1957 r. poprosiło kard. Wyszyńskiego, by zapytał o zdanie pozostałych biskupów. Ich opinia była negatywna, dlatego watykańska dykasteria w 1959 r. wydała zakaz rozpowszechniania obrazu i pism propagujących nabożeństwo do miłosierdzia Bożego w formach przedstawionych przez siostrę Faustynę. Pozostawienie lub nie w kościołach obrazów „Jezu, ufam Tobie" uzależniono od „roztropności biskupów". Decyzja Watykanu została odwołana dopiero w 1978 r. na prośbę ówczesnego krakowskiego metropolity kard. Karola Wojtyły.

Miłosierdzie to boski gest.
Okazując go Bogu, rzeczywiście stajemy wobec Niego jak równy z równym.

Wojtyła już w latach 60. XX wieku zainteresował się kultem Bożego miłosierdzia i mimo watykańskiej notyfikacji rozpoczął, jako biskup krakowski, starania o beatyfikację siostry Faustyny. Na ołtarze wyniósł ją już sam, jako papież, w 1993 r. (siedem lat później dokonał jej kanonizacji).

Ciekawe były spory teologów o kult Bożego miłosierdzia w trakcie procesu beatyfikacyjnego. O teologiczną analizę „Dzienniczka" Wojtyła poprosił wybitnego krakowskiego dogmatyka ks. Ignacego Różyckiego. Ten początkowo kategorycznie odmówił – uważał, że Faustyna „była ofiarą halucynacji na podłożu histerii, zatem nie tylko jej rzekome objawienia były pozbawione wszelkiej wartości religijnej, ale tym samym heroiczność jej życia – to sprawa przegrana" (cytuję za Czaczkowską). Zmienił zdanie, gdy z ciekawości zaczął przewracać kartki „Dzienniczka", którego lektura całkowicie go pochłonęła.

Sens kultu Bożego miłosierdzia podważał też nestor polskich teologów, rektor KUL, ks. Wincenty Granat. Pisał, że Bóg ma liczne ważne przymioty i każdy zasługuje na kult. Więc wyróżnianie tylko jednego „prowadziłoby do jakiegoś zaciemnienia jedności Boga". Ks. Różycki replikował: „Bóg jest nie tylko mądry, ale jest Mądrością; jest nie tylko wszechmocny, ale jest Wszechmocą (...) nie tylko jest miłosierny, ale jest Miłosierdziem". Takie podejście w żaden sposób nie rozmywa Jego jedności.

Czaczkowska uważa, że pisząc encyklikę „Dives in misericordia", Jan Paweł II wbrew powszechnej opinii nie znał całości „Dzienniczka". Zapoznał się z nim dopiero po zamachu z 13 maja 1981 r. „To pokazuje, że przekonanie o roli Bożego miłosierdzia rosło w nim niezależnie od objawień siostry Faustyny" – komentuje biografka.

Czy starszy syn wejdzie na ucztę

Wróćmy do ewangelicznej przypowieści. Opowieść zaczyna się od prośby młodszego syna skierowanej do ojca, by przekazał mu część majątku, która mu przypada. Zwykle nie zastanawiamy się, co mogło tę prośbę motywować. Odruchowo zakładamy, że pięknoduchostwo, brak dojrzałości, próżność. Czyżby? Zapytajmy jednak, co może kryć się za tym, że dziecko żąda przekazania mu już za życia rodzica jego części spadku i chce wybrać się w daleką podróż? Prawdopodobnie to, że nie zamierza już wrócić. Zrywa kontakt z rodzicem. Nie chce go znać. Dlaczego?

Odpowiedź może przybliżyć spojrzenie na relację starszego syna z ojcem. Wsłuchajmy się w jego pretensję: „Oto tyle lat ci służę i nigdy nie przekroczyłem twojego rozkazu; ale mnie nie dałeś nigdy koźlęcia, żebym się zabawił z przyjaciółmi". To wstrząsające wyznanie! Okazuje się, że między ojcem a synem funkcjonuje komunikowana za pomocą poleceń relacja przypominająca stosunek pracodawcy do najemnika. Bije z niej chłód. Syn nigdy nie doświadczył ojcowskiej hojności, którą mógłby się cieszyć, żadnego gestu miłości. Nie wie nawet, co ojciec o nim myśli.

Teraz popatrzmy na reakcję ojca – pełną bliskości i ciepła. „Moje dziecko – odpowiada ojciec – ty zawsze jesteś przy mnie i wszystko moje do ciebie należy". Czy to się nie kłóci z naszą interpretacją? A może jesteśmy świadkami niezwykłej chwili – wyznania miłości ojca wobec dorosłego już syna. Wypowiedziane zostały słowa prawdziwie ojcowskie. Czy po raz pierwszy? Wygląda na to, że tak. Mamy zatem do czynienia właściwie z narodzinami ojcostwa.

Teraz łatwiej jest nam rozumieć zachowanie ojca wobec młodszego syna, który próbował zerwać z nim kontakt – ojcowskie wyczekiwanie oraz podszytą wyrzutami sumienia tęsknotę i radość z odzyskania syna. Choć taka psychologiczna interpretacja osłabia wymowę „ojcowskiego gestu miłosierdzia", to jednak przypowieść nie zmienia swego tematu – nie przestaje być przypowieścią o miłosierdziu. Tyle że jego adresatem nie jest już młodszy syn. Spójrzmy: opowieść urywa się po tym, jak ojciec daje odpowiedź starszemu synowi.

eprasa.pl 2b98c8e853

Tak naprawdę to on jest tu głównym bohaterem. Nie wiemy, jak ostatecznie zareaguje. Na jego decyzji wszystko zostaje zawieszone. Czy ojciec go przekonał i wejdzie na ucztę zorganizowaną z okazji powrotu młodszego brata? Czy odejdzie, zamknięty w zgorzknieniu niespełnionej miłości synowskiej? To przed nim stanęła możliwość okazania miłosierdzia – ojcu.

Owo zawieszenie ewangelicznej narracji zmusza nas do zadania sobie pytania: co ja uczyniłbym na miejscu starszego syna? W ten sposób stajemy w sytuacji okazania możliwego miłosierdzia, które nie jest łatwe i oczywiste. Na własnej skórze możemy to poczuć. To decyzja, która nas zmieni, bo wymaga wysiłku przebaczenia. Wybaczenia lat życia bez świadomości rodzicielskiej miłości, bez doświadczania jakichkolwiek gestów, które by o tej miłości świadczyły. Czy to nie jest bardzo realistyczne doświadczenie wielu dorosłych dzieci? I bardzo trudne wyzwanie: zdobycie się na miłosierdzie w konkretnej sytuacji rodzinnej?

Bogu okazać miłosierdzie

W ten sposób dotarliśmy na inny poziom miłosierdzia – powszechnie wygłaszana kanonicza interpretacja ewangelicznej przypowieści o synu marnotrawnym nie jest w stanie tu nas zaprowadzić. Ale czy z nowej perspektywy jest jakiś pożytek teologiczny? Czy pozwala ona na odniesienie powyższych wniosków do Boga?

Jak najbardziej! Bóg Stwórca wszystkiego w pewnym sensie za wszystko odpowiada. A wiemy, że w świecie obecne jest zło. Czy odpowiada także i za nie? Najbardziej precyzyjnie pytanie to postawił już w starożytności Epikur w swoim słynnym paradoksie o Bożej wszechmocy: czy Bóg chce zapobiegać złu, lecz nie może? Nie jest zatem wszechmocny. Czy może, ale nie chce? Jest więc niemiłosierny. Czy może i chce? Skąd zatem zło? Czy nie może i nie chce? Dlaczego więc nazywać go Bogiem? (Próbę rozstrzygnięcia zagadki Epikura podjąłem w tekście „Po co nam diabeł", opublikowanym w „TP" nr 50/2022).

Niezależnie od tego, w jaki sposób rozstrzygniemy ten paradoks, prędzej czy później dotknie nas w życiu jakieś zło (o ile już nie dotknęło) i pojawi się pytanie o Bożą za nie odpowiedzialność. Dlaczego mnie to spotyka? Gdzie byłeś? Czemu milczysz? Choć zwykle pytania te pozostaną bez odpowiedzi, w praktyce życiowej wymagają poradzenia sobie z nimi. Zdobycie się na gest okazania Bogu miłosierdzia jest takim sposobem, choć proces dojrzewania do tego może trwać długo.

Teolog oponowałby. To groteskowa sytuacja – powie – gdy stworzony pył ma rozsądzać o miłosierdziu wobec Stwórcy!

A jednak miłosierdzie to boski gest. Okazując go Bogu, rzeczywiście stajemy wobec Niego jak równy z równym. Co zakrawałoby na głupotę graniczącą z bluźnierstwem, gdyby nie ubóstwienie naszego człowieczeństwa we wcieleniu Jezusa Chrystusa. Zresztą już w Starym Testamencie powiedziane jest: „Ja rzekłem: bogami jesteście" (Ps 82). Jezus cytuje ten psalm w polemice z tymi, którzy oskarżali Go właśnie o bluźnierstwo.

Przypomnijmy, że o takiej możliwości wspominał także ks. Józef Tischner w jednym ze swoich ostatnich tekstów („Maleńkość i jej Mocarz"), choć nie rozwinął tego tematu. „Siostra Faustyna stwarza wyzwania niełatwe. Zrozumieć Boga w Jego miłosierdziu. Zrozumieć człowieka jako istotę, której potrzebne jest miłosierdzie. Być miłosiernym dla siebie, dla bliźnich, a nawet dla Boga" – pisał.

W kleszczach religijnych rozczarowań

Okazując Bogu miłosierdzie, realizujemy w sobie Jego obraz. Nie czynimy tego z siebie, z własnej nędzy, tylko z tego, co jest w nas z Niego. Parafrazując stwierdzenie św. Pawła z Listu do Kolosan, można powiedzieć, że tym samym dopełniamy braki Bożej miłości i miłosierdzia. Ma to też ten religijny skutek, że wznosimy się na nowy poziom relacji z Bogiem: Jego miłość może zacząć w nas działać, uwolniona z więzów nakładanych przez nasze religijne rozczarowania i zawody.

Jeśli trzymać się powyższej analogii, wygląda na to, że opowieść o synu marnotrawnym ostatecznie okazuje się mówić o narodzinach Boga pełnego miłości i delikatności. Bóg zasad, pojmowany jako surowy strażnik sprawiedliwości, traktujący ludzi jak najemników zobowiązanych wypełniać nakładane na nich wymagania, przemienia się w prawdziwego Ojca. Jest to przemiana mentalna w naszym traktowaniu Boga. Perykopa o synu marnotrawnym to narracja inicjacyjna. Na koniec zauważmy, że zaproponowane przeze mnie odczytanie tej ewangelicznej przypowieści zbiega się w tym miejscu z interpretacją zwyczajową: Bóg jest miłosierdziem. Także w nas.

©℗ ARTUR SPORNIAK

REKLAMA



Kościoła nie ruszamy

LUCYNA KRAWIECKA:

ROZMOWA | Cena, jaką osoby pokrzywdzone musiały zapłacić, była ogromna. Urządzono im piekło na ziemi. Wciąż niektórzy uważają, że to wszystko moja wina.

SZYMON PIEGZA: Mija 25 lat od czasu, gdy Pani jako pierwsza powiedziała głośno, że proboszcz z Tylawy, ks. Michał Moskwa, jest pedofilem. Dowiedziała się Pani o tym od córki?

LUCYNA KRAWIECKA: Wtedy nikt nie używał słowa „pedofil". Zresztą córka miała dopiero siedem lat. Ale tak, powiedziała mi, że ksiądz robi dziewczynkom dziwne rzeczy.

Jakie?

Że długo całuje je w usta. Później na własne oczy zobaczyłam, jak na lekcjach religii trzyma dziewczynki na kolanach, przyciska je mocno do biurka, a one nie mogą się ruszyć.

Podobno w Tylawie od lat wszyscy o tym wiedzieli.

Jedna kobieta wyznała, że „przeżyła z nim wszystko". Ale nie chciała tego nigdzie zgłaszać. Inne dziewczyny były molestowane, ale mówiły, że niedawno założyły własne rodziny i ich mężowie o niczym nie wiedzą. A gdyby się dowiedzieli, to wstyd na całą wieś. Jeden z mężczyzn, który był strażnikiem granicznym, przyznał w tajemnicy, że grożono mu, że jak będzie zeznawał przeciwko księdzu, to może pożegnać się z pracą. W straży mówiło się, że „Kościoła nie ruszamy". W Tylawie panowała całkowita zmowa milczenia. Tu ciągle ksiądz jest święty.

Ciągle?

Podkarpacie pod tym względem niewiele się zmieniło. Wciąż niektórzy uważają, że to wszystko moja wina. I nie myślą o tych dzieciach, z którymi ksiądz nocował, które rozbierał i kąpał, którym wsadzał rękę do pochwy i mówił: „Ja cię teraz uzdrawiam mocą Pana Jezusa".

Jedna z sąsiadek opowiadała mi, że widywała księdza, jak regularnie odwozi ze szkoły sześcioletnią dziewczynkę. Ksiądz zatrzymywał malucha niedaleko jej domu i długo jej nie wypuszczał. To dziecko było wtedy w zerówce, czyli miało sześć lat.

Molestował nawet czterolatki. Pani miała jeszcze dwie młodsze córki. One też były skrzywdzone?

Nie. Myślę, że on doskonale zdawał sobie sprawę, że moje dzieci od razu by mi powiedziały. Zresztą wybierał dzieci z tych trudniejszych domów, gdzie rodzice specjalnie się nie przejmowali tym, że dziecku dzieje się krzywda.

Po nagłośnieniu sprawy wybuchł gigantyczny skandal. A na Panią spadł ogromny hejt, bo nikt wcześniej nie śmiał stawiać takiego oskarżenia wobec Kościoła.

Kościół, z arcybiskupem przemyskim Józefem Michalikiem na czele, próbował zniszczyć mnie, moją rodzinę i wszystkie osoby, które stanęły po stronie ofiar. Za Moskwą, którego nie jestem w stanie nazywać księdzem, stał Michalik.

Żałuje Pani, że wywołała tę aferę?

Nie, nigdy nie żałowałam. Ksiądz, który przekracza seksualne granice dzieci, krzywdzi je na każdej płaszczyźnie: seksualnej, psychologicznej, duchowej. A przy okazji bruka imię Boże. Jeśli szatan istnieje, to działał właśnie przez księdza w Tylawie.

Michał Moskwa został skazany.

Ale nigdy nie siedział w więzieniu. Oczywiście to, że został skazany prawomocnym wyrokiem za krzywdzenie dziewczynek, było sukcesem. Choć dziś uważam, że to jednak pyrrusowe zwycięstwo.

Dlaczego?

Ponieważ cena, jaką osoby pokrzywdzone musiały za to zapłacić, była ogromna. Urządzono im piekło na ziemi.

To była pierwsza tak duża afera seksualna w polskim Kościele.

Nikt z nas nie miał pojęcia, jak należy załatwiać takie sprawy. Miałam w sobie dużo naiwności, uważając, że jeśli zgromadzę relacje pokrzywdzonych i zaniosę je do arcybiskupa Michalika, to on się tym zajmie. Do głowy mi nie przyszło, że biskupi doskonale wiedzieli o pedofilii w Kościele i zamiatali ją pod dywan.

Wszyscy wiedzieli?

Kasetę z zeznaniami pokrzywdzonych przegraliśmy w ponad 60 kopiach i rozesłaliśmy chyba wszystkim polskim biskupom. Na czele z nuncjuszem abp. Kowalczykiem czy prymasem Polski i szefem episkopatu kard. Józefem Glempem.

I co na to kard. Glemp?

Nic. Nawet nie otworzył koperty, tylko odesłał ją z powrotem. Od kilku innych przesyłki też wróciły. Nawet nie chcieli się zapoznać z dowodami. Jedynym hierarchą, który nam uwierzył i chciał coś z tym zrobić, był bp Jan Chrapek. Obiecał nam, że poruszy sprawę na posiedzeniu. Byliśmy pewni, że to jedyny sprawiedliwy. Niestety, jak wracał z obrad, zdarzył się ten tragiczny wypadek samochodowy, w którym biskup zginął.

To był Pani pomysł, żeby pójść do Michalika?

Nie. Najpierw poszłam do spowiedzi i powiedziałam, że wielkie zło dzieje się tym dziewczynkom, a ja mam ogromne wyrzuty sumienia, że nic z tym nie zrobiłam. Naprawdę bałam się, że kiedyś stanę przed Bogiem i będę czuła ciężar winy, że byłam obojętna. Usłyszałam wtedy: „Nie możesz tego zostawić, Bóg jest przy tobie".

Ksiądz w czasie spowiedzi to Pani powiedział?

Tak, ten ksiądz dał mi siłę. I powiedział: „Musisz jechać do arcybiskupa".

Arcybiskup Józef Michalik przyjął Panią w swoim gabinecie.

To było tuż po jego imieninach, które przypadają 19 marca. Pamiętam, bo w poczekalni siedziała delegacja z prokuratury. Przyjechali specjalnie, żeby wrę-

NADIA KRAWIECKA

eprasa.pl 2b98c8e853



LUCYNA KRAWIECKA – studiowała teologię na KUL i na Hosianum w Olsztynie (licencjat kościelny). 25 lat temu jako pierwsza zgłosiła pedofilię w parafii Tylawa. Matka trójki dzieci, od ponad 20 lat wychowuje również dzieci w rodzinie zastępczej.

czyć biskupowi kwiaty. W pewnym momencie wyszedł sekretarz i zaanonsował: „Prokuratura Okręgowa z Przemyśla do księdza arcybiskupa". Michalik stanął w drzwiach, a oni padli na kolana, by ucałować jego pierścień.

Pani też całowała?

Nie. Zaraz po wejściu arcybiskup mnie zaatakował, że zmieniłam obrządek z rzymskokatolickiego na greckokatolicki. Tak jakby chciał udowodnić, że jestem zdrajcą Kościoła, więc nic, co mam mu do powiedzenia, nie może być prawdą. Zresztą później wiele razy powtarzał, że to grekokatolicy zaatakowali porządnego księdza z Tylawy.

Krzywda dzieci nie zrobiła na nim żadnego wrażenia?

Zażądał ode mnie nazwisk pokrzywdzonych. Odmówiłam, bo obiecałam dziewczynkom i ich rodzicom anonimowość. Na dowód przyniosłam mu kasetę, na której były nagrane rozmowy z tymi dziewczynkami. Wiedziałam, że na słowo honoru mi nie uwierzy.

Powiedziałam też, żeby wyznaczył kogoś z kurii, kto przyjedzie do Tylawy. Wtedy przyprowadzę wszystkie skrzywdzone, by opowiedziały ze szczegółami, co proboszcz im robi. Michalik bardzo się zdenerwował i stwierdził, że nie będzie nikogo wysyłał i żebym sobie z tym poszła do prokuratury.

Co Pani na to?

Odpowiedziałam: „Do tej prokuratury, która właśnie przed chwilą klęczała przed biskupem i całowała go w pierścień?". I wyszłam.

Arcybiskup nie zaproponował żadnej pomocy?

Żadnej. Natomiast zadzwonił do ks. Moskwy. A ten w najbliższą niedzielę zaczął grozić z ambony, że jeśli ktokolwiek coś złego na niego powie, to od razu straci pracę. Już wtedy wiele osób się wycofało.

„Parafianie, którzy znają lepiej środowisko niż wrogie Kościołowi (...) osoby, nie stracą zaufania do swego proboszcza, ale okażą mu bliskość przez gorliwą modlitwę" – napisał w specjalnym liście arcybiskup.

W głównej mierze to właśnie Józef Michalik odpowiadał za nagonkę na osoby pokrzywdzone. Niektórzy byli tak zastraszeni, że odwoływali zeznania w prokuraturze czy wręcz musieli wyprowadzić się z wioski, bo nie byli w stanie tego udźwignąć.

Pani się nie przestraszyła i zgodnie z radą arcybiskupa zgłosiła sprawę do prokuratury.

Gdzie przejął ją Stanisław Piotrowicz, wtedy szef Prokuratury Rejonowej w Krośnie.

Ten sam, który później mówił, że Pani przekupiła kobiety, by zeznawały przeciwko księdzu.

Piotrowicz od lat działał w kościelnych organizacjach, a kiedy sprawa była już w prokuraturze, kilka razy osobiście odwiedził ks. Moskwę. Wiem, bo raz nawet opowiadał mojej koleżance – mieli dzieci w jednej klasie – że w drodze do Tylawy wyskoczył mu jeleń przed maskę i cały samochód był do naprawy.

Po kilku miesiącach prokuratura umorzyła postępowanie, a Stanisław Piotrowicz na konferencji prasowej w 2001 r. mówił, że to nic dziwnego, gdy ksiądz da dziecku „ciumka". A także, że ks. Moskwa dotykał dzieci tam, gdzie nie powinien, ponieważ był bioenergoterapeutą i nie było w tym podtekstu seksualnego.

Pamiętam wszystkie zeznania kobiet, które były molestowane. Najmłodsza ofiara miała sześć lat, a najstarsza ponad 40. Przez ponad 35 lat ksiądz był seksualnym drapieżcą, a Kościół nic z tym nie robił.

Jak doszło do procesu?

Dzięki Barbarze Piwnik, minister sprawiedliwości, sprawa została przeniesiona do innego miasta i rozpoczęta od nowa. Tam ksiądz usłyszał zarzuty i trafił przed sąd. Wtedy zaczęła się już prawdziwa kampania hejtu. Ciężko było słuchać zeznań matek, które ze wszystkiego się wycofywały i mówiły, że ich córkom właściwie żadna krzywda się nie działa. Ale ja tym matkom wcale się nie dziwię. Zostały ukamienowane przez swoje środowisko.

Zeznawały też dzieci.

W pewnym momencie nawet sędzia nie mógł unieść ciężaru tych zeznań. Były rodziny, w których krzywdzone przez tego samego księdza były i córki, i matka. ↦

eprasa.pl 2b98c8e853

↦ **W 2004 r. wiele przestępstw było już przedawnionych, ale i tak sąd skazał proboszcza z Tylawy na dwa lata więzienia, w zawieszeniu na pięć lat.**

I co z tego, skoro Moskwa ciągle mieszkał w Tylawie, odprawiał msze i spowiadał? Ten człowiek śmiał się w twarz pokrzywdzonym. I miał nad nimi kontrolę. Michalik specjalnie go zostawił, żeby piętnował tych, którzy na niego donieśli. To było nieludzkie.

Pani nie dała za wygraną.

Jeden dziennikarz poradził mi, żebym pojechała do Krakowa, bo ks. Adam Boniecki może nam pomóc.

W tamtym czasie ks. Boniecki dopiero co objął stanowisko redaktora naczelnego „Tygodnika Powszechnego". Wcześniej przez lata był redaktorem polskiej edycji „L'Osservatore Romano" w Watykanie.

Miał wyrzuty sumienia, że gdy wybuchła afera, „Tygodnik" nie stanął po naszej stronie. Chciał to jakoś nadrobić. Przeprosił mnie i wytłumaczył, że dał się wprowadzić w błąd.

Przez kogo?

Uwierzył w narrację Michalika. Dopiero wyrok sądu zmienił jego nastawienie. Powiedział mi, że chce się zrehabilitować.

Pomógł?

Na pewno próbował. Stwierdził, że trzeba poinformować Stolicę Apostolską o tym, że ks. Moskwa został skazany za pedofilię. I że trzeba to zrobić tak, by całkowicie ominąć polski episkopat, bo oni to zablokują. Powiedział, że specjalnie pojedzie do Watykanu, żeby to załatwić.

Pojechał?

Tak. Zawiózł uzasadnienie wyroku, ale tam podobno usłyszał: „Boniecki, jak ci życie miłe, zostaw tę sprawę".

Kto mu groził?

Tego nie wiem, ale podejrzewam, że usłyszał to od kard. Stanisława Dziwisza. To on wtedy rządził Watykanem. Pamiętajmy, że to była końcówka pontyfikatu Jana Pawła II. Ks. Boniecki nic więcej już nie mógł zrobić.

Sekretarz zaanonsował: „Prokuratura Okręgowa z Przemyśla do księdza arcybiskupa". **A oni padli na kolana, by ucałować pierścień.**

Uzasadnienie wyroku dla proboszcza z Tylawy udało się dostarczyć do Watykanu dopiero po śmierci Jana Pawła II. Ale znowu musieliśmy to zrobić tak, żeby ominąć polskich księży.

Dlaczego?

Chodziło o to, by dokumenty nie trafiły w ręce Dziwisza, który mógłby wszystko zablokować. Zależało nam, żeby sprawa trafiła bezpośrednio do papieża Benedykta lub kogoś z jego otoczenia. Tylko księża spoza Polski mogli być bezstronni i załatwić sprawę jak należy. Dopiero wtedy Michalik został zmuszony do usunięcia ks. Moskwy z Tylawy.

Arcybiskup Michalik wiele lat później powiedział, że do pedofilii dochodzi wtedy, gdy „dziecko szuka miłości (...) Zagubi się samo i jeszcze tego drugiego człowieka wciąga".

Wie pan, co jest najgorsze? Że tych dzieci z Tylawy nikt by nie obronił. Dorośli o tym wiedzieli, ale nikt nic nie zrobił. Gdzie byli ci wspaniali ojcowie, którzy schowali głowę w piasek? Dostawałam telefony z pogróżkami, pod naszym domem wysiadywali jacyś obcy mężczyźni. Cały czas ktoś powtarzał oszczerstwa na mój temat, a abp Michalik nawet napisał list do greckokatolickiego biskupa, przełożonego mojego męża, z żądaniem, żeby nas zabrał z Podkarpacia, bo gorszymy jego wiernych. Chodziło o to, żebym zniknęła w niesławie.

Zakaz odprawiania mszy ks. Moskwa dostał dopiero po 16 latach od wyroku. To jedyna kara kościelna. A czy Panią ktoś w imieniu Kościoła kiedykolwiek przeprosił?

Nigdy, ale ja nie czuję się przegrana. Wierzę, że nasze poświęcenie było potrzebne. Tysiące innych skrzywdzonych w Kościele nabrało odwagi i zaczęło głośno mówić o swoim cierpieniu.

To, czego oczekiwałabym od Kościoła, to przeproszenia wszystkich osób skrzywdzonych w tej sprawie i podziękowania tym, którzy ją ujawnili. W imię dobra Kościoła.

Nie straciła Pani wiary w Boga?

Nie. Ciągle wierzę Chrystusowi i wiem, że to, co przekazał nam w Ewangelii, ma sens.

Minęło 25 lat. Coś się zmieniło w naszym społeczeństwie od tego czasu?

Na lepsze zmieniło się to, że zaczęliśmy głośno rozmawiać o pedofilii księży. Jest coraz więcej wyroków skazujących. Niestety, sam Kościół katolicki się nie zmienia.

Papież Franciszek sporo chyba zmienił. Był bezwzględny nie tylko dla pedofilów w sutannach, ale też dla tych, którzy te przestępstwa tuszowali. Ukaranych zostało nawet kilku polskich biskupów.

Już dawno przestałam się martwić samą instytucją i myślę, że Bogu też nie chodzi o nią, tylko o ludzi, którzy ten Kościół stanowią. Chcę głosić Ewangelię i robię to swoim życiem.

Widzi pan, język Ewangelii jest bardzo prosty, tylko trzeba go stosować. Bóg działa przez ludzi. Ja zrobiłam tylko to, co miałam zrobić jako chrześcijanka, kobieta i matka. Przed Bogiem czułam się odpowiedzialna za te dzieci i za to, co zrobiłam w ich sprawie.

Pani wcale nie chciała być bohaterką.

Myślę, że taki był Boży plan. W latach 80. studiowałam teologię na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. KUL był wtedy miejscem całkowitej wolności. Profesorowie mówili nam, że nasze sumienie to „sanktuarium, miejsce święte, w którym sam na sam przebywam z Bogiem".

Zaangażowałam się w pomoc, ponieważ też kiedyś doznałam głębokich ran w Kościele. Dlatego doskonale wiedziałam, co one czują i że nie można ich samych z tym zostawić.

Pani sama kiedyś przeszła przez podobne piekło?

Tak.

© Rozmawiał SZYMON PIEGZA

eprasa.pl 2b98c8e853

Wiara bez pośredników

EDWARD AUGUSTYN

POLECAMY | Polski katolicyzm wymaga oczyszczenia z magii. Oraz wiary, która nie boi się krytycznego rozumu. Polecamy nową książkę ks. Grzegorza Strzelczyka.

„Poza Kościołem nie ma zbawienia” – nad tymi słowami św. Cypriana, biskupa Kartaginy, teologowie deliberują już osiemnaście wieków. Nie tylko zresztą oni. Gorąca dyskusja nad ostatnim listem episkopatu o antysemityzmie, zwłaszcza stwierdzeniem, że Izrael wciąż jest „narodem wybranym”, który idzie własną drogą do zbawienia, jest dowodem, że problem i dziś porusza do żywego wielu Polaków. Ale też, że nauczanie Soboru Watykańskiego II niespecjalnie się w naszym Kościele przyjęło.

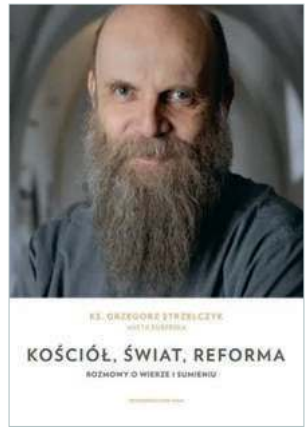

Ks. Grzegorz Strzelczyk, Aneta Kuberska
KOŚCIÓŁ, ŚWIAT, REFORMA. ROZMOWY O WIERZE I SUMIENIU
WAM, Kraków 2026

TEOLOGIA | Jednym z powodów jest brak teologów z prawdziwego zdarzenia. Cóż się dziwić, skoro wydziały teologiczne na polskich uczelniach to „szkoły zawodowe” dla katechetów – mówi ks. Grzegorz Strzelczyk, jeden z nielicznych, którzy traktują teologię poważnie: jako naukę, która „wnosi racjonalność do religijnych przestrzeni”. Zwłaszcza że te wciąż mają tendencje „do ujmowania rzeczywistości w sposób magiczny”. „Dzięki teologii uprawianej naukowo mamy dzisiaj narzędzia do tego, żeby stwierdzić, iż oryginalny impuls Jezusa nie był tak bardzo religijny, jak go od IV wieku w Kościele interpretujemy. Wiemy, że – używając współczesnych pojęć – był dużo bardziej teologią wyzwolenia niż scholastyką” – mówi ks. Strzelczyk i nie są to słowa, które łatwo da się w polskiej, kościelnej przestrzeni usłyszeć. A przecież to tylko niewielki cytat z wywiadu rzeki, który przeprowadziła z katowickim teologiem Aneta Kuberska, wydanego w formie książkowej.

RELIGIA | Nie ma tam taniej apologetyki. Raczej przeprowadzona z chirurgiczną precyzją operacja oczyszczania polskiego katolicyzmu z obyczajowych, kulturowych i magicznych naleciałości. Uwolnienie go od podejścia lękowego – wobec egzystencjalnych problemów człowieka i wyzwań nowoczesnych nauk: neurobiologii, fizyki kwantowej, ewolucjonizmu.

Stawką jest odnalezienie sensu chrześcijaństwa w świecie, który nie potrzebuje już Boga jako specjalisty od spraw niewyjaśnionych. Który odrzuca przekonanie, że w kontakcie z Bogiem potrzebne jest człowiekowi „pośrednictwo” dające jednej stronie poczucie bezpieczeństwa, a drugiej – władzę. Tylko wtedy – mówi ks. Strzelczyk – religia przestanie być „szamanizmem”, a stanie się relacją – z Bogiem i drugim człowiekiem.

PROBLEMY | Teologia, zmienność doktryny czy klerykalizm to oczywiście nie jedyne tematy poruszane w książce. Rozmowa krąży wokół sensu wiary i znaczenia Kościoła, który staje się dziś miejscem „napięć, pytań, niekiedy również bólu”. Dotyka miejsc wstydliwie zakrywanych i pełnych ran – seksualnych skandali, patriarchatu i duchowej przemocy. Porusza temat obecności religii w życiu politycznym i publicznym (również w szkole) oraz sojuszu ołtarza z tronem. A także sprawy od zawsze w Kościele drażliwe, jak aborcja, eutanazja, antykoncepcja czy homoseksualizm. „W tym obszarze odziedziczyliśmy masę rzeczy z czasów przednaukowych. I one – mówiąc wprost – nie wytrzymują próby czasu” – zauważa ks. Strzelczyk.

ROZMOWA | Niewiele jest też osób, które potrafią, jak ks. Strzelczyk, mówić tak prostym, ale nie upraszczającym i absolutnie nie klerykalnym językiem. Co pokazuje, że liczy się nie tylko erudycja, której mu nie brak, ale też umiejętność słuchania ludzi. Także swojej książkowej rozmówczyni, której rola nie sprowadza się do zadawania pytań i potakiwania.

Nie dostaniemy prostych recept na problemy z Kościołem, wiarą, Bogiem i samymi sobą. Ale zachętę do zadawania coraz to nowych i coraz trudniejszych pytań i „szukania ścieżek, które nie są oczywiste”. Do burzenia murów lęku i stereotypów. Do godzenia wiary z krytycznym rozumem. ©℗

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym dla miasta stołecznego Warszawy w Warszawie, pod sygnaturą akt II Ns 195/19, toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Romanie Adamie Jałowieckim, z zawodu maszyniście i przemysłowcu, s. Ludwika Jałowieckiego i Marianny z Łuczyńskich, ur. w dniu 28 lutego 1855 r. w Radomiu, zm. w dniu 22 sierpnia 1935 r. w Warszawie, ostatnio stale zamieszkałym na obszarze rzymskokatolickiej parafii św. Jakuba w Warszawie Ochocie.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w ciągu trzech miesięcy od dnia ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

eprasa.pl 2b98c8e853

ZUZANNA

Radzik:
Miss antysemityzmu



Do grona prominentnych, nowych amerykańskich katolików, którzy będą nam w najbliższym czasie spędzać sen z powiek, dołączyła niedawno Carrie Prejean Boller. Dawna MissCalifornia została rok temu katoliczką, tłumacząc odejście z ewangelikalnego chrześcijaństwa jego syjonizmem. Zaraz potem prezydent powołał ją, zwykłą matkę – jak sama o sobie mówi – do Komisji ds. Wolności Religijnej. Wyleciała z niej z hukiem w lutym tego roku i teraz opowiada, że jest prześladowana za swój katolicyzm. Planuje wyprodukować na ten temat film dokumentalny, na razie nagrywa wielogodzinne podkasty, na przykład z Tuckerem Carlsonem.

W czasie komisyjnego wysłuchania na temat antysemityzmu Prejean Boller wielokrotnie konfrontowała panelistów z pytaniami o to, czy bycie katoliczką (które to wyznanie nie każe swym wiernym być syjonistami) oznacza, że jest antysemitką. A może wszyscy katolicy są antysemitami? Sięgnęła nawet po stary dobry argument: że Żydzi są winni śmierci Chrystusa. Zarzut bogobójstwa pojawił się w kontrze do definicji religijnego antysemityzmu według IHRA. Prejean Boller stwierdziła, że nie można przecież cenzurować chrześcijańskiej Biblii, w której jasno stoi napisane, że zabili.

Opowiadając o byciu prześladowaną za swoje religijne, katolickie przekonania, Prejean Boller odnosi się do jakiejś niezaktualizowanej wersji katolicyzmu. Opowiada wciąż o 2 tys. lat nauczania i Ojcach Kościoła, zasłaniając nimi swoje tezy. Owszem, u Ojców Kościoła antyjudaizm jest jak powietrze. Na tym właśnie polegał trud zmiany nauczania na Soborze Watykańskim II, że trzeba było zakwestionować kawał tradycji Kościoła. Zrobiliśmy to jednak również po to, by uzdrowić samych siebie ze złej teologii, opartej na wypaczonym obrazie Boga, który porzuca swój lud. Prejean Boller w podkastach z konserwatywnymi katolikami zasmuca się nad brakiem odwagi biskupów Barrona i Dolana, również członków tej komisji, którzy nie stanęli w jej obronie. Co więcej, Barron w rozmowie z Benem Shapiro mówił, że przymierze Żydów z Bogiem jest ważne, a to już jej zdaniem jest smutne i niezgodne z Biblią i tradycją. Słowem, Carry Prejean Boller nie jest może tak elokwentna jak Paweł Lisicki czy ks. prof. Waldemar Chrostowski, ale mówi dość podobne rzeczy, tylko prościej. I nie musi dokonywać fantazyjnych interpretacji słów Jana Pawła II – po prostu wie swoje.

Rozwścieczona usunięciem z komisji i mając poczucie religijnego prześladowania, przy okazji obnaża nowe konflikty i podziały w ruchu MAGA. Bo to, że wśród młodszego skrzydła Republikanów popularny stał się antysemityzm, da się zauważyć. Można jej w sumie wierzyć, że naciski na nią próbowała wywierać pastorka Paula White-Cain, prominentna syjonistka, duchowa doradczyni Trumpa. Ta sama, która w Wielkim Tygodniu porównała go do cierpiącego Jezusa. Carry z przekąsem mówi, że pewnie myśleli, że jest głupią blondynką, na niczym nieznającą się dawną miss i da się zdominować. Och, jak się mylili. Widać, że wewnątrz ruchu następuje konfrontacja z ewangelikalnymi syjonistami, zwłaszcza w kontekście wojny z Iranem i wątpliwościami, jakie ona budzi. Dlatego rozzłoszczona Prejean Boller, znająca Trumpa jeszcze z czasu konkursu piękności wygranego w 2009 r., dziś pyta: czy jesteś prezydentem USA czy Izraela? Niczym ideowa siostra Grzegorza Brauna, który też rozwodzi się o USA idącym na pasku państwa na „I", zamieszkałego przez ludzi na „Ż".

Może to i pocieszające, że nie tylko wśród polskich katolików nowe nauczanie Kościoła katolickiego o Żydach słabo się przyjęło. Wygodniej się temu przyglądać z dystansu, przez ocean, gdy jest to po amerykańsku malowniczo egzotyczne. Trudniej patrzeć na swojską, krajową wersję. Choć u nas też miesza się krytyka Izraela (dopuszczalna) z najbardziej tradycyjnym przedsoborowym nauczaniem o Żydach. A wszystko to w sosie oburzenia prawicowych komentatorów na episkopat i insynuacji o naciskach na kardynała Rysia, który przygotował budzący kontrowersje list, złożony w większości z cytatów z polskiego papieża.

Odpowiedzią na to wzburzenie jest ze strony kolektywu biskupów cisza. Nie doprecyzowanie, nie polemika. Cisza. Jak zawsze, bo ciszą był przecież brak aktywnego nauczania, choćby własnych seminarzystów, o nowej teologii judaizmu. Ciszą było tolerowanie wywodów ks. prof. Chrostowskiego, które podważają od lat posoborowe nauczanie. Teraz to, co ignorowane i tolerowane, odpowiedziało głosem publicystów i youtuberów, dystansując się od listu i spierając się z nim.

Gorzej nawet, gdy piszę ten felieton w Wielkim Tygodniu, słyszę, że księża namawiają się, by czytać modlitwę wielkopiątkową za Żydów w źle przetłumaczonej wersji, do niedawna obowiązującej w mszałach (teraz rozesłano korekty). Przez lata modlono się bowiem – z powodu błędnego tłumaczenia na polski – za naród niegdyś wybrany, choć nie tak stoi w oryginale. Wielkanocna rebelia liturgiczna to może mały gest, ale znaczący. Gest odrzucenia Soboru Watykańskiego II. Być może również w twojej i mojej parafii. ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet".

eprasa.pl 2b98c8e853

O. WACŁAW

Oszajca:
Precz, serafiny!



Każdy grób, nie tylko Jezusa, z natury rzeczy opustoszeje, ale człowiek – to jak na razie ostatnie ogniwo ewolucji na Ziemi – jakoś nie dowierza, by zniknięcie resztek po nim oznaczało unicestwienie jego samego. Powiedzmy, ponad fizykę grobu stawia jego metafizykę. Przecież nie bez powodu na przykład na Kaszubach dzwony jednakowym dźwiękiem, ale różną melodią ogłaszają zarówno pogrzeb, jak i ślub, a Angelus Silesius w aforyzmie „Nad-Boskość" pisze: „Co się o Bogu mówi, to mi nie starcza wcale: / Nad-Boskość jest dopiero życiem mym i światłem". W „Wiekuistym grobowcu" dopowiada zaś: „Kto inny sobie głowę o swój grób niech suszy, / Jak swój wór dla czerwi w pomnik zmieścić dumny. / Ja nie dbam o to wcale: grób mój, skała, trumna, / Co spocznę w niej na wieki, to serce jest Jezusa".

W tych dzwonach i wierszu wybrzmiewa pytanie, które Bóg wciąż stawia ludziom: „Dlaczego żyjącego szukacie wśród umarłych?". Wciąż bowiem my, współcześni uczniowie Jezusa, nawet jeśli wierzący, że jesteśmy Jego siostrami i braćmi, dziećmi Boga, postrzegamy śmierć jako rozpad człowieka i unicestwienie, co prawda czasowe, jednej części składowej – ciała. I niby uczniowie „wieczorem w dniu zmartwychwstania", przerażeni śmiercią Nauczyciela, ale i swoją, nawet jeśli temu zaprzeczamy, to jak oni umieramy ze strachu, nie wiedząc, co z sobą zrobić. Tymczasem Jezus, jakby nigdy nic, zjawia się pośród nich i mówi, żeby się wzięli do roboty – wyszli do ludzi. Przecież nic się nie skończyło i nic się nie zaczęło, dzieje się tylko to, co ma się dziać.

„Precz, precz, wy *Serafiny*, wy mnie nie pokrzepicie: / Precz, precz, wy aniołowie z waszym pięknym licem: / Już was nie pożądam: rzucam się zuchwale / W nadprzyrodzone morze, w głąb Boskości samej" – mówi Silesius. Tę głębię Boskości poeta nazywa Nad-Boskością, czyli czymś „czego oko nie widziało ani ucho nie słyszało", czego umysł nie potrafi ogarnąć. Ale skoro istota człowieczeństwa jest „odblaskiem" Boga, to znaczy, że i w nas jest nad-człowieczeństwo – coś z nad-boskości. Dlatego w tym niemożliwym do rozerwania splocie życia i śmierci dostrzegamy jednocześnie grób i kolebkę – życie karmi śmierć, a śmierć karmi życie. Jak na Wielkanoc przystało, niech śmierć przestanie tańczyć *danse macabre* i z życiem zatańczy *pas de deux*. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Nowy początek



„Miesiąc ten będzie dla was początkiem miesięcy, będzie pierwszym miesiącem roku!" – mówi Pan Bóg Mojżeszowi i Aaronowi w Egipcie, wtedy gdy po raz pierwszy w dziejach Żydów przygotowują Paschę (zob. Wj 12, 1-14). Dzisiaj mówi to również do nas – chrześcijan, którzy na paschę gromadzimy się z Jezusem. Ktoś może powie: Jak to? „Początek miesięcy" i „pierwszy miesiąc roku" obchodzimy w styczniu. Również Żydzi nie przeżywają nowego roku w miesiącu Nisan (kiedy przypada Pascha), lecz w miesiącu Tiszri (wrzesień / październik). Pan Bóg się nie kłóci z żadnym z kalendarzy, ani żadnego nie unieważnia. Nie mówi: „Miesiąc ten będzie początkiem miesięcy"; lecz mówi: „Miesiąc ten będzie dla was początkiem miesięcy". To znaczy: Pascha wnosi w wasze życie kompletnie nową jakość. Wszystko, co było przed nią, w porównaniu z nią wydaje się niczym. Ona rzeczywiście wyznacza nowy początek rzeczy.

Na czym ta nowa jakość życia polega? Czy jest jakieś słowo, którym można ją opisać? Jest. Tym słowem jest: wolność. To, co czynimy jako wolni ludzie, ma się nijak do tego, co musieliśmy robić jako niewolnicy. Pascha jest wydarzeniem, w którym Bóg stawia nam jedno pytanie: Czy cenisz sobie swoją wolność tak wysoko, jak Ja ją cenię? A może nawet tak: Czy chcesz być wolny? Na usta ciśnie się odpowiedź: „Chcę! Zaradź mojemu zniewoleniu". Tak. Wolność jest początkiem. Bóg mówi zaraz dalej: Jest wydarzeniem tak ważnym, że nie wolno Ci go zachować dla siebie. „Dzień ten będzie dla was dniem pamiętnym i obchodzić go będziecie jako święto dla uczczenia Pana. Po wszystkie pokolenia – na zawsze w tym dniu będziecie obchodzić święto". Pokolenie za pokoleniem: ojcowie – dzieciom; dzieci – wnukom; wnuki – prawnukom itd. Nieprzerwany łańcuch – od tamtej nocy. Jakieś 3220 lat. Nigdy nie zabrakło tego przekazu. Nigdy nie zabrakło ludzi, dla których orędzie i doświadczenie wolności było tak fundamentalne, że nie mogli – nie byli w stanie – zatrzymać go dla siebie. Po prostu musieli przekazać je tym, których kochali jako swoich bliskich.

Wszyscy dziś mówią, że jesteśmy świadkami przerwania tego łańcucha – międzypokoleniowego przekazu wartości. Nie narzekajmy na „złą" młodzież... Raczej zapytajmy siebie samych, jak ważne i fundamentalne jest dla nas to, co przeżywamy. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

eprasa.pl 2b98c8e853

HISTORIA

DWOJE Z POKOLENIA

Byłoby szkoda, gdyby dyskusja o biografii Heleny Wolińskiej i Włodzimierza Brusa sprowadziła się do haseł „stalinowska zbrodniarka" *versus* „ofiara antysemickiej nagonki".

BEATA CHOMĄTOWSKA

NA POCZĄTEK EKSPERYMENT: WYOBRAŹMY sobie, że czytamy tę opowieść tylko jako historię ich relacji, jako romans, nie znając jeszcze ich tożsamości.

Poznają się w II RP jako młodzi ludzie. Oboje zdolni, głodni wiedzy. Należą do jednej z mniejszości w Polsce, która w 1918 r. odzyskała niepodległość. Łączą ich poglądy: dołączają do ruchu komunistycznego, który tę niepodległość podważa i jest zwalczany.

Gdy wybucha II wojna światowa, są już parą. Uciekają na wschód, do zajętego przez Sowietów Lwowa. Biorą ślub. Ona jest w szóstym miesiącu ciąży, gdy latem 1941 r. zostaje sama w mieście zajętym przez Niemców. On się ewakuował, sądząc, że żona uczyniła to samo. Tracą kontakt na kilka lat. On nigdy nie zobaczy córki, która zmarła w niemowlęctwie; spędzi wojnę w Związku Sowieckim. Ona ucieknie z getta do komunistycznej partyzantki.

Gdy spotykają się w powojennym Lublinie, gdzie tworzą się zręby nowego systemu, ona jest w jego strukturach i w nowym związku. Odrzuca propozycję, by wrócili do siebie. Zejdą się dopiero dekadę później, porzucając dotychczasowych partnerów. Na świat przyjdzie ich drugie wspólne dziecko.

Jednak nie jest to romans ze szczęśliwym zakończeniem, lecz związek okupiony poczuciem winy (zwłaszcza u niego: zostawił kochającą go żonę i dwie córki). Związek targany, w miarę starzenia się obojga, konfliktami i zdradami (z jego strony). Trwający jednak do końca. Na emigracji, gdzie oboje nie są szczęśliwi, borykając się z chorobą psychiczną syna.

On i ona

Dopiero gdy czytelnik zamyka książkę, dowiaduje się, o kim mowa: Fajga Danielak (później Helena Wolińska) i Ben Zylberberg (Włodzimierz Brus). Żydowscy obywatele II RP, którzy przeżyli Zagładę i po 1945 r. związali się z komunistyczną władzą, choć każde na inny sposób.

Trudno w tej podwójnej biografii postawić między nimi znak równości. On, najpierw oficer polityczny w wojsku, potem ekspert od stalinowskiej gospodarki, jest pamiętany jako ekonomista, po 1956 r. w środowisku „rewizjonistów". Ona – jako prokuratorka mająca na rękach krew ludzi, których „winą" było to, że zostali uznani za wrogów systemu.

O niej głośno stało się, gdy w latach 90. XX w. została główną podejrzaną w śledztwie dotyczącym mordu sądowego na gen. Auguście Fieldorfie „Nilu". Postaci symbolicznej: dowódca AK, został zamordowany w 1953 r., a data jego śmierci, 1 marca, stanie się potem świętem upamiętniającym powojenną konspirację.

W 1999 r. i ponownie w 2001 r. polskie władze wystąpiły do Wielkiej Brytanii o jej ekstradycję (wnioski dotyczyły bezprawnego pozbawienia wolności kilkunastu żołnierzy AK). W 2006 r. Brytyjczycy odmówili; zasłaniali się m.in. jej wiekiem.

Po stronie jej obrońców pojawiał się wtedy argument, że jest obiektem antysemickiej nagonki (ona sama też to sugerowała). Kontrował go m.in. Władysław Bartoszewski: mówił, że Wolińska podpisała się także pod aktem oskarżenia wobec niego (opartym na fałszywych dowodach, wymuszonych torturami), dobrze wiedząc, że podczas okupacji pomagał Żydom.

Jaka jest reakcja czytelnika dysponującego już tą wiedzą? Nadal współczuje bohaterom romansu? Czy może odrzuca ich z niesmakiem? To może być interesujące ćwiczenie.

Moment medialny

„Stygmat" Katarzyny Kwiatkowskiej-Moskalewicz, opowieść o losach tej pary, ma dziś swój medialny moment.

Emocje buzowały już przed premierą książki. Zainteresowanie rozprawą liczącą 700 stron i – mimo reporterskiego kostiumu – będącą pracą naukową to niewątpliwe osiągnięcie. Zwłaszcza że nie idzie o pierwszoplanowe postaci, lecz osoby słabo znane pokoleniom, które w dorosłość weszły po upadku PRL-u i – jak usłyszałam niedawno od doświadczonej redaktorki – „nie odróżniają Gomułki od Gierka".

Główny powód to powrót zarzutów stawianych Wolińskiej w latach 90. XX w., czyli sprawa „Nila". Oparta na solidnej kwerendzie, książka przynosi fakty: jako prokuratorka Wolińska podpisała nakaz jego aresztowania, po fakcie i ze wsteczną datą, legalizując je; w śledztwie nie brała udziału. Na ile to współwina, niech każdy osądzi (w innych sprawach jej wina nie budzi za to wątpliwości: wiele razy przyłożyła rękę do aresztowania niewinnych, co dla nich oznaczało tortury w śledztwie).

Jednak „Stygmat" to książka na tyle wielowarstwowa, że można ją czytać za każdym razem w inny sposób. Dlatego byłoby szkoda, gdyby dyskusja o niej sprowadziła się do haseł: „stalinowska zbrodniarka"

eprasa.pl 2b98c8e853



REPR. TOMASZ GZELL / PAP

versus „ofiara antysemickiej nagonki". To by sprowadziło różne wymiary tej historii do komentarza w social mediach.

W kręgach prawicowych krąży opinia, że książka powstała jako próba „wybielenia" Wolińskiej, zainicjowana przez środowisko „Gazety Wyborczej" (wydała ją Agora). Starczy spojrzeć na dotychczasową pracę Kwiatkowskiej-Moskalewicz, by włożyć takie teorie między bajki. A po drugie, czy naprawdę ta książka ją wybiela? Ale po kolei.

Historycy o komunistach

Pierwszy sposób odczytania, jako romansu z historią w tle, już wymieniliśmy. Z tej perspektywy drobiazgowo rekonstruowane losy Wolińskiej i Brusa można śledzić też jak przyczynek do rozważań o roli przypadku: jak potoczyłoby się ich życie, gdyby Brus nie wsiadł na ciężarówkę opuszczającą Lwów? Albo gdyby Wolińska pojechała razem z nim?

Jednak historyków – a Kwiatkowska-Moskalewicz jest historyczką; jej doktorat, rodzaj preludium do „Stygmatu", dotyczył tożsamościowych i politycznych dylematów Żydów-komunistów w Polsce między rokiem 1918 a 1968 – bardziej interesuje weryfikacja, czy obiegowe poglądy o jakimś zjawisku mają potwierdzenie w indywidualnych biografiach.



ARCHIWUM AKT NOWYCH / REPR. WALDEMAR GORLEWSKI

Włodzimierz Brus na zdjęciu z 1947 r. W tym czasie był oficerem Głównego Zarządu Polityczno-Wychowawczego komunistycznego wojska polskiego.

Powyżej: Helena Wolińska (stoi w środku) podczas wizyty na Węgrzech w 1948 r. wraz z delegacją Milicji Obywatelskiej. Od lata 1944 r. do marca 1949 r. Wolińska kierowała Wydziałem Kadr w Komendzie Głównej MO, a w kwietniu tego roku przeszła do Naczelnej Prokuratury Wojskowej, gdzie do 1954 r. oskarżała „wrogów systemu".

W odniesieniu do polskich komunistów jest to wyzwanie, bo długo tym obszarem zajmowali się głównie historycy, dla których PRL był częścią ich własnego życia i nierzadko karier, co sprzyjało przemilczeniom. Z kolei po 1989 r., na fali rozliczeń z systemem, nastąpił zwrot polegający na łączeniu perspektywy badawczej z moralną.

Dziś kolejne pokolenie historyków wchodzi w dialog z tymi dwoma nurtami, stara się unikać wielkich kwantyfikatorów i ocen. W tym celu bierze pod lupę pojedyncze życiorysy – z ich podobieństwami, ale też pęknięciami i dynamiką.

Epoka i jednostki

Jedno z pytań, które się tu pojawiają, brzmi: na ile zaangażowanie w komunizm było częścią „radykalnego habitusu epoki" (jak nazwał to Łukasz Bertram w portrecie zbiorowym polskich komunistów „Bunt, podziemie, władza"; wyd. Scholar 2022 r.), a na ile – pochodną pochodzenia i wychowania w określonym środowisku.

Dodałabym: na ile do życiowych wyborów przyczyniły się okoliczności, zawężające niekiedy pole manewru, a na ile były to decyzje autonomiczne? Czy przyjęcie ideologii, swoistej religii, jaką był komunizm, miało związek z cechami osobowości? Na ile dany człowiek, mimo ↦

eprasa.pl 2b98c8e853

↦ zglajchszaltowania, zachował odrębność? Czy i pod wpływem jakich czynników nastąpiła potem zmiana w podejściu do komunizmu?

W takim ujęciu „Stygmat", choć unika pokusy sprowadzenia z pozoru podobnych biografii do wspólnego mianownika, jest też jakby postscriptum do książki Jaffa Schatza „Pokolenie. Wzlot i upadek polskich Żydów komunistów" (polskie wydanie ŻIH 2020 r.).

Czytając w ten sposób opowieść o Wolińskiej i Brusie, trzeba analizować ich życiorysy z osobna, bo równolegle biegną tylko do pewnego momentu. Pęknięcie pojawia się w trakcie wojny, a kluczowym czynnikiem jest Zagłada. Wolińska unika śmierci w getcie i potem w komunistycznej partyzantce, gdy Brus, niezagrożony, przebywa w Związku Sowieckim.

Wolińska miała też silniejszą motywację do zaangażowania się po stronie nowego systemu. W jakimś sensie ruch komunistyczny dał jej wybór sposobu, w jaki mogła zginąć, a potem – gdy po wojnie jego przedstawiciele tworzyli nowy system – w jaki mogła w nim uczestniczyć, na równi z etnicznymi Polakami. Zyskała poczucie władzy.

Młodzi Żydzi wobec II RP

Można też czytać „Stygmat" jako historię Polski widzianą z perspektywy konkretnej grupy mniejszościowej – właśnie polskich Żydów, którzy przed 1939 r. wstąpili do ruchu komunistycznego. Ich losy to materia ciekawa – o czym piszę z autopsji, bo przez ostatnie trzy lata, pracując nad nową książką, sama zagłębiałam się w ich historie.

Tożsamość tej grupy można określić jako podwójną. Narzędziem akcesu do polskości był dla nich język, kończyli polskie szkoły, pochodzili ze zasymilowanych rodzin. Dla wielu polskie państwo, zwłaszcza to z lat 30., nie było wymarzoną oazą wolności, która miała przynieść równouprawnienie. Czuli się dyskryminowani.

Na rynku pracy i w gospodarce faworyzowano etnicznych Polaków, choćby w takich obszarach jak szkolnictwo, administracja, państwowy przemysł. Przerzucenie ciężaru opodatkowania na małe i średnie firmy, sektor w dużej mierze żydowski, doprowadziło do tego, że Żydzi, stanowiący 10 proc. ludności, płacili 35-40 proc. podatków bezpośrednich.

Do tego doszła przemoc, która nasiliła się po 1918 r., a potem wybuchła z nową siłą za rządów sanacji: żądania *numerus clausus* i *numerus nullus* na uczelniach, getta ławkowe na wielu wydziałach, bojkoty żydowskich firm, ataki na Żydów, w tym studentów żydowskich ze strony członków prawicowych ugrupowań.

Mechanizmy i motywacje

Dla młodych Żydów II Rzeczpospolita nie była rajem. Przystępując do ruchu komunistycznego jako młodzi ludzie, skłonni do radykalizmu i napędzani potrzebą buntu, zyskali nową tożsamość obywateli świata, Kominternu. W sytuacji, gdy Komunistyczna Partia Polski (KPP) była, obok Polskiej Partii Socjalistycznej, jedyną ogólnopolską formacją, która zdecydowanie przeciwstawiała się antysemityzmowi, to był dodatkowy magnes dla żydowskiej młodzieży wstępującej w jej szeregi.

Komunizm dawał też poczucie wspólnoty i misji, porównywalne do duchowych uniesień. Jednocześnie zaangażowanie w KPP skazywało na wyobcowanie ze społeczeństwa – przebywało się „na robocie" lub w więzieniu, wśród podobnie myślących. Doświadczenia te będą wpływać na nich jeszcze długo po 1945 r.

Na przykładzie Wolińskiej, Brusa i innych bohaterów drugiego planu uderza też, jak zarazem różni byli to ludzie, z różnych środowisk i różnie się identyfikujący. Nawet jeśli niemal na każdej drodze do komunizmu można zauważyć wspólne wzorce, warunkowane okolicz-

POŻEGNANIE

Ś.†P.

Anna Grocholska

córka Adama Remigiusza Grocholskiego i Barbary z Czetwertyńskich
wdowa po prof. Jerzym Jarnuszkiewiczu
ur. 1.09.1931 r. w Falentach
zm. 27.03.2026 r. w Warszawie opatrzona świętymi sakramentami

Absolwentka Liceum Sióstr Niepokalanek
w Wałbrzychu (1951) oraz ASP w Warszawie (1957).
Autorka wielu wybitnych dzieł sztuki sakralnej,
m.in. Drogi Krzyżowej w Sanktuarium św. ojca S. Papczyńskiego
w Górze Kalwarii oraz w kaplicy sióstr szarych urszulanek w Pniewach,
płaskorzeźb w Kościele św. Marcina w Warszawie,
polichromii w drewnianym kościele w Starej Miłosnej.

Dwukrotna laureatka nagrody im. Brata Alberta.
Była osobą żyjącą dla Boga, rodziny i bliźnich.
Wierna czytelniczka „Tygodnika Powszechnego".

Msza św. pogrzebowa zostanie odprawiona w piątek 17 kwietnia 2026 r.
o godz. 12.00 w Kościele Sióstr Wizytek
przy Krakowskim Przedmieściu 34 w Warszawie.

Po mszy św. urna z prochami Zmarłej zostanie pochowana
na Cmentarzu Zakładu dla Niewidomych w Laskach.

SIOSTRY I BRAT Z RODZINAMI

Zamiast kwiatów prosimy o dar na rzecz Zakładu dla Niewidomych w Laskach

eprasa.pl 2b98c8e853



PAP

Helena Wolińska (druga z lewej) na przyjęciu u premiera Józefa Cyrankiewicza. Z prawej Stanisław Zawadzki (w latach 30. działacz KPP, po 1945 r. szef kadr w komunistycznym MON) i komendant Milicji Obywatelskiej Franciszek Jóźwiak (drugi z prawej). Warszawa, czerwiec 1947 r.

nościami, sporo zależało też od czynników przygodnych.

Na dalszym planie

Nakreślony tak obraz, dość krytyczny wobec II RP, wpisuje się w praktykę oddawania głosu grupom dotąd milczącym lub niewystarczająco uwzględnionym w dyskusji. Tyle że w „Stygmacie" nie zostało to zadeklarowane wprost. Zatem czytelnik – zwłaszcza nastawiony sceptycznie – może zarzucić autorce stronniczość i selektywny dobór źródeł odmalowujących kontekst.

Zwłaszcza we fragmentach dotyczących ruchu komunistycznego, gdzie Kwiatkowska-Moskalewicz akcentuje jego romantyzowanie przez bohaterów, jako ideologii równości, wolnej od antysemityzmu i konfliktów społecznych (później zorientują się, jak się mylili).

Natomiast na dalszy plan schodzi fakt, że komunizm zwalczał niepodległość Polski i dążył do jej podporządkowania Związkowi Sowieckiemu, że ta totalitarna ideologia zrodziła czystki, łagry, Wielki Głód, zabijając dziesiątki milionów ludzi (w tym wielu przyjaciół Wolińskiej i Brusa).

I choć „Stygmat" w warstwie narracyjnej czyta się bardziej jak reportaż niż rozprawę naukową, to dobrym rozwiązaniem wydawałby się zabieg, którego zabrakło, a który stosowany jest np. w publikacjach antropologicznych. Polega on na poprzedzeniu opowieści refleksją dotyczącą nie tylko doboru źródeł, ale też na określeniu pozycji badacza, przystępującego do pracy z konkretnym bagażem wiedzy i przekonań: z jakiego miejsca mówi i dlaczego.

Takie wyjaśnienia padają w wywiadach, które towarzyszą promocji książki, ale w samej książce ich zabrakło, a szkoda.

Stereotyp „żydokomuny"

Są też inne kwestie interpretacyjne – te związane z pytaniem, na ile dyskusje wokół Wolińskiej i jej roli w mordzie sądowym na Fieldorfie były powodowane utożsamieniem ówczesnej prokuratorki z figurą „żydokomuny". Stworzoną przez antysemitów jeszcze w międzywojniu, upowszechnioną w okresie PRL-u i wykorzystywaną do dziś.

„Żydokomuna" to paskudna zbitka słowna. Sugeruje podwójną obcość Żydów w Polsce: z racji pochodzenia i politycznych wyborów. Stawia automatyczny znak równości między komunizmem a żydowskim pochodzeniem. Choć statystyki pokazują, że większość polskich Żydów – ani przed wojną, ani po niej – nie była członkami ani sympatykami ruchu komunistycznego. Zbitka odwołuje się do teorii o Żydach rządzących światem – bo nawet jeśli w partii stanowili mniejszość, to wśród przywódców ruchu byli grupą liczniejszą.

Antysemickie postawy – w II RP i w okresie PRL-u – wychodzą na pierwszy plan także w opowieści Kwiatkowskiej-Moskalewicz, gdzie pisze o motywacjach Wolińskiej i Brusa. Tu czytelnik może powziąć wątpliwości. Jak pisał Schatz w „Pokoleniu": wyjaśnienie żydowskiego radykalizmu głównie lub wyłącznie przez opresję jest niewystarczające, choć oczywiście antysemityzm, nędza czy brak perspektyw były jednymi z głównych czynników skłaniających młodych ludzi do angażowania się w komunizm.

Postać antypatyczna

Badacz lub badaczka, dążąc do obiektywizmu, pozostaje człowiekiem. Zagłębiając się w życie konkretnych ludzi, trudno nie odczuwać wobec nich rozmaitych emocji, często sprzecznych. Znów odwołam się do własnego doświadczenia: przyznaję, że pisząc o kilkunastu warszawskich komunistach, polubiłam niektórych, już nieżyjących. Rzecz w tym, by te odczucia nie wpływały na rzetelność.

Kwiatkowska-Moskalewicz miała pod tym względem zadanie trudniejsze, bo moi bohaterowie nie uczestniczyli w ferowaniu wyroków śmierci. Unika wchodzenia w rolę ich adwokatki, nie jest też oskarżycielką posiłkową, jak zdarzało się wielu autorom piszącym o polskich komunistach po 1989 r. Stara się przede wszystkim zrozumieć.

I choć w „Stygmacie" daje się wyczuć jej fascynację postaciami Wolińskiej i Brusa (zwłaszcza Wolińskiej), efektem nie jest ckliwa opowieść o parze zaszczutych staruszków, jak przekonywali niektórzy recenzenci z prawej strony spektrum.

Przeciwnie: Wolińska jawi się czytelnikowi jako postać antypatyczna. Nie tylko dlatego, że była częścią machiny zła – choć w zbrodni na Fieldorfie nie odegrała roli pierwszoplanowej, to skazała na śmierć lub złamała życie innym niewinnym ludziom (ich procesy i ich skutki autorka rekonstruuje). Także dlatego, że Wolińską było trudno lubić – nie tylko z powodu jej wyborów, lecz ze względu na charakter, sposób bycia.

Nawet gdy śledzi się jej ostatnie lata na emigracji, gdy traci poczucie sprawczości, gdy rozpada się psychicznie do tego stopnia, że nie opuszcza już domu, a jednocześnie, nie przyznając się do winy, z furią odpiera płynące z Polski oskarżenia, współczucie wcale nie jest oczywistą reakcją. © BEATA CHOMĄTOWSKA

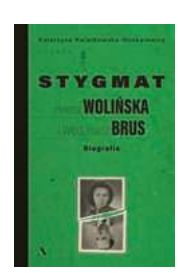

Katarzyna Kwiatkowska-Moskalewicz
STYGMAT. HELENA WOLIŃSKA I WŁODZIMIERZ BRUS. BIOGRAFIA
Wydawnictwo Agora
2026

eprasa.pl 2b98c8e853

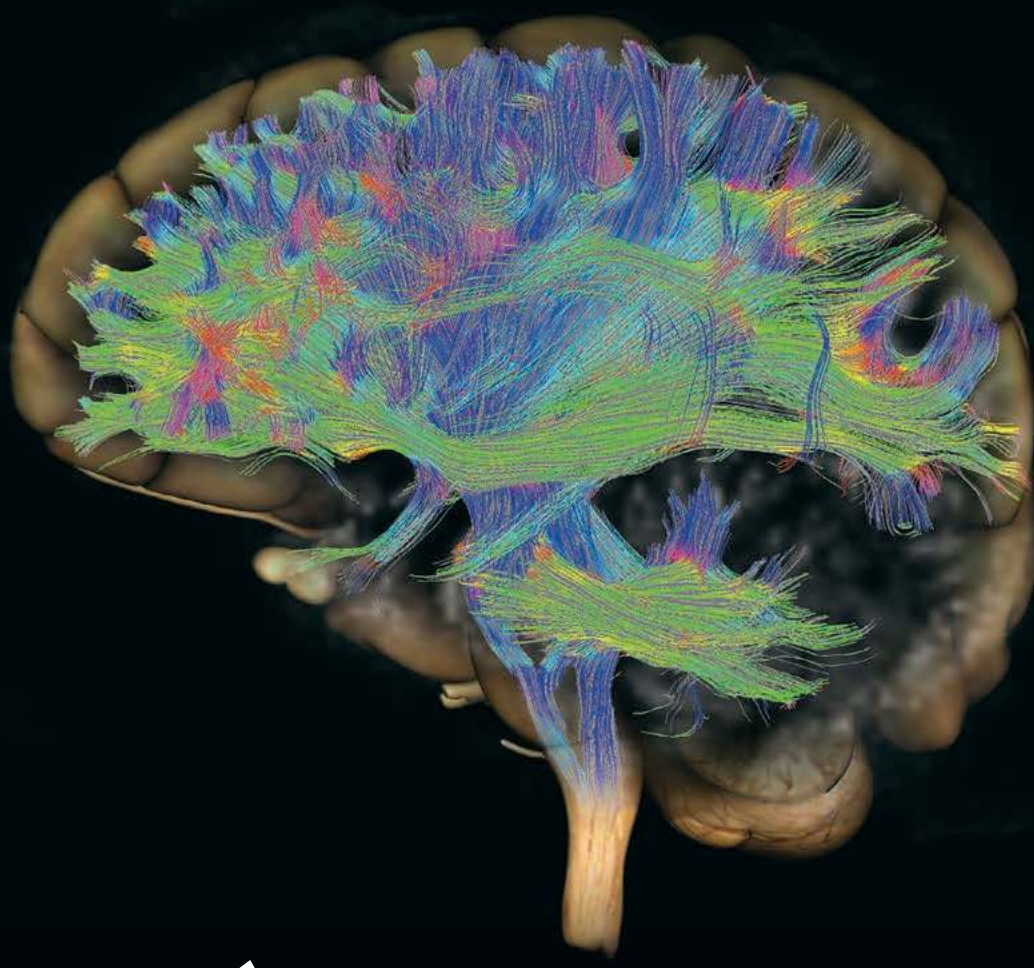

MÓZG NASTOLATKA TO PLAC BUDOWY

Na całym świecie toczą się debaty nad tym, jak nowe technologie wpływają na mózg i psychikę młodych ludzi. Co mówi na ten temat neuronauka?

ILONA KOTLEWSKA

CALLISTA IMAGES / GETTY IMAGES

eprasa.pl 2b98c8e853

Dorastanie nigdy nie było łatwe. Współczesne nastolatki przechodzą ten etap życia w warunkach, których wcześniejsze pokolenia nie znały: w świecie nieustannego napływu informacji, mediów społecznościowych i urządzeń mobilnych, które towarzyszą im całą dobę. Nowe technologie wpływają na rozwój mózgu i umysłu młodych ludzi, zwłaszcza na ich koncentrację oraz zdolność do podejmowania decyzji. Publiczna debata na ten temat pełna jest mitów i uproszczeń.

A jakie wnioski płyną z badań?

Nieposkromiona ciekawość

Agnieszka ma 16 lat i pierwszy raz wróciła pijana do domu. To, co przed chwilą miała w żołądku, znalazło się na środku salonu. Agnieszka ma nowych znajomych poznanych online, zaczęła ubierać się wyzywająco i zachowywać w sposób kompletnie niezrozumiały. Jej rodzice są przerażeni i wściekli. Jeszcze niedawno wydawała się rozsądna i przewidywalna, teraz podejmuje irracjonalne decyzje.

Żeby zrozumieć, co dzieje się w mózgu nastoletniej Agnieszki, powinniśmy najpierw cofnąć się do czasów, kiedy dziewczynka miała dwa lata. Stała w tym samym salonie, zafascynowana kolorowym koszyczkiem. Mama specjalnie postawiła ozdobę wysoko, by dziecku trudno było po nią sięgnąć. Wtedy jednym z głównych zadań rozwijającego się mózgu Agnieszki było poznawanie świata.

Impuls ciekawości w systemie emocjonalno-motywacyjnym dwulatki (który w mózgu angażuje tzw. układ limbiczny), nakłonił ją do wyciągnięcia ręki wysoko, po świąteczną ozdobę, aż koszyk w końcu znalazł się na podłodze. Agnieszka nie po raz pierwszy w życiu przekonała się, na czym polega grawitacja. Zobaczyła, że rzeczy spadają z wysokości, a czekoladowe jajka zamieniają się w kleistą maź. Tylko dlaczego mama krzyczy i od razu chce posprzątać?

We wczesnym dzieciństwie mózg tworzy ogromną liczbę połączeń nerwowych, znacznie większą, niż występuje później u dorosłych. Z czasem zaczyna się intensywna selekcja tych połączeń (neurobiolodzy nazywają to zjawisko „przycinaniem synaptycznym"), dlatego mózg dziecka można porównać do dynamicznie zmieniającego się placu budowy (albo, zgodnie z metaforą przycinania, do rośliny poddawanej starannym zabiegom pielęgnacyjnym).

Choć rozmiar mózgu dziecka zbliża się do rozmiaru mózgu osoby dorosłej już około 12. roku życia, to zmiany w jego budowie i funkcjonowaniu zachodzą przez cały okres dojrzewania. Jednym z kluczowych procesów jest tzw. mielinizacja, czyli otaczanie włókien nerwowych specjalną osłonką, działającą jak warstwa izolacyjna, która wielokrotnie przyspiesza przekazywanie informacji między neuronami. Proces ten może trwać nawet do trzeciej dekady życia.

O tym, jak ważne jest zjawisko mielinizacji, przekonują choroby neurodegeneracyjne, takie jak stwardnienie rozsiane, w którym układ odpornościowy niszczy osłonki mielinowe neuronów, co prowadzi do zaburzeń wielu aspektów funkcjonowania pacjenta.

Równocześnie mózg nadal usuwa nadmiarowe połączenia nerwowe, pozostawiając tylko te, które niosą najważniejsze informacje i są często używane. Sieci neuronalne stają się lepiej ustrukturyzowane, dzięki czemu działają szybciej i sprawniej. W praktyce oznacza to, że wcześniejsze doświadczenia i nawyki młodych ludzi mogą silnie wpływać na dalszy rozwój ich zdolności poznawczych.

Pierwsze lekcje konsekwencji

Wróćmy do nastoletniej Agnieszki. W drodze do szkoły siedzi w autobusie ślepo wpatrzona w ekran telefonu. Ale nie przyswaja w tym czasie nowych informacji. Zasada trzech sekund na TikToku mówi, że początek filmu jest krytyczny dla przyciągnięcia uwagi widza i zachęcenia go do obejrzenia całości. Jeśli film nie zainteresuje odbiorcy w tym czasie, prawdopodobnie zostanie od razu przewinięty.

Badania psychofizjologiczne pokazują, że trzy sekundy to aż nadto, żeby zdecydować, co nas interesuje. Patrząc na latający po ekranie kciuk Angieszki moglibyśmy stwierdzić, że przewijanie treści trwa krócej niż sekundę. Średnio zaledwie około pół sekundy – tyle wystarczy, żeby informacja dotarła do kory wzrokowej i została przekazana dalej, do przedniego zakrętu obręczy oraz płatów czołowych. Po krótkiej analizie informacja, czy przewinąć film, dotrze do ośrodków ruchowych, a kciuk wykona pracę automatycznie.

No dobrze, niby wstępna analiza poznawcza została przeprowadzona, ale czy jakaś treść faktycznie dotarła do świadomości Agnieszki? Aby zareagować świadomie na jakąś poznawczą niespójność (np. takie zdanie: „Na śniadanie zjadłem kanapkę z żółtym samochodem"), potrzebujemy ok. 0,4 sekundy. Z kolei aby utrwalić szlak pamięciowy, potrzebujemy powtarzać informację, która do nas dociera (chyba że jest bardzo emocjonalna, wtedy potrafimy ją zapamiętać od razu).

Jeżeli średni czas przeskrolowania filmu na TikToku to pół sekundy, jest to zdecydowanie za krótko na zrozumienie i przyswojenie nowych treści. Większość czasu podczas skrolowania nastolatek spędza na przesiewaniu i ignorowaniu niepotrzebnych informacji. Dlatego po wielu godzinach wstaje od ekranu poznawczo zmęczony wymagającymi zaangażowania procesami filtrowania niepotrzebnych treści.

W pułapce stymulacji

Za takie niemal kompulsywne przeglądanie treści odpowiada ciągła stymulacja z tzw. układu nagrody, który obejmuje kilka struktur mózgu odpowiedzialnych za motywację, uczenie się i odczuwanie przyjemności. W ostatnich latach bardzo modnym terminem stała się dopamina – to jeden z neuroprzekaźników, czyli substancji, które powstają w mózgu i pozwalają niektórym neuronom przekazywać między sobą sygnały (inne połączenia opierają się na działaniu całej masy neuroprzekaźników; są też takie połączenia, które radzą sobie bez nich). Dopaminę często określa się mianem „przekaźnika przyjemności": polubienie na Instagramie – dopamina w górę; kostka czekolady w ustach – kolejny strzał przyjemności.

Ale to spore uproszczenie, bo fizjologiczny mechanizm przyjemności jest bardziej skomplikowany i obejmuje także inne substancje. Gdy widzimy coś potencjalnie atrakcyjnego, w mózgu, owszem, uwalnia się dopamina, aby dodać nam motywacji do podążania w tamtym kierunku. Ten neuroprzekaźnik funkcjonuje w obwodach neuronów, które wzmacniają działania prowadzące do nagrody i zachęcają do ich powtarzania.

Już ok. 540 mln lat temu, u dawnych organizmów, które dały początek wielu ↦

Obrazowanie połączeń nerwowych w mózgu przy pomocy techniki tensora dyfuzji

eprasa.pl 2b98c8e853

↦ grupom zwierząt, komórki nerwowe regulujące proste zachowania tych istot komunikowały się za pomocą substancji chemicznych przypominających dzisiejsze hormony i neuroprzekaźniki. Do tej grupy należą katecholaminy, w tym dopamina oraz powstająca z niej noradrenalina.

Obecność tych związków u bardzo odległych nam współczesnych zwierząt, takich jak parzydełkowce, nicienie czy strunowce, wskazuje, że są niezwykle stare i uniwersalne biologicznie. Odgrywają kluczową rolę w inicjowaniu ruchu w poszukiwaniu nagradzającego doświadczenia. Zrozumie to każdy, kto potrafi podnieść się z kanapy dopiero na myśl o leżącej w szafce czekoladzie...

Wróćmy do naszej bohaterki. Kiedy Agnieszka miała trzy lata, jej układ nagrody już dobrze wiedział, czym są cukierki. Gdy dziewczynka zobaczyła na szafce opakowanie kolorowych kulek – bam! Dopamina! Agnieszka natychmiast zjadła wszystko. Potem jej mózg zalał koktajl innych przyjemnych substancji – m.in. serotoniny i endorfin.

Układ nagrody to część układu limbicznego, w którego skład wchodzą ciała migdałowate, hipokampy, jądra półleżące oraz pole brzuszne nakrywki (miejsce syntezowania dopaminy). Gdy cały ten system uaktywnia się – np. na widok opakowania cukierków – zwiększa się wydzielanie dopaminy, co intensyfikuje sygnał: „tam na blacie kuchennym czeka słodka nagroda". Silniki motywacyjne kierujące zachowaniem każą sięgnąć po opakowanie, ale realną przyjemność dają pozostałe neuroprzekaźniki.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby „cukierki" nie okazały się opakowaniem witaminy B9, czyli popularnego kwasu foliowego. Mama po raz kolejny prawie dostała zawału, jednak lekarz uspokoił, że dziecku nic się nie stanie, a sama Agnieszka przekonała się, że najpierw należy się upewnić, co nadaje się do zjedzenia. U małych dzieci układ nagrody działa szczególnie intensywnie, a mechanizmy kontroli dopiero się rozwijają. Dlatego ciekawość świata, testowanie granic i eksperymentowanie z otoczeniem są naturalnym elementem rozwoju.

Mózg Agnieszki zrobił kolejny krok w drodze zdobywania umiejętności regulacji i kontroli swojego układu limbicznego. Następnym razem neuroprzekaźnik GABA (kwas gamma-aminomasłowy), który jest odpowiedzialny za procesy hamowania pomiędzy neuronami, być może wpłynie na cofnięcie ręki od nieznanego opakowania.

Obszary mózgu odpowiedzialne za kontrolę impulsów i przewidywanie konsekwencji **rozwijają się nawet do trzeciej dekady życia.**

W makroskali, na poziomie struktur mózgu, w procesie zatrzymania automatycznej reakcji – np. chęci sięgnięcia po cukierki, telefon, kolejny film w mediach społecznościowych – weźmie udział zakręt czołowy dolny. To struktura w płatach czołowych najbardziej aktywna, kiedy musimy się powstrzymać przed wykonaniem jakiejś reakcji. Płaty czołowe to także obszar, który dojrzewa w mózgu najpóźniej.

Trudna sztuka samokontroli

Kuba (19 lat) przed chwilą wygrał 50 zł w zakładach bukmacherskich online. Niestety nie przestał grać i po kilku kolejnych próbach przegrał łącznie 200 zł.

Kuba czasami spędza godziny rozgrywając partie pokera w sieci. Nawet przez jakiś czas na tym zarabiał. Przez większość czasu jednak wraz z grupą kolegów próbują dobić się na szczyt rankingu w popularnej grze online „League of Legends".

Obszary mózgu odpowiedzialne za kontrolowanie impulsów oraz za planowanie i przewidywanie konsekwencji własnego zachowania rozwijają się szczególnie długo. Do tych obszarów należy przede wszystkim kora przedczołowa. Jej połączenia z resztą mózgu dojrzewają aż do trzeciej dekady życia. Struktury związane z emocjami i systemem nagrody dojrzewają szybciej i początkowo to one kontrolują zachowanie. Kora przedczołowa walczy o przejęcie kontroli.

Ta nierównowaga jest jednym z powodów, dla których nastolatki często kierują się emocjami oraz krótkoterminowymi korzyściami i trudno im kontrolować impulsywne zachowanie. W mózgach Agnieszki i Kuby układ nagrody reaguje silnie na nowe doświadczenia, akceptację rówieśników czy intensywne emocje. Kora przedczołowa, zakręt obręczy i zakręt czołowy dolny, które mogłyby hamować ryzykowne zachowania, wciąż jeszcze nie osiągnęły pełnej dojrzałości.

Rozwój poznawczy w okresie dojrzewania umożliwia stopniowe przechodzenie od impulsywnych reakcji do bardziej świadomego planowania działań. Młodsze dzieci *reagują* głównie na to, co dzieje się tu i teraz. Nastolatki zaczynają *przewidywać* i *analizować konsekwencje* swoich działań. Wymaga to interakcji mechanizmów odpowiadających za emocje, motywacje, pamięć, uczenie się, uwagę, podejmowanie decyzji i kontrolę działania. Badania pokazują, że w zadaniach wymagających złożonego rozumowania nastolatki często wykazują większą aktywność mózgu niż dorośli, ale nie zawsze osiągają lepsze wyniki.

Może to oznaczać, że ich mózgi dopiero testują różne strategie działania. W dojrzałym mózgu sieci neuronalne odpowiadające za czynności mentalne są zoptymalizowane, dlatego wymagają mniejszych nakładów energii.

System w trakcie strojenia

Uwaga nie jest jednolitą zdolnością, lecz efektem współpracy wielu wyspecjalizowanych sieci neuronalnych. Jedne odpowiadają za wybór ważnych informacji spośród zalewającego nas strumienia stymulacji, inne za kontrolę reakcji i hamowanie impulsów, jeszcze inne za przełączanie się pomiędzy różnymi procesami, np. percepcyjnymi, pamięciowymi i motorycznymi. W okresie dojrzewania połączenia w tych sieciach i pomiędzy nimi stopniowo wzmacniają się i specjalizują. Jednocześnie poprawia się synchronizacja pracy różnych obszarów mózgu, co wspiera rozwój kontroli zachowania.

Dla Agnieszki i Kuby oznacza to m.in. rosnącą zdolność koncentracji, ale także większą podatność na rozpraszanie się. Nastolatki uczą się zarządzać swoją uwagą, dlatego są szczególnie podatne na dystraktory. Tiktoki, instagramowe rolki i inne nowoczesne sposoby komunikacji wymuszają ekstremalnie krótki okres skupienia uwagi.

W badaniu przeprowadzonym w 2017 r. na Carnegie Mellon University przez zespół Adriana Warda ochotników podzielono na trzy grupy. Pierwsza z nich

eprasa.pl 2b98c8e853

mogła swobodnie korzystać z telefonu komórkowego w trakcie eksperymentu. Druga grupa została poinstruowana, aby nie korzystać z telefonu, ale oczekiwać na powiadomienie, które eksperymentator wyśle w trakcie badania. Wreszcie trzecia grupa została poproszona o pozostawienie telefonu w innym pomieszczeniu. Studenci rozwiązywali prosty test czytania ze zrozumieniem.

Okazało się, że samo oczekiwanie na powiadomienie rozprasza uwagę tak samo, jak korzystanie z telefonu normalnie. Natomiast grupa, która pozostawiła telefon poza zasięgiem, uzyskała wynik lepszy od pozostałych o blisko 20 proc.

Wyniki podobnych badań dowodzą, że telefony naprawdę pożerają nasze zasoby uwagi. Algorytmy stosowane w mediach społecznościowych, takie jak nieskończone przewijanie i automatyczne odtwarzanie następnego materiału, wykorzystują specyfikę działania układu nagrody, aby przykuć nas do ekranu na dłużej. Dzięki temu uwaga wciąż wraca do naszego telefonu – nieustającego źródła regularnych wzmocnień. Powiadomienia, komentarze czy reakcje znajomych uaktywniają te same systemy motywacyjne, które kiedyś skłaniały Agnieszkę do sięgnięcia po cukierki.

Szanse i zagrożenia

Badania z wykorzystaniem generatywnych modeli językowych, takich jak ChatGPT, przeprowadzone niedawno przez Nataliyę Kos'mynę z MIT Media Lab's Fluid Interfaces i współpracowników, sugerują pewną zmianę stylu przetwarzania informacji u ludzi. Młode osoby częściej wyszukują dane, niż zapamiętują. Polegają na dostępności wiedzy w internecie i procesach odtwórczych.

Może to być adaptacja do środowiska informacyjnego, ale w pewnym stopniu wiąże się z pogorszeniem zdolności poznawczych w zakresie kreatywnego myślenia. Naukowcy z MIT porównali aktywność mózgu w trakcie tworzenia własnych treści z pracą mózgu podczas selekcji informacji wygenerowanych przez AI. Jak możemy się domyślić, proces selekcji znacząco obniża zaangażowanie zasobów poznawczych w porównaniu do procesów tworzenia.

Aby zapobiec „rozleniwieniu" naszego systemu poznawczego i uzależnieniu od technologii, coraz częściej podkreśla się znaczenie wspierania młodych ludzi w rozwijaniu świadomych strategii korzystania z mediów i zarządzania uwagą. Wytłumaczenie przyczyn kompulsywnych zachowań Agnieszki i Kuby pomoże im w samoregulacji. Wpływ technologii zależy przede wszystkim od sposobu jej używania. Problem pojawia się wtedy, gdy aktywność online zastępuje sen, ruch czy bezpośrednie relacje społeczne.

Jedno jest pewne: mózg nastolatka nie jest ani niedoskonałą wersją mózgu dorosłego, ani ofiarą współczesnej technologii. Jest dynamicznym systemem, który uczy się funkcjonować w świecie zmieniającym się szybciej niż kiedykolwiek wcześniej. Mózg wciąż pozostaje strukturą analogową, bez względu na liczbę bajtów informacji, które przetwarza każdego dnia. © ILONA KOTLEWSKA

Autorka jest neurobiolożką i neuropsycholożką. Doktorat uzyskała w Instytucie Biologii Doświadczalnej im. M. Nenckiego Polskiej Akademii Nauk. Obecnie pracuje w Instytucie Psychologii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Prowadzi badania m.in. nad mechanizmami uwagi i neurobiologią samoświadomości.

REKLAMA

Nowa gra Skojarzenia

Łączysz fakty? Sprawdź się



Graj za darmo w APLIKACJI WYBORCZEJ

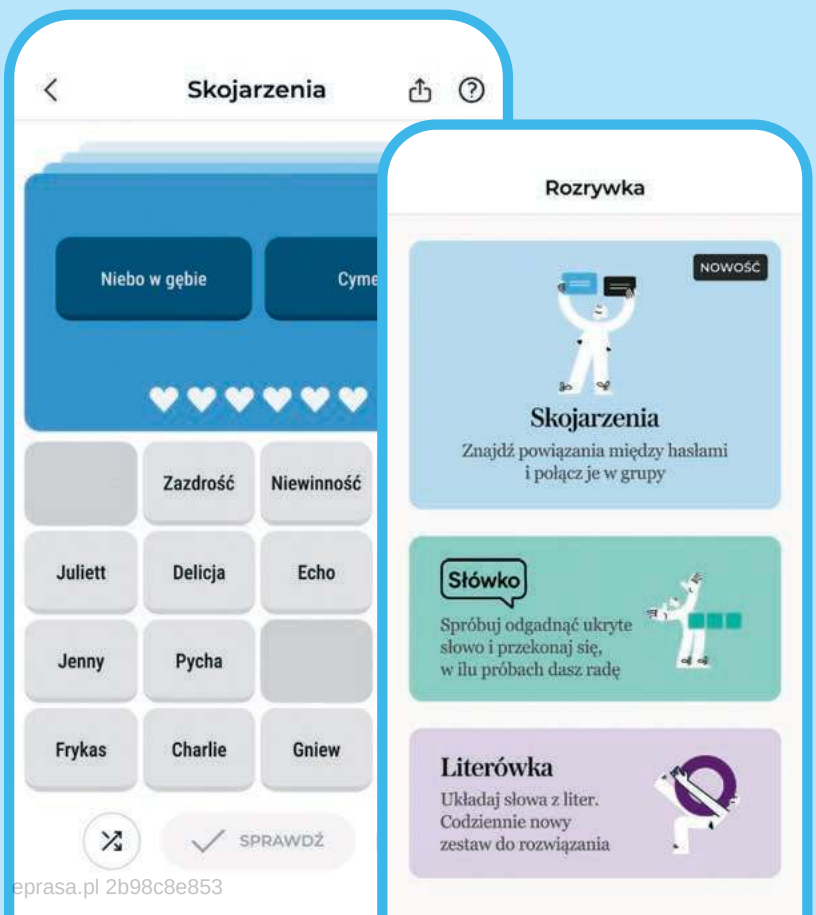

eprasa.pl 2b98c8e853

ELIZA

Kącka: *Jak robi koń*



Bruksela, tuż po spacerze z Natą, nawigacja, by się nie zgubić, na łuk triumfalny. Idę po sznurku atrakcji dopiero co okazanych, odwracając mapę terenu. Park Leopolda, wskakujemy. Erupcja wiosny ewidentna, jędrną zieleń spychają inne farby organiczne, zasilane sokami ziemi: żółcie, róże, biele, fiolety. Park jak wypadły z ramy obraz. Przysiadam na schodkach biblioteki, dzwonię. Podchodzi pan o lasce. „Polka?". „A tak". „Gdzie pani pracuje?". „Ja tylko z wizytą". „Ach, z Polski. Miasto?". „Warszawa". Trzęsie mu się broda: „Cała moja młodość. Już nie dam rady wrócić". „Uhm". „Pociecha, że i tu mamy rzekę. Wczoraj mnie pasierb zawiózł. Wrzuciłem list, karteczkę i mówię: »Senne, przekaż Wiśle, Wisełce mojej«. Wiem, że nie może, ale kto wie, kto wie...". „Hm, jak by pan chciał, mogę coś zawieźć Wiśle i w pana imieniu nadać bezpośrednio". „Serio?". „Jasne". „To ja idę szukać ławki, bo na tych schodkach nie dam rady usiąść". Poszłam za nim. Ukrył się na moment za kwiecistym pierzem, a po chwili wychynął. „Trzyma pani. Poświęciłem gałązkę jedną, wiotką, żeby związać rulon. To jest mój list do Wisły, testament Polaka". „Wszystko jedno, gdzie wrzucę?". „Oby w jej wody". „Dobrze, bulwary, Warszawa". „Dziękuję". Odszedł, płacząc. Nie wiem, co w tym zwitku było. Dałam rzece.

Komenda przy Malczewskiego. Wbiegam zgłosić kradzież telefonu. Widzę żółty telefon, ale nie mam numeru sprawy. Gość obok: „Czeka pani z paragrafu?"„E, nie, okradli mnie". „Hyhy, powodzenia". Orientuję się, że po prawej jest przymaskowana dyżurka, a tam funkcjonariusze z kanapkami i pudełkiem z sałatką. Patrzą, jakbym miotała się na wybiegu. Pukam w okienko. Wolno podchodzi sałatkowy: „A?". „Zgłaszam kradzież". U, nudy. „Miejsce?". „Plac Trzech Krzyży". Rozpromienia się: „Nie ten rejon". Trzask i koniec. Pukam znów: „Gdzie mam jechać?". Obruszył się na smutno: „Od godziny nie mogę dojeść". Sałatkowy znad widelca, niechętnie: „Wilcza". Jazda na Wilczą. „Ludzie w terenie, są zdarzenia". „Wiem, też mi się zdarzyło". Gość z okienka obcina mnie jak żółtodzioba. Woła kolegę: „Weźmiesz kradzież, hehe". Kolega: „Hehe". Idziemy, przesłuchanie uprzejme. „Czym się pani zajmuje?". „Polonistka". „O matko. To mój słaby punkt". „Nie szkodzi". „W szkole uczy?". „Na uczelni". Spojrzał, jakbym wyskoczyła ze snu: „To na uczelni dalej jest polski?". „Aha, czyta się, pisze". Przeraził się: „Pisze... Jest pani pewna, że panią okradli?".

Autobus 157, jazda w kierunku Ochoty. Korek w okolicy Smoczej, stoimy. Dwie z siatkami negocjują z kierowcą, by wypuścił, bo „akurat nasz blok". „Ja się nie mogę otworzyć!". „Służbista". Rozkręca się gadka na sąsiednich siedzeniach. Pierwsza starsza: „Patrz pani, że ja wojny doczekam...". Druga: „Dzięki Bogu, nie u nas". „Ooo, na pewno będzie światowa". „Była przepowiednia? Objawienia?". „Wystarczy widzieć, co się z paliwami dzieje". Starszy siedzący przy mnie: „Eee, nic się nie zmienia". „Panie Adamie! A wojny?". „No oczywiście. Ale też, wie pani, rodzice zginęli w obozach. Kuzyni moi dziś we Lwowie". „Obozy były kiedyś". „Lwów to co innego". „Myślą panie? Ja już mam śmierć za sobą. Nie zaskoczą mnie". Patrzy w okno: „Przez lata myślałem, że ten instrument ma tylko czarne klawisze". Druga starsza: „Filozof!". Ja: „Instrument świat?". Mrugnął porozumiewawczo: „Los. Ale są i białe". „Czyli?". „Trzeba tłumaczyć?". „Żyjemy".

Pociąg do Opola. Dosiada się dwójka starszych z wnuczkiem. Dziadek: „Wnuku, nie szarżuj, pani czyta". Ja, że nie szkodzi. Babcia: „Marcyś, opanuj się". Marcyś: „To mnie zabaw". Babcia: „Bój się Boga, wnuku, co to za gadanie". Mały do dziadka: „To ty mnie zabaw. Wybierz zwierza". „Co?!". „Moja zabawa to zwierzę. Ja ci daję konia, ale wybierz". Dziadek łypie na mnie: „Dobra, mały, dziadkowie są kulturalnymi ludźmi". Marcyś: „Nie wiesz, jak robi koń?". Dziadek na zniżonym: „Nie przy ludziach". „Tu nie ma ludzi". Dziadek puszcza oko do mnie: „No, niezbyt". Babcia zaczyna mantrować: „Matkomatko". Mały: „Rżyj, dziadek". Dosiadają się na chwilę dwie dziewczyny, obie za parawanem komórki. Mały do pierwszej: „Zrób jak małpa!". Uciekają. Babcia blednie. Marcyś udaje konia zachęcająco. Do mnie: „A pani kim jest?". Babcia macha ręką zapobiegawczo. Uśmiecham się: „Jestem wiewiórką. Robi »czok, czok«". Rozpromienia się: „A jak je?". „Podtrzymuje nadgarstkami orzeszka". „Jedz tak moją kanapkę!". Wciska mi bułkę w ręce. Dziadkowie przerażeni. Mówię: „Kanapkę zachowaj, mam swoją. Pokażę, jak je wiewiór". Kucam umownie i zajadam. Marcyś w euforii, stopniowo uspokaja się. Łapię kątem oka, że babcia płacze. Mały do dziadka: „Widzisz, miałem rację, tu są zwierzątka". „Nie odzywaj się do mnie" – dziadek na stężonym smutku. Gestem ręki wyciągam babcię z przedziału. Ona: „Nie wiem, jak przepraszać, pani ma poważne zadania, publiczne, a my tu...". „Nie ma sprawy". Zawiesza się: „Bo wie pani, on też coś ma...". „U, jak wielu z nas". „Ja wiem, ale pani na innym szczeblu...". „Autyzmu?". Śmiejemy się. „Czyli nie gniewa się pani?". „Ani trochę. Po raz pierwszy mogłam być wiewiórką". ©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu" i „Idiomy". Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono" (Nagroda Nike 2025).

eprasa.pl 2b98c8e853

TYGODNIK POWSZECHNY

ZGARNIJ MIESIĄC PRENUMERATY CYFROWEJ ZA 1 ZŁ

WYBIERZ NOWOŚĆ!
PŁATNOŚĆI POWTARZALNE
BLIK

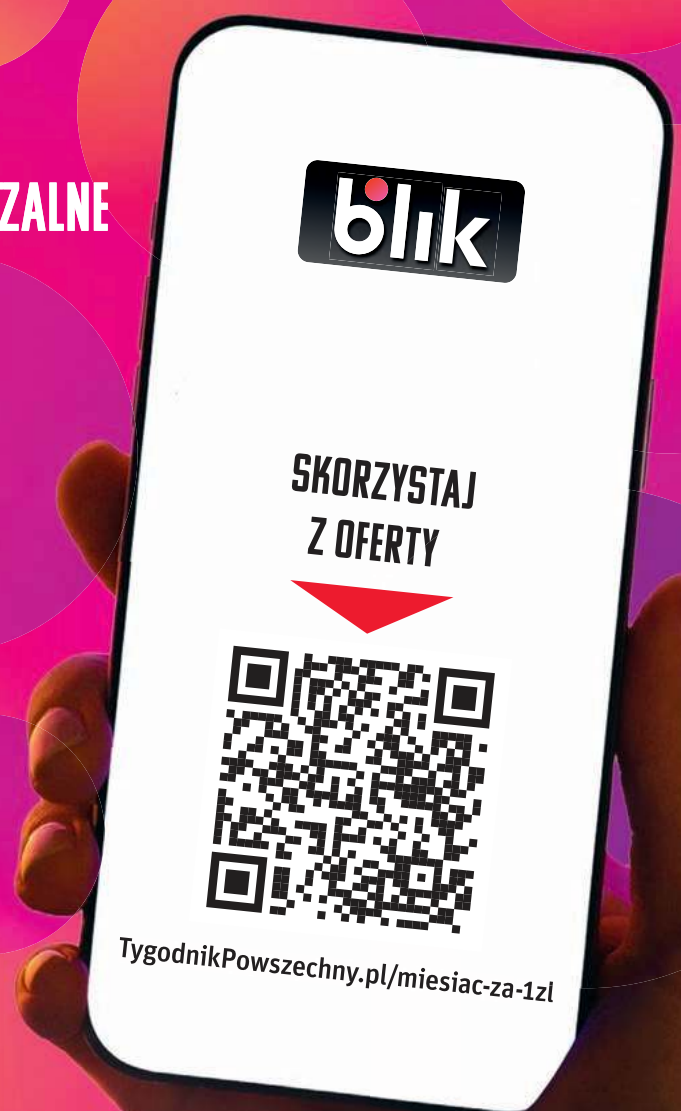

Oferta dla nowych subskrybentów „Tygodnika Powszechnego”.
Sprawdź dostępność i warunki świadczenia usługi w ofercie swojego banku lub regulaminie usług bankowych.
Sprawdź regulamin promocji.

PKO Bank Polski, Santander Bank Polska, ING Bank Śląski, Bank Millennium, Spółdzielcza Grupa Bankowa, Nest Bank, Alior Bank, Credit Agricole

Płatności powtarzalne BLIK zapewnia platforma zevio

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 2b98c8e853

TEATR TELEWIZJI



AUTOR
Michał Kmiecik

REŻYSERIA
Marcin Liber

Prałat

PREMIERA | 13.04 | 20:30 | TVP 1

NAJWIĘKSZA SCENA ŚWIATA
PREMIERY W PONIEDZIAŁKI | 20:30 | TVP1

REKLAMA

eprasa.pl 2b98c8e853

TEATR TELEWIZJI

KWIECIEŃ W TEATRZE TELEWIZJI

PRAŁAT MICHAŁA KMIECIKA W REŻYSERII MARCINA LIBERA

Najbardziej niepokorny duet polskiego teatru w zderzeniu z historią księdza Jankowskiego. Spektakularny wizualnie (scenografia Mirka Kaczmarka), przewrotny biopic, w którym twórcy nie tylko rozliczają niesławnego kapelana „Solidarności" z pedofilii, ale także pytają o społeczne przyzwolenie na to, kim naprawdę był i co robił Jankowski. *Prałat* to symboliczne obalenie tego – zbyt długo stojącego – pomnika, próba przywrócenia godności ofiarom, a także odnalezienia katharsis – ulgi i oczyszczenia. Występują m.in.: Juliusz Chrząstowski, Rafał Dziwisz, Andrzej Kłak, Helena Urbańska, Agnieszka Kwietniewska, Dawid Ogrodnik.

13.04 | PONIEDZIAŁEK | 20:30 | TVP1

PIEKŁO–NIEBO MARII WOJTYSZKO W REŻYSERII JAKUBA KROFTY

Kolejna premiera w cyklu Scena Młodego Widza to przeniesienie z Teatru Narodowego w Warszawie – *Piekło–niebo* to wzruszająca i brawurowo zagrana przez jeden z najlepszych zespołów aktorskich w kraju komedia rodzinna. Czuła, uważna opowieść o rodzicielskiej miłości i o tym, jak poradzić sobie z odchodzeniem bliskich. Korowód pozaziemskich istot, spora doza humoru, ważne i mądre przedstawienie – nie tylko dla najmłodszych. Występują m.in. Zuzanna Saporznikow, Robert Czerwiński, Piotr Grabowski, Robert Jarociński, Anna Lobedan.

20.04 | PONIEDZIAŁEK | 20:30 | TVP1

SYMFONIA TAŃCA / SSSS...

Gratka dla miłośników baletu i muzyki klasycznej. TEATR TELEWIZJI i Teatr Wielki Opera Narodowa zapraszają na *Ssss...* – środkową część tryptyku *Symfonia tańca*. Edward Clug, wybitny rumuński choreograf, przygotował w nim choreografię do wykonywanych na żywo nokturnów Fryderyka Chopina. Tancerze i pianista budują tu intrygujący, wciągający dialog ciał i muzyki, ruchu i dźwięku, opowieść o współistnieniu – wyciszona, skupiona, intensywna fizycznie sztuka baletu pozwala odkryć niejednoznaczność i skomplikowanie pejzaży skrytych w muzyce Chopina.

28.04 | WTOREK | 20:00 | TVP KULTURA

WIELKIE POWROTY NA MAŁY EKRAN

Ponadto w kwietniu TEATR TELEWIZJI w cyklu powtórek przypomni m.in.: ***Męża i żonę*** Aleksandra Fredry w reżyserii Jana Englerta (obok reżysera, w spektaklu występują Beata Ścibakówna, Grzegorz Małecki, Milena Suszyńska i Karol Dziuba), słynną ***Herbatkę u Stalina*** Ronalda Harwooda w reżyserii Janusza Morgensterna i ze zdjęciami Witolda Adamka (w wybitnej obsadzie m.in. Gustaw Holoubek, Janusz Gajos, Anna Dymna, Joanna Szczepkowska, Jan Englert, Krzysztof Kolberger), popularnego ***Deprawatora*** Macieja Wojtyszki czy ***Leara***, czyli monodram Andrzeja Seweryna w reżyserii Janusza Opryńskiego. **Zapraszamy!**

SZCZEGÓŁOWY REPERTUAR, AKTUALNOŚCI, BOGATE ARCHIWUM PRZEDSTAWIEŃ, PODCASTY I ROZMOWY NA STRONIE TEATRU TELEWIZJI:
TEATRTV.VOD.TVP.PL

eprasa.pl 2b98c8e853

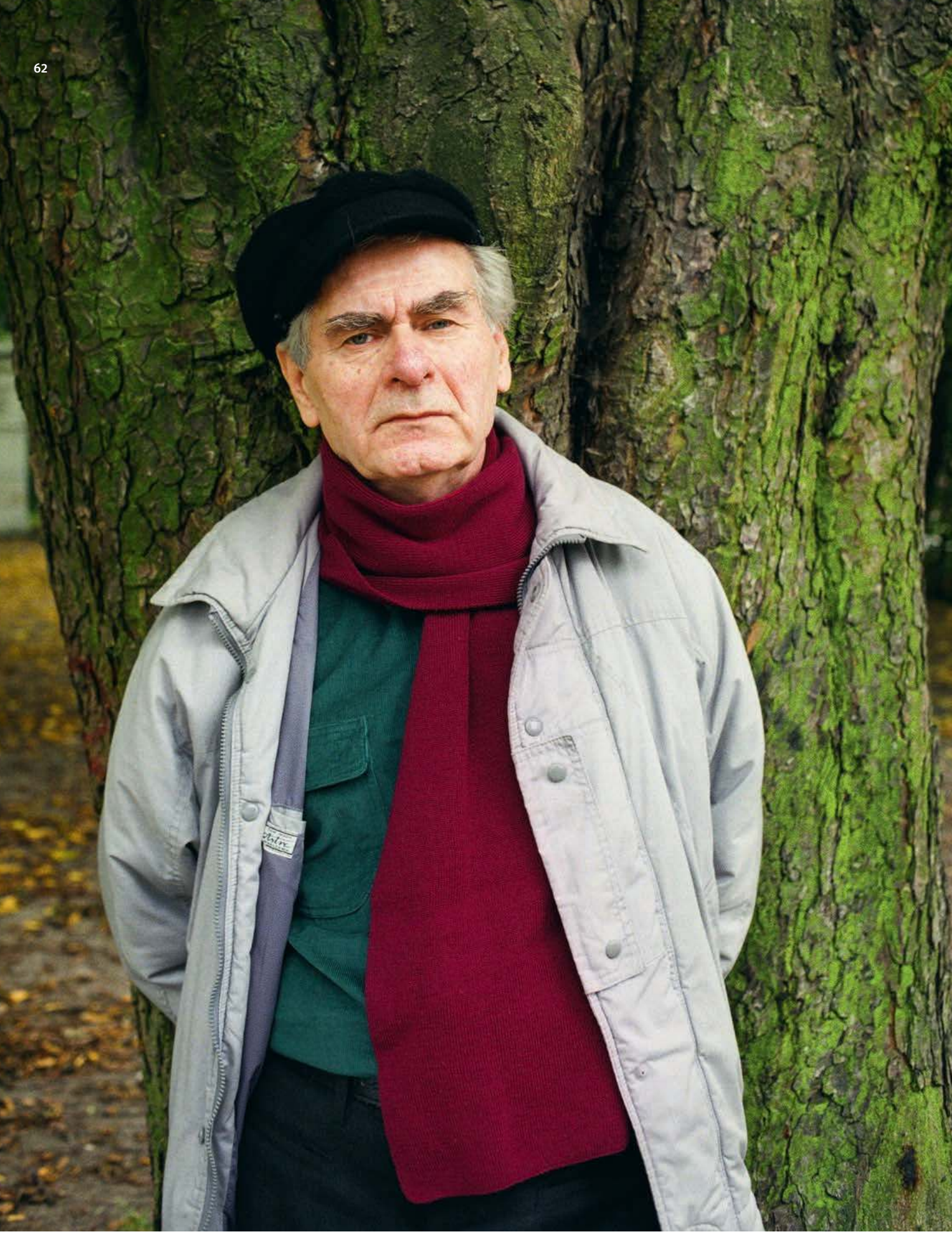

eprasa.pl 2b98c8e853

KULTURA

KIEDY SŁOWA ZATAŃCZĄ

Kto to jest wielki pisarz?
Pierwsza odpowiedź, jaka przychodzi mi do głowy:
to ktoś, kto potrafi nauczyć ludzi czytać. Wiesław Myśliwski był kimś takim.

WOJCIECH BONOWICZ

Po śmierci Wiesława Myśliwskiego w internecie zaroiło się od wspomnień, wyrazów żalu i wdzięczności, a także cytatów z jego dzieł i wywiadów. Pisano o tym, że był gigantem polskiej – i światowej – literatury, pisarzem przez duże „P", jednym z najważniejszych, jakich mieliśmy. Ale też – że był pisarzem ważnym osobiście dla wspominających, także tych, którzy znali go jedynie z lektur czy audycji telewizyjnych. Wiele osób wskazywało konkretne książki w dorobku Myśliwskiego, które stały się „ich" książkami. Mam wrażenie, że dawno już żadnego twórcy czy twórczyni nie żegnano w ten sposób.

Tym bardziej byłem zdziwiony i zgorszony, że część mediów zignorowała fakt jego odejścia. W wieczornych serwisach informacyjnych dwie duże stacje telewizyjne w ogóle o nim nie wspomniały; krótki, ale piękny felieton przygotowała jedynie telewizja publiczna. Wiele to mówi o naszym świecie: była szansa opowiedzieć o kimś mądrym, kto pozostawił po sobie głęboki ślad w umysłach i duszach wielu ludzi, ale wybrano to, co płytkie, doraźne, pozbawione prawdziwego znaczenia.

Można powtarzać, że świat dzisiejszy nie ma autorytetów, ale prawda jest taka, że autorytety istnieją, tyle że nie na powierzchni. Bo na powierzchni nie ma dla nich miejsca. Gdyby się znalazło, siła ich oddziaływania byłaby jeszcze większa. No ale nie ma – albo jest go bardzo malutko.

Wiesław Myśliwski. 10 października 1997 r.

PIOTR WÓJCIK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Od siebie

Myśliwski doskonale zdawał sobie sprawę, że jest autorytetem dla wielu. Kiedy przemawiał na spotkaniach, na sali panowała przejmująca cisza. Mówił powoli, z pauzami, tak żeby słuchający mieli czas zapamiętać i przemyśleć to, co usłyszeli. Zawsze starał się też, aby między opiniami, które już wcześniej wypowiadał, pojawiła się jakaś nowa obserwacja czy nowe sformułowanie.

W prywatnej rozmowie powiedział mi kiedyś, że nawet najwybitniejsi zostawiają po sobie trzy, cztery oryginalne myśli. Nie chodzi o to, żeby być oryginalnym, ale żeby za pomocą formuł, które ma się do dyspozycji, powiedzieć coś od siebie. Niekoniecznie o sobie, ale – od siebie.

W tych publicznych wystąpieniach chętnie posługiwał się paradoksem. Jak chociażby wtedy, kiedy jako pisarz oświadczał, że od słowa pisanego ważniejsze jest słowo mówione. To w mowie, nie w piśmie, język jest prawdziwie wolny. Mowa jest najbardziej demokratyczna, bo w niej może wyrazić się każdy – i każdy robi to w sposób niepowtarzalny, niby podobny do innych, a jednak zawsze trochę odmienny.

Jedni są elokwentni, wygadani, inni powściągliwi, korzystający z ograniczonego zasobu słów. Są tacy, którzy potrafią opowiedzieć siebie ciekawie, i tacy, którzy nudzą albo gubią się w dygresjach. Za każdym razem forma opowieści mówi nam coś o samym człowieku: o tym, co dla niego ważne, co przeżył, co przemyślał, czego się boi, i tak dalej. „Każdy człowiek ma własny język".

Od ludzi

Z tego zresztą powodu narratorzy jego powieści byli zawsze pierwszoosobowi. Opowiadanie w pierwszej osobie Myśliwski uważał za najbardziej naturalne. Dbał też, żeby konstrukcja jego powieści rządziła się podobnymi zasadami jak opowieść mówiona. To zresztą stanowiło pewną trudność dla czytających: kto oczekiwał linearnej historii z momentami kulminacyjnymi, mógł się poczuć rozczarowany.

Narratorzy Myśliwskiego opowiadają „nieporządnie", tak jak się opowiada komuś przygodnie spotkanemu. Chronologia jest zakłócona. Wątki, które już zaczęły czytelnika interesować, nagle zostają przerwane albo rozpływają się w dywagacjach i dygresjach. To, co ważne dla uchwycenia sensu danej historii, bywa mówione mimochodem i łatwo to prze- ↦

eprasa.pl 2b98c8e853

↦ oczyć. Niekiedy w miarę lektury zaczynamy sobie – jako czytelnicy – zadawać pytanie: czy ta opowieść nie jest aby mistyfikacją? A jeśli tak, to czy mistyfikacja dotyczy całości, czy tylko fragmentów? Co narrator-bohater chce nam powiedzieć, a co ukrywa?

Żeby doznać czytelniczej satysfakcji, trzeba zrozumieć i polubić tę konwencję. Skupia ona uwagę nie tyle na wydarzeniach i postaciach, ile na pracy języka, którym opowiada się o tym, co się wydarzyło. Tu zresztą też kryją się rozmaite pułapki.

Narratorzy Myśliwskiego posługują się na ogół językiem prostym, nieszczególnie wyrafinowanym. Ale z takich prostych, oznajmujących zdań powstają większe całości – akapity czy rozdziały – które wcale tak proste i zrozumiałe nie są. Niekiedy trzeba przeczytać je dwukrotnie, żeby zrozumieć, dokąd mają nas zaprowadzić. W dodatku raz po raz fragment opowieści podsumowywany jest aforyzmem, myślą ogólniejszą, wypowiadaną przez narratora bądź wkładaną w usta bohaterów.

To znowu jest zgodne z logiką mowy. „Gdy słuchasz opowieści ludzi, to zawsze pojawiają się jakieś uogólnienia", tłumaczył Myśliwski. „Ktoś opowiada szczegółowo swoje życie i zawsze towarzyszy temu jakaś refleksja. Nawet najbardziej banalna: »Takie jest życie«. Przecież już w tym stwierdzeniu zawiera się filozoficzny stosunek do życia! Dlatego staram się pisać w sposób, w jaki ludzie myślą, w jaki mówią, w jaki opowiadają".

Problem w tym, że takie aforyzmy, które mają pomóc zinterpretować to, o czym jest mowa w opowieści, nader łatwo z tej opowieści wyłuskać. Coś, co jest częścią starannie pomyślanej układanki, zaczyna wtedy funkcjonować jako odrębna całość. Kiedy czytałem w ostatnich dniach niektóre z cytatów wypisanych z prozy Myśliwskiego, zdałem sobie sprawę, że przez cytujących są one traktowane jako głos pisarza, a nie wypowiedź któregoś z bohaterów. A to w przypadku tej prozy dość istotna różnica.

Często towarzyszyłem mu, kiedy podpisywał książki. Było w tym coś niezwykle wzruszającego, że wiele osób przychodziło z egzemplarzami, które nosiły na sobie ślady intensywnej lektury.

Każdy narrator niewątpliwie ma w sobie coś z Myśliwskiego. I jednocześnie żaden – nawet narrator „Widnokręgu", najbardziej autobiograficznej z jego powieści – nie jest Myśliwskim. Niektóre cytaty mogą przy tym wręcz razić swą oczywistością, dzieje się tak jednak dlatego, że pozbawione zostały kontekstu, który je uzasadniał.

Coś nowego

Przypomina mi się w tym momencie anegdota, którą usłyszałem od syna pisarza, Grzegorza. Wspominał, jak przed laty razem z rodzicami oglądał w telewizji film Wernera Herzoga „Nosferatu wampir". Rodzice bardzo czekali na tę emisję, ale film okazał się rozczarowaniem. Minuty mijały, a z ekranu wiało nudą. Kiedy w pewnym momencie z ust Klausa Kinsky'ego, grającego Drakulę, padło wyznanie w rodzaju: „Życie bez miłości nie ma sensu", zirytowany Wiesław rzucił: „Co ty powiesz?!".

Inny paradoks, który pojawiał się w wystąpieniach pisarza, dotyczył wspomnianej autobiograficzności jego utworów. Myśliwski denerwował się, kiedy poszczególne powieści próbowano interpretować, odnosząc się do jego biografii. A jednocześnie sam podsuwał tropy skłaniające do takich interpretacji.

Znaczną część dzieciństwa spędził na wsi, w Dwikozach pod Sandomierzem, gdzie mieszkał w domu rodzinnym swojej mamy, w otoczeniu dziadków i innych krewnych. Wiele scen z „Kamienia na kamieniu", „Widnokręgu" i innych powieści to sceny zbudowane z zapamiętanych z tamtego czasu zdarzeń i rozmów. Owszem, znacznie przetworzonych, ale jednak zachowujących ślad pierwowzoru. Podobnie w odniesieniu do lat młodzieńczych, kiedy z powodu śmierci ojca musiał dojrzeć szybciej niż jego rówieśnicy, i późniejszych.

Była w tym jakaś prowokacja ze strony pisarza. Jej cel wydaje się oczywisty: chodziło o to, żebyśmy nauczyli się inaczej czytać literaturę. Zrozumieli, że związek między biografią a tym, co napisane, jest inny, niż sobie na ogół wyobrażamy. Pisarz nie przenosi życia do literatury, ale dokonuje transformacji – czy transmutacji – tego, co przeżył, w coś nowego, autonomicznego.

Błąd popełnia zarówno ten, kto faktom z biografii nadaje nadmierne znaczenie, jak i ten, kto by je zupełnie zlekceważył. Literatura mówi prawdę o swoim autorze, ale nie chodzi bynajmniej o prawdę o zdarzeniach z jego życia. „Moje książki wiedzą więcej o mnie niż ja sam i wiedzą prawdziwiej", lubił powtarzać pisarz. Pisanie było przez niego traktowane jako forma samopoznania. Ale nie autobiografii czy autoterapii.

Coś innego

Co ciekawe, świat powieści Myśliwskiego to świat wsi i niedużego miasta, najczę-

POŻEGNANIE

Odszedł

Wiesław Myśliwski

Mistrz Słowa, Honorowy Obywatel Szczebrzeszyna,
przyjaciel Festiwalu Stolica Języka Polskiego.

Żegnamy Go z wdzięcznością i smutkiem.

Rodzinie składamy wyrazy szczerego współczucia.

Burmistrz i Rada Miejska Szczebrzeszyna,
Zespół i Rada Fundacji Sztuki Kreatywna Przestrzeń

eprasa.pl 2b98c8e853



MICHAŁ RAMUS / FESTIWAL CONRADA

Festiwal Conrada, spotkanie z Wiesławem Myśliwskim, 2015 r.

ściej noszącego rysy Sandomierza. Prawie w ogóle nie ma w tym świecie Warszawy, choć pisarz właśnie w stolicy mieszkał najdłużej. Kiedy go o to spytałem, odpowiedział bardzo poważnie: „Wielkie miasto to za wielka przestrzeń. Zawsze zmierzam do punktowego widzenia świata, co najlepiej wyraża się w »Uchu Igielnym«, w którym mówię o tym, że wszyscy takie Ucho Igielne mamy: taki punkt, do którego odnosimy inne przestrzenie, gdziekolwiek byśmy się znaleźli. To należy do naszej natury. Druga przyczyna tkwi w tym, że im mniejsza przestrzeń, tym łatwiej w niej się poruszać, tym bardziej się panuje nad światem. Nie przestrzeń jest dla mnie najważniejsza, tylko człowiek, który znajduje się w tej przestrzeni".

Myślę, że wśród czytelniczek i czytelników „Tygodnika" nie ma nikogo, kto by nie wiedział, że Ucho Igielne to furta w murach obronnych, które kiedyś otaczały centrum Sandomierza. Dziś obok tej furty umieszczona jest tablica z fragmentem powieści. Z przestrzenią w utworach Myśliwskiego jest podobnie jak z biografią: konkretne miejsca nieco się odrealniają, nabierają charakteru symbolicznego. Jednocześnie nie przestają być konkretne.

Wacława i Wiesław Myśliwscy wzięli ślub w sandomierskim kościele św. Jakuba. I ten kościół jest bardzo dokładnie opisany w „Widnokręgu" jako miejsce ślubu głównych bohaterów, którzy jednak noszą inne imiona. Jest to bardzo ciekawy zabieg. Z Uchem Igielnym jest podobnie: z niego prowadziła ścieżka do domu rodzinnego Wacławy, więc było miejscem wielokrotnych spotkań i rozstań, tęsknot i radości.

Myśliwski znalazł jednak sposób, żeby opowiadając o tym miejscu, zrobić to niesentymentalnie. W jego powieściach nie ma nostalgii, nie da się ich podciągnąć pod nurt „literatury małych ojczyzn". Jest tam coś innego: od konkretu przechodzi się od razu do czegoś uniwersalnego. Przeszłość ma znaczenie, ale nie jako wspomnienie, lecz jako ewentualny klucz do zrozumienia sensu tego, co nazywamy ludzkim losem.

„Może jest tak, że duchowo nie zamieszkałeś w wielkim mieście?", pytałem dalej. I padła odpowiedź: „Duchowo nigdzie nie mieszkam, ponieważ życie rzucało mnie od dzieciństwa tu i tam. Nigdzie się nie zakotwiczyłem na dobre, choć najbardziej w Sandomierzu. Tam poznałem dziewczynę, która stała się moją żoną i kotwicą. I miłość określiła moją przestrzeń".

Na kamieniu

Z tego zresztą powodu pisarz nie chciał być także postrzegany jako reprezentant „nurtu chłopskiego". Nigdy się od świata polskiej wsi i od kultury chłopskiej nie odcinał, przeciwnie. Ale nie chciał, żeby przez to skojarzenie zatarł się uniwersalny wymiar jego pisarstwa. Chętnie dyskutował o znaczeniu przemian społecznych, do jakich doszło na wsi wskutek wojen i powojennego podziału świata. Ale podkreślał, że literatura ma inne zadania niż historia czy socjologia. Owszem, pokazuje wspólnotę poruszoną przez historię, odnotowuje zachodzące zjawiska społeczne, ale co innego decyduje o jej specyfice.

Za każdym razem obraz tego, co opisywane, jest przefiltrowany przez świadomość jednostki – jej wrażliwość, wyobraźnię, język. Wprawdzie i język, i wyobraźnia są w znacznym stopniu wytworem zbiorowości, ale to, co interesuje pisarza, to ów indywidualny „odcisk", pojedynczy los. Nie chłop jako taki, ale Szymon Pietruszka – by odwołać się do jednej z najgłośniejszych postaci powołanych do życia przez Myśliwskiego. ↦

eprasa.pl 2b98c8e853

↦ Los głównego bohatera i narratora „Kamienia na kamieniu" jest oczywiście sumą wielu chłopskich losów. Czytając kolejne rozdziały, w zdumieniu odkrywamy, kim ten Szymon Pietruszka nie był. Pisarz nie ukrywał, że traktuje opowieść o jego losach jako swoiste podsumowanie i zwieńczenie chłopskiego etosu. Nie zapominajmy jednak, jak ta powieść jest zbudowana.

Punktem wyjścia stał się motyw, dla którego inspiracją była krótka przyśpiewka, znaleziona przez Myśliwskiego w antologii „Jabłoneczka" opracowanej przez Juliana Przybosia: „Kamień na kamieniu, / na kamieniu kamień, / a na tym kamieniu / jeszcze jeden kamień..." „W czasie pisania chciałem tej pieśni sprostać", przyznawał Myśliwski.

Ostatecznie zdecydował, że wątkiem przewodnim będzie budowa grobu, w którym Szymon mógłby pochować wszystkich swoich krewnych. Grób zbiorowy jest w naturalny sposób symbolicznym podsumowaniem doświadczeń i mądrości pokoleń. Lecz motyw ten Myśliwski obudował tyloma innymi, że powstała powieść, którą nie bez powodu porównywano do muzycznej improwizacji.

„Kamień na kamieniu" to requiem dla polskiej wsi, pisano. Owszem, ale to także przykład, jak można słowa doprowadzić do tańca, a w efekcie sprawić, że opowieść indywidualna i partykularna przechyli się w stronę uniwersalnego. Nic dziwnego, że w losach Szymona Pietruszki odnajdywali się potem czytelnicy w Turcji, Holandii czy Stanach Zjednoczonych.

Na spotkaniach

Myśliwskiego te zagraniczne sukcesy jego utworów bardzo cieszyły. Przyszły późno, to prawda; nie mógł już jeździć, żeby promować swoje książki, ale z uwagą nasłuchiwał, jakie będą recenzje, i z dumą wspominał, że w Turcji znowu któryś z tytułów dodrukowano albo że w Holandii znalazł się czytelnik tak zachwycony jego powieściami, że zapisał mu w spadku dom. Sukcesy za granicą upewniały go, że to, co sobie zamierzył, zostało osiągnięte.

Podobnie cieszył się, kiedy odzywały się do niego czytelniczki bądź czytelnicy reprezentujący najmłodsze pokolenia. Czasem towarzyszyłem mu w publicznych spotkaniach i kiedy podpisywał książki, zagadywałem stojących w kolejce. Było w tym coś niezwykle wzruszającego, że wiele z tych osób przychodziło z egzemplarzami, które nosiły na sobie ślady intensywnej lektury.

Dla mnie Wiesław Myśliwski mógł być ojcem, dla wielu stojących w kolejce – dziadkiem. A jednak odnajdywali coś swojego i w „Nagim sadzie", jego debiutanckiej powieści, napisanej blisko sześćdziesiąt lat temu, i w „Ostatnim rozdaniu", powieści może najbardziej współczesnej i jednocześnie – co kiedyś mi wyznał – najtrudniejszej ze wszystkich, jakie napisał. Nigdy nie zapomnę młodego chłopca, który prosząc o autograf, przyznał, że pisarz jest dla niego kimś bliskim, bo on sam też wcześnie stracił ojca. Ani młodej dziewczyny, która chciała mieć autograf na wszystkich jego powieściach, bo wszystkie jej się podobały i nie umiała wybrać jednej.

Kto to jest wielki pisarz? Pierwsza odpowiedź, jaka przychodzi mi do głowy: to ktoś, kto potrafi nauczyć ludzi czytać. Wiesław Myśliwski był kimś takim – uczył czytać. Nie tylko przez to, co mówił o literaturze, ale też przez to, jak pisał. Uczył tego, czym literatura jest, czym może być i czym być nie powinna. Demaskował rozmaite iluzje, rozwiewał złudzenia i fałszywe nadzieje, podkreślając jednocześnie, że wciąż wierzy w jej siłę. Stawiał czytającym wysokie wymagania, ale nie zostawiał ich bez pomocy.

Zapytałem go kiedyś, czy jego książki mogą dać ludziom nadzieję. W odpowiedzi uśmiechnął się: „Za dużo ode mnie wymagasz". A potem dodał: „Jedno, co mogę powiedzieć, to to, że staram się pisać tak, by nie odbierać ludziom nadziei. Może bierze się to stąd, że nie dzielę ani rzeczywistości, ani literatury na pesymistyczną i optymistyczną. Nie ma świata optymistycznego i pesymistycznego. Świat jest integralny, jeden. Żal, rozpacz, smutek zrastają się z nadzieją. Człowiek ma w sobie ogromną zdolność do samopocieszenia. Być może to ludzi zachęca do czytania moich książek".

© WOJCIECH BONOWICZ

POŻEGNANIE

Bywam pisarzem z trudem i raz na parę lat. (...) piszę tylko wtedy, kiedy coś mnie wybierze, żebym to opisał.

29 marca, kilka dni po swoich 94. urodzinach,
odszedł spokojnie w swoim domu

Ś.†P.

Wiesław Myśliwski

pisarz, dramaturg, eseista, autor słuchowisk i scenariuszy

Był twórcą suwerennym, na wskroś oryginalnym, wolnym od literackich mód, mędrcem, w którego dziełach czytelnicy poszukiwali prawdy o sobie i ludzkim losie.

Dobry, skupiony, życzliwy, lojalny w przyjaźni, przenikliwie i bez złudzeń widzący świat, uczący wierności sobie.

WYDAWNICTWO ZNAK ŻEGNA
SWOJEGO PRZYJACIELA I WYJĄTKOWEGO AUTORA,
ZAPEWNIAJĄC, ŻE JEGO DZIEŁO BĘDZIE ŻYŁO.

eprasa.pl 2b98c8e853

■ *Aidan Higgins*, **ZEJDŹ NA DÓŁ, LANGRISHE**, *tłum. Maciej Płaza, Ossolineum*

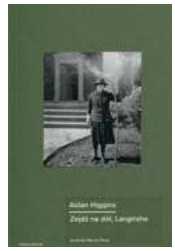

Powieść rozpoczyna się od podróży autobusem do rodzinnej posiadłości na prowincji. Powietrze przesycone jest zapachem taniego tytoniu i potu, a bohaterka – podsłuchując szorstkie rozmowy współpasażerów – walczy z mdłościami. Duszna przestrzeń okazuje się dobrą metaforą sytuacji, w jakiej znajduje się zgorzkniała, niezdolna do działania Helen. Siostry, które jedzie odwiedzić, odznaczają się podobną inercją, tyle że są bardziej zalęknione. „Zejdź na dół, Langrishe" Aidana Higginsa to książka anachroniczna, która dodatkowo przez swoją formalną rozrzutność – nielinearną narrację i symultaniczne obrazowanie – może wydawać się artystowska. A jednak tej perły irlandzkiego modernizmu nie można sprowadzić do parnasistowskiego ekscesu, jako że stawki powieści są zdecydowanie większe. Higgins skrzętnie przeplata prywatne i uniwersalne, sprawnie operuje zoomem i łączy w swoim debiucie powieściowym narodowe bolączki Irlandii i historię podupadłej rodziny reprezentowanej przez trzy siostry. Robi to przy pomocy estetyki, która – jeśli tylko nie zostanie określona jako historyczny rekwizyt – imponuje wytwornością. Mamy tu sportretowaną w całej rozciągłości mizerię Langrishe'ów, komentarz do powikłanej historii Zielonej Wyspy oraz analizę zahukanych pań dworu – lwia część powieści odmalowuje nieszczęśliwy związek między jedną z sióstr a Ottonem, intelektualistą i okrutnym uwodzicielem. Burzliwe koleje tej relacji można czytać w izolacji od przemian historycznych, choć studium związku odsłania społeczne uwarunkowania postaci i naświetla splot miłości i polityki. Wysmakowana i cierpka powieść Higginsa odbiega od aktualnych trendów literackich. Ale warto po nią sięgnąć nie tylko dla przetasowania swoich preferencji czy ze względu na sugestywny rysunek historyczny i kunszt formalny. „Zejdź na dół, Langrishe" warto przede wszystkim znać dla spleśniałej, hipnotyzującej atmosfery końca epoki, której cień pada i na nas.

© OLIVIER SOBOTA-SZAMOCKI

■ *Alan Gogoll*, **PISTACHIO PARROT**, *2026*



Weź gitarę akustyczną, taką ze stalowymi strunami – dłużej wybrzmiewają. Graj palcami. Kciukiem skaczesz po trzech górnych, to będzie bas. Palce wskazujący, środkowy i serdeczny obsługują po jednej strunie – tutaj powstanie akompaniament i melodia. Pozostaje perkusja. Uderzaj nadgarstkiem w okolicy mostka – to będzie stopa. Werbel otrzymasz dzięki uderzeniom dłonią w top albo bok gitary, a talerz: bokiem kciuka o struny basowe. Tak wygląda uproszczona instrukcja *fingerstyle*: najdynamiczniej rozwijającego się dziś stylu gitarowego. Mistrzowie potrafią imitować cały zespół, i to grając na żywo. Trudno uwierzyć, dopóki się tego nie doświadczy na koncercie. Artyści *fingerstyle* aranżują hity muzyki pop (poszukajcie coldplayowego „Talk" w wykonaniu Antoine'a Dufoura), ale też komponują, np. polski wirtuoz Janek Pentz snuje na sześciu strunach opowieści o słowiańskich duchach. Urodzony w Tasmanii, a mieszkający w Niemczech Alan Gogoll jest fenomenem socialmediów: na TikToku zbiera miliard wyświetleń miesięcznie, na Instagramie 200 mln. Publikuje dużo i często. Najnowszy, 19-minutowy albumik „Pistachio Parrot" zawiera muzyczne wspomnienia z podróży do Grecji. Powstał „na setkę", bez dogrywek i innych studyjnych sztuczek. Gitarzysta uważa, że muzyka ma pierwszeństwo przed perfekcją techniczną. Gogoll słynie z autorskiej techniki *bell harmonics*: spod jego palców płyną kaskady flażoletów. Gitara zmienia się w harfę skrzyżowaną z pozytywką: tak mogłyby brzmieć krople rosy. Melodie Australijczyka uruchamiają dziecięcą, nieograniczoną wyobraźnię, zapewniając przy tym poczucie bezpieczeństwa. Pomagają dostrzec w codzienności szczeliny dobra. Jakiś słuchacz napisał Alanowi, że jego muzyka pomogła mu zmierzyć się ze stanami lękowymi. Ktoś inny, że to tło do najszczęśliwszego dnia w życiu.

© MACIEJ MÜLLER



MATERIAŁY PRASOWE

■ **DZIKIE HARCE. WYSTAWA DLA DUŻYCH I MAŁYCH**, *Cricoteka w Krakowie, do 11 października*

Nieprzypadkowo w przestrzeń tej wystawy wchodzimy – niczym do królestwa Narnii – przez szafę. Inspiracje dla wszystkich znajdujących się tu kącików zabaw pochodzą od dzieci, które zaproszono do Cricoteki na warsztaty. To najmłodsi podpowiadali kuratorkom, w co lubią się bawić, a co im w zabawie najczęściej przeszkadza (dorośli i telefony). Zebrane wnioski i pomysły na ciekawe spędzanie wolnego czasu zostały następnie przekazane artystom, którzy na ich podstawie stworzyli przy Nadwiślańskiej interaktywną przestrzeń. Można po niej bez skrępowania biegać, grać w chowanego, zrobić własny teatr cieni, przebierać się, rysować, słuchać muzyki. Inspiracją dla wszystkich tych „harców" była „Wystawa Popularna" Tadeusza Kantora zorganizowana w 1963 r. w Krzysztoforach, znosząca dystans między dziełem a odbiorcą, zachęcająca zwiedzających do aktywnego uczestnictwa. Na sznurach do suszenia bielizny, w pudłach i kufrach pokazano wówczas artystyczny brudnopis artysty: notatki, rysunki, zdjęcia, kostiumy teatralne. Brak „obrazów" – wyjaśniał Kantor – „zmienia percepcję widza z analitycznej i kontemplacyjnej w płynną i aktywną nieomal współobecność w polu żywej rzeczywistości". Podobnie jak w tamtym projekcie, także tutaj doceniono to, co zwykle bywa marginalizowane – twórczość dziecięcą i amatorską, nadając jej równorzędny status wobec sztuki profesjonalnej. Przestrzeń została zaprojektowana jako proces, otwarty i zmienny, tworzony w dialogu. Wystawa stanowi więc hołd dla myśli Kantora, uznając przy tym, co niezwykle ważne, podmiotowości dziecka w przestrzeni instytucji kultury. Wreszcie: jest po prostu świetnym miejscem, by polubić sztukę. Na ekspozycji pojawiają się subtelne odniesienia do twórczości Kantora, w których poszukiwanie mogą się pobawić starsi zwiedzający. Nie ma tu jednej właściwej ścieżki zwiedzania – możemy harcować w doskonale indywidualnym rytmie. ©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

eprasa.pl 2b98c8e853



JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Kolejka zwiedzających przed Fabryką Emalia Oskara Schindlera, oddziałem Muzeum Krakowa. Kraków, 31 października 2023 r.

Kraj trzech prędkości

MICHAŁ NIEZABITOWSKI:

ROZMOWA | Państwo łapie zadyszkę – coraz trudniej nam finansować coraz liczniejsze muzea. Tymczasem brakuje przepisów, które zachęcałyby sektor prywatny do inwestowania w kulturę.

JACEK STAWISKI: Mamy w Polsce prawie tysiąc muzeów – to dużo?

MICHAŁ NIEZABITOWSKI: Muzeów w Polsce jest z jednej strony „za dużo", a z drugiej – o wiele za mało. Jest ich za dużo, bo przekazywanie środków publicznych na już istniejące muzea jest coraz bardziej problematyczne.

Jest ich za mało, gdy zestawimy liczbę placówek z liczbą mieszkańców kraju i porównamy nasze statystyki z europejskimi. Otóż w Estonii na 100 tys. mieszkańców przypada 19 muzeów, w Szwajcarii 14, w Niemczech 8, a w Polsce około 3.

To brzmi jak sprzeczność. Skąd taka diagnoza?

W latach 90. stworzyliśmy w Polsce system, w którym państwo – zarówno na szczeblu centralnym, jak i samorządowym – wzięło na siebie pełną odpowiedzialność za placówki muzealne. Po transformacji ustrojowej była to mądra decyzja. Pozwoliła zbudować niezwykle skuteczny model, lepszy niż ten, który funkcjonuje w Niemczech czy Stanach Zjednoczonych. Nasze placówki dzięki wsparciu płynącym ze środków publicznych szybko się wówczas rozwinęły, a po roku 2004 – w oparciu o fundusze unijne – zyskały stabilność i weszły na drogę niezwykle dynamicznego rozwoju.

Dziś ten system jest jednak coraz mniej wydolny. Państwo i samorządy zaczynają łapać zadyszkę, trudno im utrzymać wszystkie muzea, a sektor prywatny czuje się zwolniony z tego obowiązku.

Podsumowując: mamy za dużo muzeów jak na nasze możliwości. Natomiast za mało, biorąc pod uwagę potrzeby zwiedzających.

W uproszczeniu – tak. Stany Zjednoczone utrzymują – dla porównania – dwie instytucje kultury, podczas gdy państwo polskie ma ich w tej chwili pod opieką łącznie kilkaset. Coraz trudniej jest dotować instytucje już istniejące.

Nasze państwo działa co prawda w tej sprawie niezwykle ofiarnie, ale jednocześnie nie stworzyło mechanizmów współodpowiedzialności za instytucje kultury, nie angażuje wystarczająco sektora prywatnego.

eprasa.pl 2b98c8e853

Jak to robić?

Turystyka rozwija się w dużej mierze dzięki muzeom, prawda? Ale jak dotąd nie stworzyliśmy żadnego systemu, który zapewniałby dystrybucję części dochodów tego sektora do muzeów. Państwo utrzymuje muzea, a sektor turystyczny z nich korzysta, tworząc swoją ofertę dla podróżujących po Polsce. Dzieje się tak, ponieważ wciąż nie powstał system podatkowy, który skutecznie zachęcałby sektor prywatny do inwestowania w muzea.

Trzeba oczywiście uderzyć się w nasze muzealne piersi, bo my, jako środowisko, także nie potrafiliśmy przekonać do inwestycji w nasze instytucje. Tymczasem muzea przeszły ogromną zmianę, są postrzegane przez publiczność jako atrakcyjne miejsca spędzania czasu, zmieniły swoją formę i sposób prezentowania zbiorów.

Znalazły się na to środki, relatywnie łatwo zdobywane dzięki funduszom unijnym. Powstają dzięki temu muzea, które są wielkimi sukcesami kolejnych rządów, samorządów, czasem indywidualnych ludzi, ale potem okazuje się, że są nieprawdopodobnie drogie w utrzymaniu.

Przykład?

Podziemia Rynku w Krakowie. Zarządzam tym muzeum, ono wyznaczyło pewne kierunki w rozwoju polskiego muzealnictwa. Problem polega na tym, że co trzy miesiące powinniśmy wymieniać komplet żarówek i czyścić tory optyczne we wszystkich urządzeniach, które zostały dla tego muzeum zaprojektowane, a to kosztuje rocznie 100 tys. złotych i jest tylko wierzchołkiem góry lodowej kosztów.

Ale czy muzea to inwestycje, które mają się zwracać?

W rozumieniu biznesowym: nie. W rozumieniu makroekonomicznym muzea są doskonałymi inwestycjami i stymulatorami rozwoju ekonomicznego. Jack Lohman, były dyrektor Muzeum of London i Muzeum Królewskiego w Ottawie, przeprowadził badania dowodzące, że jeden funt zainwestowany w muzeum zwraca od 6 do 8 funtów swojemu otoczeniu.

Kiedy budowaliśmy w Krakowie muzeum w dawnej fabryce Oskara Schindlera, jego okolica była naprawdę nieciekawym miejscem. Tymczasem 18 miejsc pracy, które powstało w fabryce Emalia, przyniosło w ciągu roku 72 miejsca pracy zdegradowanej wówczas dzielnicy Zabłocie. Kiedyś miejsce o ponurej sławie, dzisiaj znakomita krakowska „miejscówka" – dzięki inwestycji muzealnej. Powstały firmy, które skorzystały z naszego sąsiedztwa, otworzyły się sklepy i pizzerie, a taksówki wożą tutaj turystów.

Z drugiej strony zaczynamy zauważać, że muzea nie tylko są dobrymi inwestycjami, nie tylko dokarmiają nasze narodowe lub lokalne ego, ale sprzyjają też utrzymaniu zdrowia i odporności. Mój przyjaciel, dyrektor Muzeum Narodowego w Kielcach, Robert Kotowski, wydał na ten temat świetną książkę pt. „Muzeoterapia".

Na czym muzeoterapia polega?

Zachęcam do lektury! Muzea przygotowują nas na zmiany, które w tej chwili obserwujemy. Są blisko człowieka, objaśniają mu świat poprzez sztukę i pamięć. Robią to w oparciu o zakumulowaną mądrość zbiorów.

Muzea są inkubatorami społecznych relacji, wyrywają człowieka z piekła samotności. Szczególnie ważne są placówki w małych miasteczkach czy średniej wielkości miastach. Pełnią tam niezwykłą rolę, mimo że są ogromnie niedofinansowane. Ale o to nie można mieć pretensji do samorządów, bo ich liderzy wzięli na siebie ogrom odpowiedzialności za polskie muzealnictwo. Aż 70 proc. polskich muzeów to muzea samorządowe. Tyle tylko, że możliwości finansowe samorządów się kurczą, a potrzeby muzeów rosną.

A może jest tak, że to rynek musi zweryfikować potrzebę istnienia konkretnego muzeum, jego przesłania, sposobu prezentacji?

Niewidzialna ręka rynku nie ma tu zastosowania. Jest natomiast siła publiczności, bo muzea nie istnieją bez niej. Jeżeli muzeum nie potrafi udowodnić przed publicznością niezbędności swego istnienia, to pewnie jest to przyczynek do rewizji polityki zarządzania tym muzeum, a być może polityki ↦

REKLAMA

Pałac Potockich, Rynek Główny 20, Kraków

Strony Conrada: Równość

W oczekiwaniu na 18. edycję Festiwalu Conrada zapraszamy na wydarzenie, podczas którego nordyckie opowieści o równości i różnorodności będą splatać się z uniwersalnymi pytaniami o to, kim jesteśmy i jak możemy znaleźć swoje miejsce w świecie.

sobota 11 kwietnia

17.00 W stronę tęczy. Spotkanie z Emmą Rävås i Rakel Helmsdal | Tomasz Charnas

19.00 O byciu razem. Spotkanie z Marie Aubert i Moniką Steinholm | Joanna Bernat

niedziela 12 kwietnia

17.00 Wobec nowej tożsamości. Spotkanie z Selją Ahavą | Agata Komosa-Styczeń

Kraków kbf:

Wstęp wolny

eprasa.pl 2b98c8e853

↦ kulturalnej konkretnego regionu. Rewizja ta nie może nas jednak prowadzić do pochopnych decyzji, bo mamy naprawdę zbyt mało muzeów jak na nasze potrzeby społeczne.

W Polsce nie ma co prawda muzeów takiej skali jak Luwr, ale są muzea bardzo duże i często odwiedzane.

Frekwencja w polskich muzeach za rok 2025 przekroczyła 46 milionów. Aż dziesięć polskich muzeów to „milionerzy". Mamy muzea, które robią furorę frekwencyjną wśród publiczności krajowej i zagranicznej. Tak, Luwr jest poza naszym zasięgiem, bo Polska jest krajem, który od połowy XVII w. był wielokrotnie grabiony. Nasze zasoby dzieł sztuki są uboższe, ale muzeum to nie tylko kolekcja, to także opowieść. Polskie muzea opanowały wzorcowo sztukę opowiadania, a historia Europy Środkowej, do której należymy, to opowieść niezwykła.

Co z perspektywy kierujących muzeami domaga się zmian?

Z pewnością ustawa o muzeach z listopada 1996 r. wymaga napisania jej na nowo. Rozmawiamy w momencie, gdy środowisko muzealne wyraziło bardzo silne przekonanie, że najwyższy czas zorganizować „Muzealne Stany Generalne", a ministra kultury uznała to za zasadne i wsparła nasze postulaty. W maju 2027 r. odbędzie się w Kielcach drugi kongres muzealniczek i muzealników polskich. Przedstawimy nasze postulaty zmian ustawy, która stworzyła co prawda fundament pod polski boom muzealny, ale wymaga nowej redakcji.

Co trzeba zmienić?

Bardzo wiele. Przede wszystkim potrzebna jest zmiana sposobu powoływania dyrektorów muzeów, aby oderwać ten system od wpływu polityki. Druga rzecz to zmiana systemu dotowania muzeów, bo obecny ma charakter uznaniowy. Po trzecie, trzeba zbudować mechanizm, który skieruje do muzeów nowe źródła finansowania z sektora prywatnego. Po czwarte, trzeba zbudować system umożliwiający kolekcjonowanie dzieł *born-digital*. Po piąte, trzeba „przesunąć wajchę", tak aby paradygmatem istnienia muzeów była publiczność, a nie kolekcje. Po szóste, trzeba zadbać o dobrostan pracownic i pracowników naszych muzeów.



BOGDAN KRĘŻEL / MUZEUM KRAKOWA

DR MICHAŁ NIEZABITOWSKI – historyk, muzealnik, manager kultury, nauczyciel akademicki. Dyrektor Muzeum Krakowa, prezes Stowarzyszenia Muzealników Polskich, przewodniczący Rady do Spraw Muzeów i Miejsc Pamięci Narodowej.

A jakie muzeum powinno jeszcze w Polsce powstać?

Oj, będę mówił *pro domo sua*... Mamy bardzo niewielu Polaków, którzy są rozpoznawalni w świecie. Taką osobą jest z pewnością Tadeusz Kościuszko, który wciąż nie ma swojego muzeum. Za Kościuszkę bierze odpowiedzialność działający społecznie Komitet Kopca Kościuszki w Krakowie, którego jestem członkiem. Stworzyliśmy tam zaczyn muzeum, mamy rozwijającą się, choć skromną kolekcję, zbudowaliśmy chętnie odwiedzaną wystawę. Kościuszko jest bohaterem wciąż potrzebnym, o ile odrzemy go z patyny oleodruku. To bohater na wskroś nowoczesny, promujący wartości, do których dopiero dorastamy. Wciąż mamy w Polsce miejsce na muzea nowych opowieści, pokazujące fenomen Europy.

A może jednak w powoływaniu nowych muzeów trzeba się zatrzymać?

Polska muzealna jest Polską kilku prędkości. Mamy wielkie muzea, które są ikonami: Wawel, Zamek Królewski w Warszawie, Muzeum POLIN, Muzea Narodowe w Krakowie i w Warszawie, Muzeum Historii Polski. To tzw. pierwsza prędkość, razem 20, może 30 miejsc. Dalej: duże muzea miejskie, do których zalicza się muzeum, w którym ja pracuję, czyli Muzeum Krakowa, oraz duże muzea okręgowe – samorządowe. To muzea tzw. drugiej prędkość, razem 40, może 50 obiektów. Natomiast pozostałe ok. 900 muzeów to placówki trzeciej prędkości.

Co masz na myśli, mówiąc o prędkościach?

Bynajmniej nie jakość pracy i kompetencje muzealników, a poziom dotacji i wynikające z tego możliwości. Największą robotę robią dziś muzea lokalne. Tam odbywa się oddolna praca w bezpośredniej bliskości człowieka, edukacja, przekaz wartości. Tam zachodzi mediowanie pomiędzy spolaryzowanymi grupami i jednostkami. Wreszcie: integracja lokalnych społeczności – lepienie wspólnoty. To system naczyń krwionośnych zasilających społeczeństwo. Czy zatem na pewno powinniśmy się zatrzymać w budowie nowych muzeów?

Sądzę, że obecny czas nie jest właściwy dla budowy nowych, ikonicznych budynków. To nie jest też czas na wzmacnianie Polski pierwszej prędkości, raczej moment sprzyjający przesterowaniu strumienia środków i inicjatyw na muzealnictwo trzeciej prędkości. Te nakłady zwrócą się z naddatkiem.

Na koniec zaapeluję do sektora prywatnego, polityków i mediów. Zaufajmy muzeom. Codziennie rozmawiamy z tysiącami, a rocznie z dziesiątkami milionów Polek i Polaków. Kształtujemy rodaczki i rodaków, a z badań wynika, że cieszymy się ich zaufaniem. Mamy naprawdę atomowe narzędzia społecznego oddziaływania.

©℗ Rozmawiał JACEK STAWISKI

OGŁOSZENIE

Radio Kraków
radiokrakow.pl

NADAJEMY DO MYŚLENIA
W każdą środę o godz. 12.40 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego"

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków - 101,6 FM, Nowy Sącz - 90,0 FM, Tarnów - 101,0 FM, Zakopane - 100,0 FM, Andrychów - 98,8 FM, Gorlice - 97,4 FM, Krynica Zdrój - 102,1 FM, Rabka Zdrój - 87,6 FM, Szczawnica - 90,0 FM

eprasa.pl 2b98c8e853

Fundacja Tygodnika Powszechnego

» KRS 0000 125 605

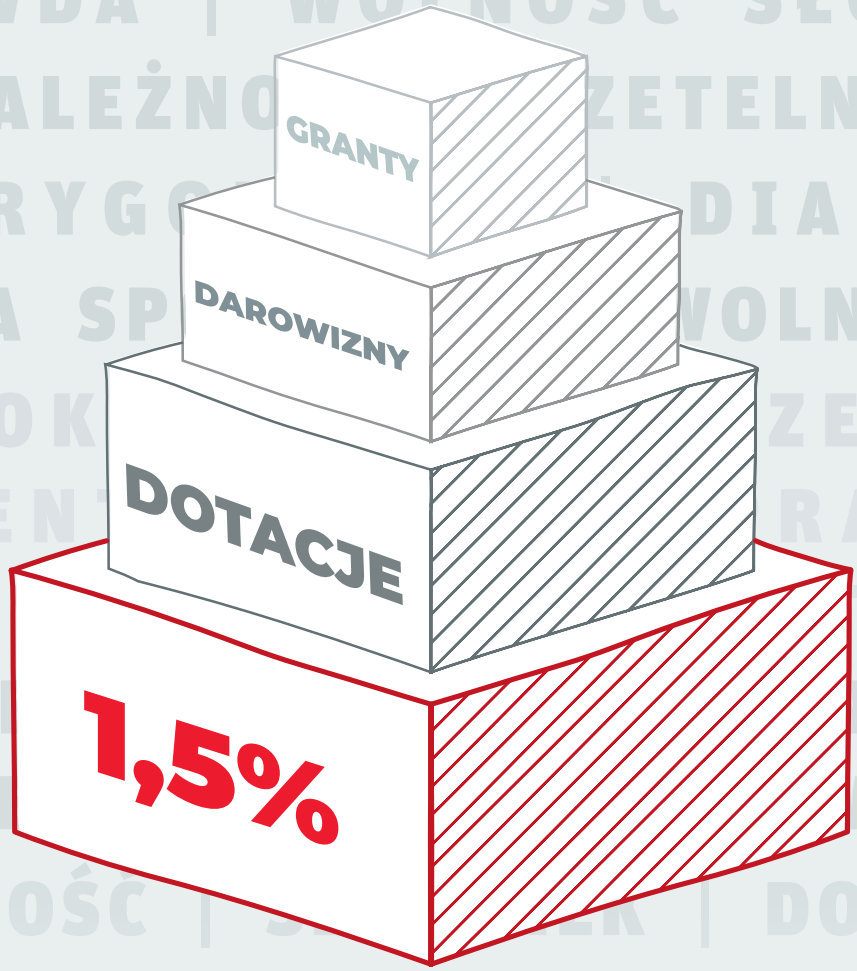

Każda podarowana przez Ciebie złotówka wzmacnia fundament naszej działalności. To, co możliwe, zależy od Twojego wsparcia.

Dowiedz się, skąd organizacje pożytku publicznego pozyskują fundusze na swoje działania.

OPP

eprasa.pl 2b98c8e853

Sam w Nowym Jorku

MICHAŁ CHOIŃSKI

REPORTAŻ | Chadzał na nielegalne mecze bokserskie, odwiedzał pchle targi i zagadywał ludzi w podejrzanych spelunach. Chciał pisać o tych, o których nie pisze nikt.

Każdego ranka Joseph Mitchell szedł do pracy ulicami środkowego Manhattanu. Wchodził do jednego z wieżowców nieopodal Times Square, po czym wjeżdżał na dziewiętnaste piętro, gdzie znajdowała się redakcja tygodnika „New Yorker". Odkładał kapelusz i płaszcz, a następnie szedł do kuchni zaparzyć sobie kawę, przy której ochoczo rozprawiał o pisarstwie Jamesa Joyce'a.

Następnie Mitchell zamykał się w swoim gabinecie, z którego godzinami dobiegały odgłosy pisania na maszynie. Nie składał jednak do druku żadnego tekstu. Redaktor naczelny „New Yorkera" nie chciał wywierać na niego nacisku – wypłacał mu po prostu pensję i cierpliwie czekał na wyniki pracy.

Taki stan rzeczy trwał w sumie ponad trzydzieści lat. Wszyscy w redakcji główkowali, co też dzieje się za zamkniętymi drzwiami gabinetu Mitchella. Niektórzy nawet przeglądali zawartość kosza na śmieci, szukając fragmentów wielkiego dzieła, które – jak domniemano – powstawało w bólach, ale miało ostatecznie zmienić oblicze amerykańskiego dziennikarstwa.

Nic takiego się jednak nie wydarzyło.

Historia Josepha Mitchella – jednego z legendarnych nowojorskich pisarzy – to opowieść o trwającym całe dekady kryzysie twórczym oraz nieposkromionej ciekawości, która pozwoliła stworzyć unikalny i ponadczasowy obraz mieszkańców Nowego Jorku. A także o wątpliwościach dotyczących etyki pracy reportera.

Jeśli chcesz poznać Nowy Jork, musisz po nim chodzić

Pisarka i scenarzystka Delia Ephron podkreślała, że „Nowojorczycy rodzą się w całych Stanach. Gdy przyjeżdżają do miasta dociera do nich: „Aha, to właśnie tutaj przynależę!". Tak też było w przypadku Mitchella.

Przyszły pisarz urodził się daleko od Manhattanu – na południu USA, w rodzinie, która zbiła fortunę na plantacjach tytoniu dzięki pracy niewolników. Ta duszna rzeczywistość i historyczne obciążenia Karoliny Północnej wyraźnie go uwierały. Porzucił więc Południe i po krótkim okresie studiów, w 1929 r., wyjechał do serca krainy Jankesów – miasta, które stanowiło całkowite przeciwieństwo rodzinnego domu.

W tym czasie, pod koniec epoki jazzu i prohibicji, Nowy Jork składał swoim mieszkańcom oraz przyjezdnym obietnicę wolności, ekspresji i pieniędzy. Mitchell zakochał się w tej dynamicznej, miejskiej rzeczywistości – w buzującym tyglu języków, kultury i ludzi. Ubrany w marynarkę, z notatnikiem i ołówkiem w kieszeni, chodził po mieście w poszukiwaniu historii.

Jego przełożony w „Herald Tribune" (pierwszej redakcji, dla której pracował) powtarzał: „Jeśli chcesz poznać Nowy Jork, musisz po nim chodzić". Mitchell wziął sobie tę radę do serca. Włóczęga po ulicach Manhattanu stała się jego sposobem na poznawanie skomplikowanej geografii społecznej miasta i podstawowym narzędziem pracy dziennikarskiej.

Na początku przydzielono go do wydarzeń w Harlemie. Był w pełni świadom paradoksu, że jako osoba z Południa, gdzie obowiązywała brutalna segregacja rasowa, pisze o dzielnicy, w której rozkwitała muzyka i literatura tworzona przez czarnych artystów i artystki. Ze statusu outsidera uczynił jednak zaletę swojego pisarstwa. Tworzył kolejne teksty ze swadą i wrażliwością osoby, która rozumie inność.

Gdy cztery lata później zaczął pracować dla „New Yorkera", miał już oddane grono czytelników i poczucie, że może pisać o wszystkim. Mitchell stopniowo stał się uosobieniem modelu dziennikarstwa motywowanego ciągłą, fizyczną obecnością w topografii miasta, ale też zaangażowanego w dialog z jego mieszkańcami.

Nigdy nie interesowały go historie bogatych i znanych osób z nowojorskich drapaczy chmur – dużo ciekawsze były opowieści o ludziach, którzy przemykają w ich cieniu. Mitchell chciał pisać o tych Nowojorczykach, o których nikt nie pisze, dlatego zamiast na przedstawienia teatralne na Broadwayu i wystawne przyjęcia organizowane przez elity, które zawojowały świat kultury i biznesu, chadzał na nielegalne mecze bokserskie, odwiedzał pchle targi i zagadywał ludzi w podejrzanych spelunach.

Jeden ze swoich tekstów poświęcił szczurom. Opisywał ich życie, wypełnione stresem i agresywną walką o przetrwanie. Czytając kolejne akapity, trudno nie zauważyć, że reporter opowiada historię nie tylko o gryzoniach, ale po prostu o zdradliwym i przytłaczającym tempie życia w wielkim mieście.

W tej książce nie ma małych ludzi

W wydanej właśnie książce „W starym hotelu" zebrano opowieści o Nowojorczykach, które Mitchell przez lata opublikował na łamach „New Yorkera". To wfascynująca mozaika osób z wielkomiejskiego marginesu, indywidualności usiłujących zbudować sobie życie w chwiejnej rzeczywistości kryzysu ekonomicznego. Co ciekawe, po prawie stu latach nadal zaskakująca swoją złożonością i różnorodnością.

Bohaterką reportaży Mitchella jest na przykład Mazie P. Gordon – asertywna i nieustraszona mieszkanka cieszącej się złą sławą dzielnicy Bowery. Po dwudziestu latach pracy w kasie niewielkiego, obskurnego kina zna wszystkich mieszkańców okolicznych zaułków. Każdego dnia po pracy robi obchód po spelunach i rozdaje pijaczkom drobne.

Inną postacią reportaży jest Lady Olga – kobieta z zarostem przez lata pracująca w cyrkach, która marzy o karierze stenotypistki. Raz w miesiącu, niezależnie od pory roku, wysyła datek na rzecz Amerykańskiego Towarzystwa Zapobiegania Okrucieństwu wobec Zwierząt, a w rozmowie z Mitchellem podkreśla, że gdyby

eprasa.pl 2b98c8e853



MARIO RUIZ / GETTY IMAGES

Joseph Mitchell włóczy się po Greenwich Village. Nowy Jork, 1992 r.

prawda o każdym z nas ujrzała światło dzienne, „wszyscy bylibyśmy dziwolągami".

Miejskie opowieści Mitchella – choć bardzo popularne – stawały w poprzek klasowym uprzedzeniom obecnym w prasie. Jak pisze Anna Arno we wstępie do antologii, jeden z krytyków Mitchella zarzucał mu, że niczym botanik studiuje on „ludzkie chwasty". Zirytowany tymi słowami dziennikarz odpowiadał, że „ludzie w wielu z tych opowiadań należą do tego gatunku, który ostatnimi czasy wielu piszących zaczęło określać jako »ludek«. Uważam, że jest to określenie odpychające i pełne pychy. W tej książce nie ma małych ludzi. Są równie ważni jak ty, kimkolwiek jesteś".

Ostatnim tekstem, który Mitchell opublikował w 1964 r., zanim ostatecznie dopadła go niesławna blokada pisarska, jest historia Joego Goulda – znanego w całym Greenwich Village włóczęgi i ekscentryka. Utrzymywał on, że pracuje nad „Historią mówioną naszych czasów" – wiekopomnym dziełem, które rzekomo miało zawierać kompendium anegdot i opowieści.

Gould jawi się jako postać groteskowa, skonfliktowana. Indywidualność dotknięta hipergrafią, kompulsywną potrzebą stworzenia przełomowego projektu kronikarskiego, jak i chroniczną blokadą pisarską. Po długich rozmowach z nim Mitchell ostatecznie orientuje się, że *magnum opus* Goulda to wymysł, a on sam żyje w świecie ułudy.

Trudno nie znaleźć paraleli między postacią Goulda a samym Mitchellem, który chorował na nasilającą się depresję i czuł, że traci kontrolę nad wypracowanym przez dekady warsztatem dziennikarskim. W latach 50. opublikował jedynie pięć tekstów. Znikała nie tylko jego umiejętność pisania – zmieniał się też sam Nowy Jork, który Michell zwykł przemierzać wzdłuż i wszerz. Burzono stare budynki i zamykano jego ulubione knajpy. Świat miejskich indywiduów utrwalony w antologii jego tekstów odchodził w niepamięć, a sam legendarny dziennikarz stał się na równi znany z tego, co napisał, jak i z tego, że przestał pisać.

Dobra opowieść nie musi być prawdziwa

W wydanej w 2015 r. biografii Mitchella pt. „Man in Profile", Thomas Kunkel dowodzi, że część miejskich sylwetek, które publikował on dla „New Yorkera", to w istocie albo zlepki różnych, niezwiązanych ze sobą historii, lub wręcz wytwory jego fantazji – na pewno tak właśnie było w przypadku Joego Goulda.

Dla wielu zwolenników twórczości Mitchella te doniesienia przyniosły podwójne rozczarowanie: z jednej strony sam legendarny dziennikarz dopuszczał się praktyk nieakceptowalnych z punktu widzenia etyki pracy reporterskiej, a z drugiej tygodnik, który swoją legendę zbudował przecież na rygorystycznym fact-checkingu i przywiązaniu do prawdy, zawiódł zaufanie czytelników, przez lata podchodząc z zaskakującą pobłażliwością do przesyłanych przez niego tekstów.

Co ciekawe, przypadek Mitchella nie był odosobniony. W tym czasie podobne zarzuty stawiano też przecież Trumanowi Capote, który w słynnej książce „Z zimną krwią" także niebezpiecznie uzupełniał fakty wytworami wyobraźni.

Mimo tych rys na obrazie Mitchella, Adam Gopnik, jeden z czołowych eseistów „New Yorkera" podkreśla, że jego proza stanowi jedno ze źródeł współczesnego dziennikarstwa amerykańskiego, a samo nazwisko autora „W starym hotelu" pozostaje wyznacznikiem klarownej, zbalansowanej prozy i przywiązania do szczegółu. Mitchella możemy po prostu czytać jako ponadczasowego baśniarza Nowego Jorku. ©

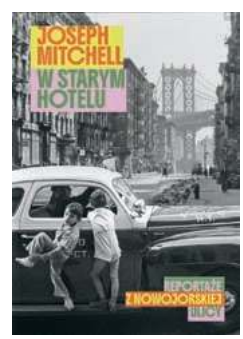

Joseph Mitchell, **W STARYM HOTELU. REPORTAŻE Z NOWOJORSKIEJ ULICY**, tłum. Kaja Gucio i Jakub Marek Klawe, Znak 2026

eprasa.pl 2b98c8e853

Luka w empatii



ANITA PIOTROWSKA

KINO | Ten film wyrasta z brytyjskiego gniewu lat sześćdziesiątych. Ale tak naprawdę jest opowieścią o psychicznej kruchości.

„To produkt z wysokiej półki, typu Balenciaga, udaje rzecz z H&M, w dodatku wyszperaną w ciucholandzie czy w sklepie charytatywnym" – tak wyzłośliwiają się niektórzy, oglądając pierwszy film wyreżyserowany przez młodego aktora Harrisa Dickinsona. Niesłusznie.

To oczywiście nawiązanie do słynnej sceny z filmu „W trójkącie" Rubena Östlunda, w której aktor zagrał chłopaka biorącego udział w castingu na modela. Odpowiedni wyraz twarzy – pogardliwie wyższościowy albo zapraszająco sympatyczny – miał wskazywać na istotną różnicę wpisaną w strategie marketingowe marek luksusowych i popularnych.

Dickinson, zwłaszcza po głośnej roli w „Babygirl" z Nicole Kidman, i tuż przed objawieniem się jako lider Beatlesów w produkcji Sama Mendesa, to dziś z pewnością „marka luksusowa". Nakręcił jednak film ostentacyjnie skromny, zapatrzony w tradycje brytyjskiego realizmu społecznego, a zarazem próbujący – z różnym skutkiem – wyjść poza jego schematy.

Z pewnością „Łobuz" jest przykładem kina, które nie chce jedynie „pochylać się" nad losem osób wyrzuconych na margines. Zresztą do końca nie wiemy, jak wyglądała droga Mike'a na londyńskie ulice. Niby klasyka gatunku: dorastanie w adopcyjnej rodzinie z masą złych wspomnień, wczesne rozstanie ze szkołą, narkotyki, drobne przestępstwa, wyroki... A dziś cały jego dom to kartony, śpiwór i plecaczek.

Kamera wyłapuje go z ulicznego tłumu i widać w nim wielu takich, którzy z różnych powodów odpadli z systemu. Tytułowy łobuz wydaje się przypadkiem szczególnym, bo jego obecność na ekranie wcale nie ma być oskarżeniem tego systemu. No i wiele jest momentów, kiedy nie dalibyśmy przysłowiowego funta kłaków za kogoś takiego jak Mike. Przez cały czas podążamy za kimś, z kim doprawdy trudno empatyzować.

W jednej ze scen chłopak zostaje obrabowany z wyżebranych zaskórniaków, lecz chwilę potem sam spuszcza łomot i okrada dobrze ubranego przechodnia, pracownika londyńskiego City. I to zaraz po tym, jak ten udzielił mu wsparcia i wdał się z nim w miłą pogawędkę.

Po wyjściu Mike'a na wolność pracownicy zajmujący się resocjalizacją czy tak zwaną sprawiedliwością naprawczą aranżują spotkanie młodego przestępcy z napadniętym mężczyzną. To kluczowe dla tego filmu sceny, w których Dickinson nie sięga po psychologiczne czy socjologiczne wytrychy. System może działać poprawnie, można też liczyć na uprzejmość nieznajomych czy dobrą wolę znajomych, trudno jednak uratować kogoś, kto utknął w zaklętym kręgu uzależnienia, przemocy i autodestrukcji.

Reżyser, będący mniej więcej w wieku swego bohatera, czyli przed trzydziestką, i pochodzący z robotniczego środowiska wschodniego Londynu, choć z pewnością bez doświadczeń aż tak drastycznych, postanawia zajrzeć w głąb psychiki Mike'a. Gdzie oczywiście nie znajduje odpowiedzi, dlaczego życie łobuza stało się równią pochyłą; odtwarza raczej jego wewnętrzny chaos.

Psychodeliczne wizje otchłani, tuneli czy jaskiń są przypomnieniem, jak ulotny bywa ów stan trzeźwości i względnej normalności, w jakiej znalazł się Mike z pomocą odpowiednich służb i życzliwych mu ludzi. To wszystko, co dostaje na kolejnym w życiu starcie – hostel, pracę, nowe znajomości – mogą okazać się niewystarczające, by wyjść na prostą.

„Łobuz", chociaż wyrasta z kina społecznie zaangażowanego spod znaku Kena Loacha czy, sięgając jeszcze głębiej, z brytyjskiego gniewu lat sześćdziesiątych, jest tak naprawdę opowieścią o psychicznej kruchości. I, mimo wszystko, o nieadekwatności systemu, który owszem, ma swoje użyteczne procedury, ale czasem prześlepia pojedynczego człowieka, mimo wysyłania przezeń ewidentnych sygnałów.

Ujawnia się to najlepiej w scenach z medytacyjnymi nagraniami udostępnionymi Mike'owi, by wyciszył swój skołatany umysł. „Masz nieskończenie wiele możliwości" – słyszy bez końca człowiek, który nie potrafi kontrolować swoich emocji, bywa raczej niezdolny do refleksji i na każdym kroku coś zawala. Bez względu na to, ile w tym skutków uzależnienia, ile z wcześniejszych zaburzeń (diagnozy pozostawmy znawcom tematu), trudno nie dostrzec, jak bardzo Mike czuje się bezbronny w swoich spotkaniach ze światem.

Nie przypadkiem tyle w „Łobuzie" zupełnie aseksualnej nagości. Mike zdaje się być niczym duże dziecko – niecierpliwe,

eprasa.pl 2b98c8e853



MATERIAŁY PRASOWE

ŁOBUZ *(Urchin) – reż. Harris Dickinson. Prod. Wielka Brytania/ /USA 2025. Dystryb. Gutek Film. W kinach od 10 kwietnia.*

Harris Dickinson jest brytyjskim aktorem, któremu międzynarodową rozpoznawalność przyniósł film „W trójkącie" (2022) Rubena Östlunda. Dziś grywa po obu stronach oceanu („Georgie ma się dobrze", „Bracia ze stali", „Babygirl"), a wkrótce ma się wcielić w Johna Lennona. Za „Łobuza", swój debiut scenopisarski i reżyserski, otrzymał w Cannes nagrodę FIPRESCI.

Powyżej: Frank Dillane i Harris Dickinson w filmie „Łobuz"

impulsywne, w wielu sytuacjach kompletnie bezradne, choć jednocześnie tak bardzo wyczulone na protekcjonalny ton. Z jednej strony potrzebuje jakichś granic, opieki, nadzoru, z drugiej zaś w żadnych ramach się nie mieści i nigdzie na dłuższą metę nie pasuje. Potrafi przy tym bezwstydnie żerować na innych, jakby kiedyś dostał zbyt mało, ażeby dziś umiał przyjmować i samemu dawać. Frank Dillane, nagrodzony za tę rolę w Cannes, wcześniej znany jako nastoletni Lord Voldemort z „Harry'ego Pottera i Księcia Półkrwi" (2009), świetnie oddaje tę wieczną dziecięcość bohatera.

Bowiem „Łobuz" próbuje wypełnić ową „lukę w empatii", o której mówi w filmie jedna z postaci, ta najpaskudniej potraktowana przez Mike'a. Chodzi o społeczną hipokryzję i Dickinson zdecydowanie jej się przeciwstawia, kręcąc swój pierwszy tytuł właśnie w taki sposób – bez taryfy ulgowej dla głównego bohatera (sam też wciela się tu w postać mocno odpychającą).

Po tym, jak Mike zaprzepaszcza swą kolejną szansę czy pali za sobą następny most, film wystawia naszą empatię na coraz cięższą próbę. I nawet gdy bohater płacze nad sobą, jakże łatwo usłyszeć w tym „tylko" pijacki skowyt. To wyzwanie zdaje się główną stawką tego surowego filmu, całkiem niepotrzebnie uszlachetnianego, zwłaszcza w finale, wspomnianym już surrealizmem.

„Łobuz" przemawia najszczerzej, kiedy uruchamia żywy i surowy nerw opowieści – zgodny z biorytmem bohatera, dynamiką miasta, z pulsem wypełniającej ekran muzyki elektronicznej czy gitarowej. Kręcony na współczesnych „ulicach nędzy", usytuowanych w samym centrum europejskiej metropolii i zarazem na jej niewidocznych obrzeżach, zapewne jest debiutem zrealizowanym z pozycji podwójnie uprzywilejowanej.

Przez kogoś, kto nie zaznał bezdomności, a na dodatek w środowisku filmowym od lat czuje się niczym w domu. Jednak Dickinson nie wchodzi w buty opieki społecznej i nie traktuje swego bohatera jak człowieka upadłego czy ofiarę, lecz po prostu jak kumpla. Takiego, któremu nie zawsze, mimo dobrych chęci, udaje się pomóc. ©

Lektor:
Czeskie bogactwo



▪ **WIDZIAŁEM PIERŚ SSĄCĄ NIEMOWLĘ. CZESKA LIRYKA I ANTYLIRYKA XX WIEKU;** *wybór, przekład, posłowie i noty Zbigniew Machej. Wydawnictwo Ars Cameralis, Katowice 2025, seria Marzenia / Herezje*

Jaka piękna książka! Poeta Zbigniew Machej, Cieszyniak, po 1989 r. został też dyplomatą – w Pradze (w ekipie nieodżałowanego prof. Jacka Balucha, bohemisty), a potem w Bratysławie. Połączył to z uważną lekturą literatury naszych południowych sąsiadów. Jego antologia wierszy jedenaściorga poetów czeskich ma charakter autorski i osobisty. Brak w niej paru sławnych postaci, jak wielki Vladimír Holan, noblista Jaroslav Seifert, František Halas czy Jan Zahradníček. Pokazuje natomiast wielorakość zjawiska.

„Czeska poezja XX wieku – tłumaczy Machej – jest zadziwiająco bogata, różnorodna, ciekawa i zawiera niewyczerpany potencjał atrakcji i inspiracji. Jej wielkie, nieprzebrane zasoby odkrywano stopniowo dopiero po 1989 r., odkąd już można było z różnych źródeł wydobywać teksty dotąd nieznane lub zdeformowane przez cenzurę albo też po prostu zapoznane lub zapomniane".

Między liryką czołowego przedstawiciela poetyzmu, Vítězslava Nezvala (1900-1958), a twórczością kontestatora czasu poinwazyjnej „normalizacji", czyli Ivana Martina Jirousa, zwanego Magorem (1944-2011), założyciela zespołu rockowego The Plastic People of the Universe, rozciąga się przestrzeń czasowo wcale nie tak rozległa, ale nadzwyczaj gęsta, jeśli chodzi o indywidualności. Milada Součková (1899-1983), która po przewrocie komunistycznym w 1948 r. wybrała emigrację, teraz, pisze Machej, zyskuje renomę pierwszej damy czeskiego modernizmu. Emigrantem był Ivan Blatný (1919-1990), przez wiele lat pacjent brytyjskich szpitali psychiatrycznych; pisał o nim u nas Leszek Engelking. Miroslav Holub (1923-1998), tłumacz Herberta i Szymborskiej, został w kraju. Jan Skácel (1922-1989) też został, ale w latach 70. publikował – inaczej niż Holub – w drugim obiegu, podobnie jak awangardysta, diarysta i twórca kompozycji plastycznych Jiří Kolář (1914-2002). Ivan Diviš (1924-1999), poinwazyjny emigrant, w 1989 r. wrócił do Pragi. Ivan Wernisch (ur. 1942) to jedyny żyjący w tym gronie. A surrealista Petr Král (1941-2020) należał do zespołu naszych „Zeszytów Literackich".

Na koniec historia przejmująca. Przedwcześnie zmarły Zbyňek Havlíček (1922-1969), syn prozaika Jaroslava, za życia nie publikował. Dopiero w 1994 r. (!) ukazała się jego książka w postaci czarnego pudełka z napisem „Otworzyć po mojej śmierci". Poeta wrócił – i dał tytuł antologii. Bo to z jego wiersza... ©℗

eprasa.pl 2b98c8e853

PAWEŁ

Bravo:

Wino w parku



Trzeci raz z rzędu Włosi nie pojadą na mistrzostwa świata w piłce nożnej. Tej męskiej, koniecznie dodajmy, bo futbol nareszcie zaczął być grą obu płci i wypada zauważyć, że jego kobieca wersja już wyszła z głębokiej niszy gdzieś tam pod schodami, którymi czempioni wychodzą w blasku reklam na murawę.

Trzeci raz, jak dla drużyny, która wcześniej cztery razy zdobywała puchar, to jest jednak spektakularna wtopa. O ile oczywiście to jest „ta drużyna". Piękny przykład sporu nominalistów z realistami, ale zahaczymy o niego tylko jedną nogą. W 2014 r., czyli na swoim ostatnim mundialu, kiedy wypadli po fazie grupowej, wykopani przez Kostarykę i Urugwaj, Włosi mieli np. Buffona i inne równie mezozoiczne gwiazdy, to więc argument za brakiem jedności bytowej z ekipą, którą tej wiosny Bośniacy odprawili jeszcze w eliminacjach. Może nie pamiętacie, ale wówczas np. na Instagramie nie było jeszcze rolek – aż trudno sobie to wyobrazić, na co się wtedy marnowało całe godziny, chyba nadal wypadało oglądać telewizję.

Ale z drugiej strony w naszych głowach funkcjonuje jakaś ciągłość, kolejne składy drużyn intuicyjnie postrzegamy jako emanację czegoś będącego ponad mechaniczną sumę jednostek akurat zgromadzonych przed ekranem. Niejeden powie tutaj: „narodu", ale ja bym był powściągliwy, bo wtedy wypadają za wspólnotową burtę wszyscy ci, którzy sport mają w nosie. Przecież i ja się tym zajmuję nie dlatego, żeby mnie to kręciło.

W przypadku Włochów potrójna klęska stanowi dla mnie jedynie dodatkowy argument nie tylko za delegalizacją piłki powyżej poziomu szkolnej ligi – czego domagam się od zawsze, ale kochana redakcja w trosce o moje bezpieczeństwo nie pozwala mi o tym publicznie przypominać. Wynik niedawnego meczu w Zenicy wskazuje na więcej: czas zakończyć ten eksperyment z budowaniem jakiegoś narodu na tamtym pięknym, tkniętym podwójną łaską natury i kultury półwyspie.

Nation building wydaje się dziś pojęciem równie ponurym jak *regime change* i podobne wyrazy socjoinżynieryjnej pychy, skrywające słabość schyłkowego imperium. Z przeszłości pamiętamy, że siła imperium wynika wprost z przekonania innych o tejże sile. Czołgi i worki dolarów są tu wtórne.

Dobrze, że dolarów starcza też na coś sensowniejszego od budowania narodów, czyli powrót na Księżyc. Głowa sama się podnosi, w ślad za statkiem Orion, zazdroszczę tej czwórce dzielnych ludzi, że na parę dni będą dosłownie ponad to wszystko. Słowo „kosmiczne" oddaje w naszym języku



ARMIN DURGUT / AP PHOTO / EAST NEWS

uznanie dla rozmachu, ambicji i śmiałości przedsięwzięcia. Podziw i duma, niech wracają bezpiecznie do domu.

Na skraju palety odcieni znaczeniowych w naszej umiłowanej polszczyźnie coś „kosmicznego" może być jednak kpiną. Bywają rzeczy osobliwe, z lekka szalone, odlatujące wysoko ponad twardy, rozsądny grunt, choć przy tym nieszkodliwe.

„Halo, tu Ziemia!", wołam z uśmiechem, czytając wieści o polskiej sieci hoteli, która planuje pozbyć się alkoholu ze swoich barów i restauracji. Na razie stopniowo – wycofuje butelki z widoku i nie proponuje karty win do obiadu, wydając ją gościowi spod lady tylko na jego wyraźne, grzeszne życzenie. W planach są zniżki na wesela i inne imprezy zeroprocentowe.

Smutne to wszystko. Rzeczona sieć była wiele razy słusznie chwalona za odważne rewitalizacje różnych „niemożliwych" obiektów i nie jest pierwszą lepszą banalną firmą. Chcemy oferować „zdrowe i regeneracyjne środowisko pobytu" – deklaruje jej właściciel, chodzi o „spokojny wypoczynek". Tak jakby dotąd jego lokale były tanimi mordowniami z ciepłą wódką i koszami pełnymi pustych „małpek". Przeciwnie, mówimy o górnej półce elegancji i kulturalnego zachowania. A że goście weselni bywają głośni i rozdokazywani – no cóż, tak działa głęboki atawistyczny wzorzec obrzędu przejścia związanego przecież z płodnością i życiem. Musimy trochę przy tym narozrabiać.

A więc jest trend i nic go nie powstrzyma: winopije – precz na antypody zdrowia i spokoju. Do zagrody dla upadłych jednostek, zdefektowanych egzemplarzy niedopuszczonych do obiegu w ekonomii szczęścia. Z wyjątkiem rzadkich okazji,

eprasa.pl 2b98c8e853



Edin Dżeko pociesza Bryana Cristante po przegranej Włoch w eliminacjach do finału Mistrzostw Świata 2026. Zenica, Bośnia i Hercegowina, 31 marca 2026 r.

kiedy muszę prowadzić samochód albo idę w góry, piję wino każdego dnia, z umiarem i w ilości, która nigdy nie pozbawiła mnie jasnego widzenia i przyzwoitości zachowań. Ale nowy prohibicjonizm, jak każda próba manichejskiego pokonania Mroku przez Światło, gardzi umiarem, bo do tego trzeba zaufania i zgody na niedoskonałość.

Nigella Lawson, jedna ze stale czuwających nad tą rubryką patronek w radości z gotowania „dość dobrego" (na wzór dość dobrego rodzicielstwa), na luzie i bez napinki, nie została kiedyś wpuszczona do USA, bo było publicznie wiadomym, iż w przeszłości przyjmowała narkotyki. Gorliwy urzędnik zastosował paragraf, że bezwizowy wjazd nie przysługuje osobom nadużywającym zakazanych substancji.

Trzeba było załatwiać potem kwit u lekarza, że owo nadużywanie należy do zamkniętej przeszłości. Ale skaza w papierach pozostała. Trzymam się z daleka od wszelkich tych chorych świństw i proszków, ale poza tym chciałbym, abyśmy wszyscy mieli podejście do życia, kuchni i wina takie jak Nigella. Powiadacie, że mogą nas za to nie wpuścić do Ameryki... Cóż, jeśli tak ma wyglądać i zachowywać się kraj wolny od zepsucia, to zostaję tutaj. Z winem w parku i zachodem słońca.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Krem z rukwi

„Wysmaruj masłem dużą płaską formę, która pomieści litr, daj pół litra mleka i ćwierć litra tłustej śmietanki, pięć łyżek cukru i łyżeczkę pasty waniliowej, na koniec 90 g krótkiego kleistego ryżu (takiego np. jak do risotto). Na wierzch cztery łyżki stopionego masła, piecz w 160 stopniach dwie i pół godziny..." – takim przepisem na ryżowy pudding przywitała się niedawno Nigella, zaczynając nowy swój cykl w „Financial Times" i od razu jest jasne, jakiego rodzaju szczere do bólu przyjemności propaguje. Do bólu wątroby, chciałoby się dodać, i nie sugeruję wam, żeby to piec teraz, w tygodniu po świętach, kiedy powinniśmy być grzeczni dla brzuszków i jeść tylko listki i ciemny chleb.

SKŁADNIKI:
400 g świeżej rukwi 200 g masła 2 pory (białe części) 1 duży ziemniak (odmiana sypka) 1 szalotka ▪ oliwa

Nareszcie nieśmiało widać szczerą zieleninę na straganach – np. rukiew wodną, która u nas niestety jest dostępna tylko na początku wiosny. Oto przepis z jednej strony bardzo zielony, z drugiej nie całkiem dietetyczny. Usuwamy najgrubsze łodyżki z rukwi – ale bez przesady z dokładnością, czyszczenie rukwi to robota godna Kopciuszka. Rzucamy na osolony wrzątek, blanszujemy dwie minuty, przekładamy do miski z lodowatą wodą, dokładnie odciskamy. Miksujemy blenderem ze 150 g stopionego masła, jeśli nam się chce, możemy potem ten krem przetrzeć przez sito.
W dużym rondlu topimy resztę masła, dodajemy łyżkę oliwy, szklimy na wolnym ogniu drobno posiekaną szalotkę i pora, dodajemy pokrojonego drobno ziemniaka i zalewamy wszystko wodą tak, żeby ledwo przykryła, solimy i gotujemy pod pokrywką do miękkości. Miksujemy, dodajemy krem z rukwi i masła, doprawiamy lekko pieprzem, podajemy i zjadamy natychmiast. Jeśli macie owczą lub kozią ricottę, można dodać jej odrobinkę na koniec. ©℗



MAGDALENA BUJAK / ADOBE STOCK

eprasa.pl 2b98c8e853

ZMYSŁY

MODRASZKI NA SWOIM

Porządna dziupla – przestronna, wilgotna, zacieniona – to towar deficytowy. Poszukajmy jej wspólnie.

PAWEŁ PSTROKOŃSKI

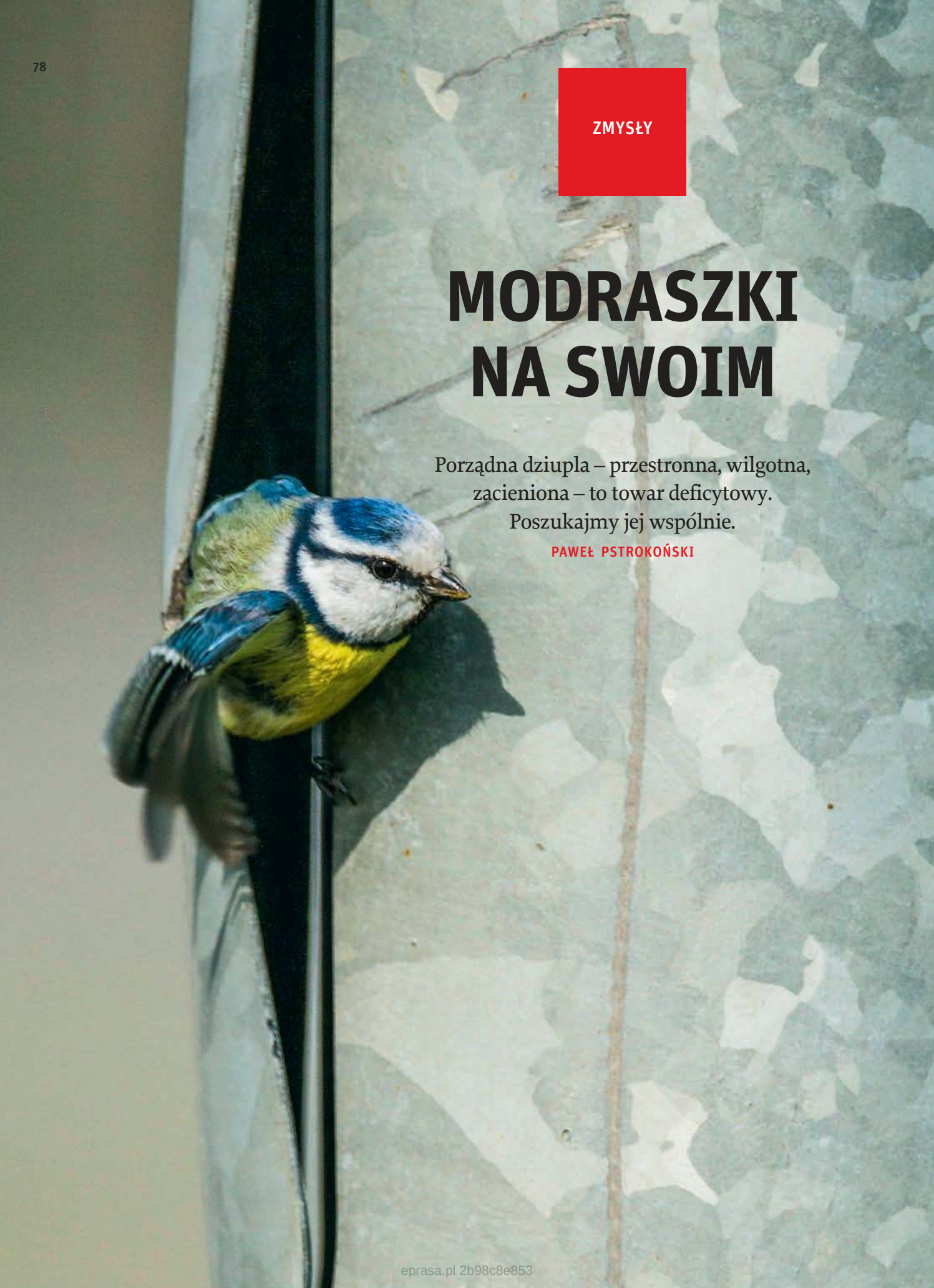

eprasa.pl 2b98c8e853

Trwała kalendarzowa zima, choć południowe słońce miło przygrzewało. Siedziałem na ławce w stołecznym parku Sady Żoliborskie, otoczonym osiedlem mieszkaniowym o tej samej nazwie, powstałym w latach 60. według projektu Haliny Skibniewskiej. Warszawska architektka istotą kolonii mieszkaniowej uczyniła rozległe sady owocowe, stanowiące w dużej mierze o ponadczasowej wartości samego projektu epoki Gomułki.

Pozostawione w parku drzewa z pewnością osłabiają efekt zjawiska zwanego miejską wyspą ciepła, które sprawia, że ptaki żyjące pośród ludzi, bloków i samochodów rozpoczynają sezon lęgowy wcześniej. Miliony ludzi stłoczonych na niewielkiej przestrzeni, otoczonych betonem, asfaltem i autami – wszystko to generuje nadmiar energii cieplnej uwięzionej między budynkami (dlatego tak ważne są korytarze napowietrzające) i sprawia, że wewnątrz miast temperatura może być wyższa o kilka stopni. Ciepłota, ilość światła i długość dnia wespół z jeszcze bulgoczącym, ale zaraz kipiącym koktajlem hormonalnym w ptasich ciałkach potęgują potrzebę rozpoczęcia sezonu lęgowego. Już, mimo że do kalendarzowej wiosny 11 dni.

Sikorka na wizytacji

Na początek niezbędne jest odpowiednie miejsce do gniazdowania. Można je znaleźć np. wewnątrz starzejących się drzew owocowych zachowanych przez Skibniewską. Co pewien czas odrywam wzrok od ekranu czytnika i ukradkiem, bez wykonywania ruchów, spoglądam na modraszkę – drobną, żółto-niebieską sikorę zainteresowaną otworem w jabłoni domowej. Na nosie mam okulary przeciwsłoneczne, więc niczego niepodejrzewający osobnik rozgląda się, wydaje wysokie *cit-cit-cit*, po czym sfruwa do otworu. Choć nie widzę (nie zbliżam się, ponieważ po pierwsze, rozkoszuję się obserwacją, a po drugie, nie chcę przerywać i płoszyć ptaka), to jestem niemal pewien, jak wygląda wizytacja.

Po wejściu do dziupli ptak najpierw się rozgląda i szacuje objętość komory. Ta powinna mieć 20–30 centymetrów głębokości, co utrudni penetrację drapieżnikowi, i być na tyle obszerna, żeby pomieścić nawet tuzin matowobiałych jajeczek z jasnoczerwonym plamkowaniem, z których po dwóch tygodniach wyklują się ślepe pisklęta. Następnie ptak opukuje samą dziuplę, ocenia w ten sposób stan ścian i stopień rozkładu drewna. Chwilę przed wylotem przysiada na dnie – mości się i przycupnięty czeka kilka minut w miejscu, gdzie za półtora tygodnia powstanie gniazdo z mchu, suchych traw, sierści, włosia i puchu. Teraz już wie, czy dziupla ma prawidłową wilgotność i temperaturę oraz izolację przed wiatrem i deszczem. Jeszcze tylko ostatni rzut oka, czy w dziupli nie zostały resztki materiału gniazdowego po poprzednich lokatorach i czy aby nie ma tu pasożytów, które utrudnią życie. W końcu można wylatywać.

Skąd się biorą gniazda

Jedna wizyta z reguły nie wystarcza – co kilka minut ptak odrywa mnie od lektury kryminału i przyfruwa w okolice otworu, by upewnić się w wyborze, niczym nabywca mieszkania. Sikora dobrze trafiła – dziupla, czyli mikrosiedlisko z własnym mikroklimatem, jest zasobem ograniczonym: tworzy się powoli i tylko wtedy, gdy zostanie spełnionych kilka warunków.

Swój początek dziupla zawdzięcza uszkodzeniu drewna, np. wtedy, gdy w wyniku burzy lub mrozu ułamie się konar lub pęknie kora. Do powstałego ubytku może wniknąć wilgoć, co rozpoczyna proces rozkładu drewna, czyli próchnienia, dodatkowo nasilany aktywnością organizmów saproksylicznych – stworzeń związanych z martwym lub obumierającym drewnem i próchnem.

Pod wpływem działalności grzybów – takich jak hubiak pospolity, żagwiak łuskowaty, wrośniak różnobarwny – oraz owadów, np. jelonka rogacza, pachnicy dębowej, kozioroga dębosza, drewno traci twardość i próchnieje. Z czasem w jego wnętrzu tworzy się komora. Proces ten może przyspieszyć, jeśli obumierającym, rozmiękłym drewnem zainteresuje się któryś z dziewięciu gatunków dzięciołów występujących w Polsce (dziesiąty – krętogłów jest wyjątkiem, migruje, a do tego nie wykuwa własnych dziupli i gniazduje w gotowych otworach).

Ptaki lubią próchno

W poszukiwaniu dziupli przez duże „D" udaję się do Lasu Bielańskiego. Ten stołeczny rezerwat przyrody jest pozostałością pierwotnej Puszczy Mazowieckiej, choć psy puszczane tu luzem, mimo obowiązującego zakazu, przypominają o miejskim charakterze tego obszaru. Najchętniej zaglądam tu wczesną wiosną, gdy do życia budzi się runo leśne. Na razie jednak, mimo słonecznej pogody, wiosenne geofity pozostają uśpione. Będę musiał wybrać się tu jeszcze raz, na początku kwietnia, żeby popodziwiać biele, żółcie i purpury zawilca gajowego, zdrojówki rutewkowatej, kokoryczy pełnej, złoci żółtej i ziarnopłonu wiosennego.

Ledwo zsiadam z roweru i sięgam po lornetkę, gdy od razu dostrzegam obumarłą brzozę, rosnącą tuż przy wejściu do rezerwatu, zaledwie 50 metrów od ruchliwej, lokalnej ulicy Podleśnej. U podstawy drzewo ma charakterystyczny, głęboki i eliptyczny ślad żerowania dzięcioła czarnego, największego polskiego dzięcioła, rozmiarów wrony. Po krótkim przystanku kieruję się ku Rudawce; okolice tej niegdyś rzeczki, a dziś ledwie cieku, są podmokłe i porośnięte olsem. Sąsiedztwo wody sprzyja próchnieniu – w mgnieniu oka, niemal od niechcenia znajduję tu dziuple w olszy i przechylonym, sterczącym kikucie dębu.

Bielańskie dęby nie mają łatwo. Coraz bardziej suche lata, izolacja rezerwatu oraz miejska presja okolicznych osiedli i Wisłostrady sprawiły, że poziom wód gruntowych opadł, przez co drzewa szybciej obumierają. Owszem, z powodu wspominanych trudności i mozolnej pracy tutejszych dzięciołów tworzą się dogodne siedliska lęgowe dla ptaków, jednak rosnące tu dęby znalazły się w „miejskiej pułapce" i nie wiadomo, czy uda im się z niej wyjść obronnym konarem. Przez lata, głównie za sprawą inwazyjnej czeremchy amerykańskiej, podszyt stał się tak gęsty, że młode dęby, które kochają światło, po prostu nie mają szans się przebić. A przy tym brakuje im wody. Choć dla samych drzew ↦

Modraszka zajęła latarnię miejską na gniazdo

JEANETTE ROSENQUIST / SOLENT NEWS / EAST NEWS

eprasa.pl 2b98c8e853

↦ to najprawdopodobniej scenariusz schyłkowy, to dla wielu ptaków martwe i próchniejące drewno jest jedyną szansą na znalezienie bezpiecznego lokum.

Dziuple z odzysku

Modraszki, ale też m.in. muchołówka żałobna, kowalik, pełzacz ogrodowy czy szpak należą do grupy ptaków zwanych dziuplakami wtórnymi, które w odróżnieniu od dziuplaków pierwotnych – dzięciołów – nie potrafią samodzielnie wykuć odpowiedniej komory i korzystają z dziupli lub innych naturalnych jam w drzewach powstałych wcześniej – naturalnie, w procesie próchnienia drewna, albo w wyniku dzięciolej aktywności. Porządna dziupla – przestronna, wilgotna, zacieniona – to towar deficytowy, trudno dostępny nie tylko w mieście, stąd wysoka konkurencja o dogodne domostwo w drewnie.

Gniazdowanie w dużym zagęszczeniu oraz niedobór dojrzałych, starzejących się drzew w mieście sprawiają, że miejskie dziuplaki są zmuszone szukać alternatywy. Może nią być wyłom w elewacji pod parapetem lub wnęka za rynną (właśnie dlatego prace termomodernizacyjne powinny być prowadzone w asyście ornitologa, najlepiej poza sezonem lęgowym). Ptaki wykorzystują też skrzynki elektryczne w betonowej latarni przyulicznej, a gdy i tych zabraknie, nawet skrzynkę na listy w betonowym słupie furtki, gdzie kilka lat temu wypatrzyłem modraszki.

Czy budki są dobre

Przy niedoborze dziupli, by zwiększyć liczbę miejsc lęgowych, wiesza się wykonane ludzkimi rękoma drewniane skrzynki dla ptaków. „Sztuczne gniazda [budki – P. P.] nie są miejscami, w których zwierzęta ewoluowały i optymalizowały swoją wydajność rozrodczą, nadal nie jest jasne, czy stanowią one odpowiednie substytuty, zapewniające porównywalne korzyści biologiczne podczas lęgów” – zauważa zespół badawczy prowadzący badania na dwóch warszawskich sikorach – modraszce i bogatce.

Analizy dotyczące wpływu budek na ekologię rozrodu sikor wykazały, że u modraszki lęgi w skrzynkach wypadały gorzej niż w naturalnych dziuplach: notowano niższy sukces klucia i wylotu młodych, w efekcie mniej podlotów, a pisklęta dłużej pozostawały w gnieździe i opuszczały je później w sezonie (choć u bogatki różnice między skrzynkami a naturalnymi dziuplami były znacznie słabsze). Autorki podkreślają „ekologiczne znaczenie starodrzewów, które zapewniają naturalne dziuple dla zwierząt rozmnażających się w miastach”.

W innym badaniu, poświęconym zmianom mikroklimatu wewnątrz gniazd, badaczki wykazały, że skrzynki lęgowe były mniej stabilne termicznie niż naturalne dziuple – miały wyższe maksymalne temperatury, większe dobowe wahania temperatury i gorzej izolowały od wysokiej temperatury otoczenia.

Nic nie zastąpi naturalnej dziupli, dlatego tak ważna jest prawidłowa pielęgnacja miejskiej zieleni i dbanie również o próchniejące drzewa.

Miejscy ogrodnicy

Prace pielęgnacyjne to coś więcej niż tylko element „wiosennych porządków” w mieście. To dbanie o kondycję drzew (cięcia sanitarne, formowanie korony), utrzymanie skrajni drogowej i pieszej, by gałęzie nie przesłaniały znaków, sygnalizatorów, a piesi mogli się przemieszczać swobodnie oraz – co najważniejsze – dbanie o bezpieczeństwo publiczne. Martwy konar w mieście może po prostu wyrządzić szkodę: spaść na zaparkowane auto lub, co gorsza, na przechodnia. Miejscy ogrodnicy dbają jednak o obecność martwego drewna w ekosystemie – wycięte konary często pozostawia się w miejscu ścinki, by spróchniały, a całe pnie wykorzystuje się choćby do uniemożliwiania parkowania na trawnikach.

Jednak gdy spoglądam na stosik równo ułożonych, ściętych gałęzi jabłoni, którą wybrały modraszki – zamieram. Niepotrzebnie. Ledwie siadam na ławce, gdy do oca-

OGŁOSZENIA WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK Trzeciego Wieku

KONFERENCJA DLA AKTYWNYCH SENIORÓW
8 MAJA 2026 | NOWOHUCKIE CENTRUM KULTURY
(KRAKÓW, AL. JANA PAWŁA II 232) | START: GODZ. 9.30

REJESTRACJA I SZCZEGÓŁY: EVENEA.PL

KONFERENCJA TYGODNIK TRZECIEGO WIEKU
to wydarzenie tworzone z myślą o osobach dojrzałych – aktywnych, ciekawych świata, chcących rozwijać się na własnych warunkach.



Fake newsy, deepfake’i, oszustwa w sieci – czy wiesz, jak się przed nimi bronić? Dołącz do konferencji Tygodnik Trzeciego Wieku i odkryj świat mediów od kuchni razem z dziennikarzami „Tygodnika Powszechnego”!
Spotkanie poprowadzą doświadczeni redaktorzy i eksperci. A na zakończenie – wyjątkowy koncert Jacka Wójcickiego, ikony krakowskiej Piwnicy pod Baranami.

ORGANIZATOR: TYGODNIK POWSZECHNY

Blisko 600 uczestników. Rzetelna wiedza. Żywa rozmowa. I coś więcej niż notatki.

eprasa.pl 2b98c8e853



TASHABUBO / ADOBE STOCK

Choć dla samych drzew to najprawdopodobniej scenariusz schyłkowy, to dla wielu ptaków martwe i próchniejące drewno jest jedyną szansą na znalezienie bezpiecznego lokum.

lałej dziupli wlatuje sikora. Choć hałas prac mógł spłoszyć parę, to po ich zakończeniu ptaki natychmiast wróciły pilnować kwatery. Miejsce, które wybrały, musi być wyjątkowe.

Skrzydlata miłość

Minęły dwa tygodnie, odkąd zainteresowałem się losami modraszek. Trwa już kalendarzowa wiosna – jeszcze bezlistne krzewy forsycji obsypało żółtymi kwiatami, pękate samice trzmieli coraz śmielej ruszają na pierwszy żer, a solarny impuls zwiększa błyskawicznie liczbę ptasich pieśniarzy – niektórzy, jak kosy czy rudziki, śpiewają już przed brzaskiem. Dziś po raz pierwszy dostrzegam oba ptaki przy dziupli.

W momencie, gdy siadam na ławce, jeden z osobników wlatuje do otworu, podczas gdy drugi przysiada na gałęzi i zaczyna energicznie trzepotać skrzydłami – to sygnał gotowości do kopulacji. Ponieważ u modraszek wizualnie trudno odróżnić samca od samicy, zakładam, że chęć sygnalizuje samica, dająca partnerowi zielone światło. Chwilę później zagadka płci zostaje rozwiązana: to samiec dokonywał inspekcji dziupli. Wyfrunął z niej, przysiadł obok, również zaczął podrygiwać skrzydłami, a następnie wskoczył na samicę. Sam akt trwał krócej niż mrugnięcie oka. I to przy spacerowiczach!

Skoro ptaki kopulują bezpośrednio przy dziupli, oznacza to, że miejsce lęgowe zostało wybrane. Zajrzę tu w połowie kwietnia, młode powinny być już w gnieździe. Choć wtedy będę już pewnie emocjonował się sąsiedztwem moich innych ptasich lokatorów – oknówek, którym trocinobetonowe czarki wywiesiłem we wnęce okna sypialni kilka lat temu.

© PAWEŁ PSTROKOŃSKI

Autor jest ornitologiem i popularyzatorem wiedzy o przyrodzie. W wydawnictwie Czarne opublikował „Wszystkie okna dla oknówek. Ptasie historie z sąsiedztwa”.

TYGODNIK POWSZECHNY

Sklep „Tygodnika Powszechnego”



DO CZYTANIA | DO NOSZENIA | DO KUPIENIA

SPRAWDŹ
sklep.TygodnikPowszechny.pl

eprasa.pl 2b98c8e853

TOMASZ

Stawiszyński: *Wspólnota i śmierć*



Śmierć Noelii Castillo Ramos, 25-letniej Hiszpanki, która została na własne życzenie poddana eutanazji, jest wydarzeniem bezbrzeżnie smutnym i ciemnym. Jest tragicznym zwieńczeniem tragicznego losu.

Noelia urodziła się w dysfunkcjonalnej rodzinie, od trzynastego roku życia aż do uzyskania pełnoletniości przebywała w ośrodku opieki. Jak mówiła w wywiadach, trzykrotnie padła ofiarą gwałtu, w tym dwa razy zbiorowego, nigdy jednak nie zgłosiła tego policji. W 2022 roku podjęła próbę samobójczą skacząc z budynku, w wyniku czego złamała kręgosłup i została sparaliżowana od pasa w dół. Odtąd cierpiała na silne neuropatyczne bóle, nie była w stanie samodzielnie załatwiać potrzeb fizjologicznych, a jej stan psychiczny – wcześniej zdiagnozowano u niej zaburzenia obsesyjno-kompulsyjne i osobowość borderline – systematycznie się pogarszał. Dwa lata po nieudanej próbie samobójczej wystąpiła do hiszpańskiego sądu o eutanazję. Zaraz potem sprzeciw zgłosił ojciec dziewczyny, który skądinąd wcześniej w ogóle się nią nie interesował. Po jego stronie w sprawę zaangażowało się m.in. stowarzyszenie chrześcijańskich prawników oraz przedstawiciele Kościoła katolickiego. Ostatecznie jednak najpierw sąd w Hiszpanii, a później, finalnie, Europejski Trybunał Praw Człowieka odrzuciły ich wnioski – i 26 marca 2026 roku Noelii Castillo Ramos podano śmiercionośny zastrzyk.

Jej historia stała się natychmiast – podobnie jak historia Zorai ter Beek, o której pisałem w 2024 roku – przedmiotem zagorzałych dyskusji w mediach społecznościowych, a także osią politycznej i światopoglądowej wojny. Na rzecz każdego możliwego stanowiska, jakie tylko da się zająć w tej sprawie, wytoczono, podobnie jak w analogicznych przypadkach, wszelkie dostępne argumenty. Znam je dobrze, zarówno za, jak i przeciw, nie raz je tutaj rekapitulowałem, nie raz się do nich krytycznie albo aprobatywnie odnosiłem, nie raz je również sam zajmowałem. Abstrahując jednak od tego, jak to lub tamto stanowisko można wyłożyć i obronić, abstrahując od tego, czy da się je umieścić, czy nie na jakimś sztandarze – czytając o życiu i śmierci Noelii Castillo nie sposób oprzeć się pewnemu wrażeniu.

Jak je adekwatnie wyrazić? Trzeba to robić ostrożnie. Poruszamy się tu bowiem po terenach granicznych. Tam, gdzie ważą się i rozstrzygają nie tylko nasze rozumienie życia i śmierci, lecz także, a może przede wszystkim, nasze przekonania co do tego, czym jest wspólnota i czym jest cierpienie oraz jakie wspólnota ma zobowiązania względem cierpiących. Wbrew zapalczywo-beztroskiej (co tylko z pozoru zdaje się paradoksalnym połączeniem) postawie, którą przyjmują najbardziej zradykalizowani bojownicy różnych barykad, nie idzie tutaj o wygraną w jakiejś bitwie, lecz właśnie o głębinową redefinicję powyższych pojęć i wyobrażeń. Czyli o życie, cierpienie i śmierć nas wszystkich, bez wyjątku i bez względu na poglądy, wierzenia czy systemy wartości. W ferworze polaryzacji, pod permanentnym ostrzałem praktycznie uniemożliwiającym dziś prowadzenie dyskusji na najistotniejsze tematy, takie rzeczy znikają nam z pola widzenia.

Podobnie jest tutaj. Niezależnie od moich poglądów na kwestię legalności eutanazji, kiedy czytam o bezbrzeżnie smutnej, tragicznej historii Noelii Castillo Ramos, nasuwa mi się od razu kilka pytań. Czy wspólnota – społeczeństwo i państwo, krąg bliższych i dalszych znajomych – w której żyła ta dziewczyna, nie miała jej wcześniej do zaoferowania niczego innego? Czy to jest odpowiedź, którą – jako wspólnota, jako społeczeństwo i państwo – mamy dawać tym z nas, którzy nie są śmiertelnie chorzy, ale dotknięci innym strasznym cierpieniem? Cierpieniem, któremu na różnych etapach można było zapobiec albo złagodzić jego skutki, gdyby tylko wykazano się większą troską i uważnością? Czy nie stać nas na nic więcej? Czy Noelia Castillo Ramos, która przez całe życie nie dostała znikąd pomocy, powinna była dostać ją w końcu w takiej postaci, na swój własny sądowy wniosek, potwierdzony formalnie przez Międzynarodowy Trybunał Praw Człowieka? Czy ów Trybunał, czy owe sądy, czy wspólnota, społeczeństwo i państwo, których te instytucje są emanacją, nie mogły wcześniej zrobić dla niej czegoś, co uczyniłoby jej życie lżejszym i znośniejszym? Co sprawiłoby, że jej życie stałoby się dla niej samej warte podtrzymania, nie zaś zasługujące już tylko na unicestwienie?

I jeszcze – w jaki sposób prowadzić sensowną politykę prewencji samobójstw, a zarazem sankcjonować i afirmować samobójstwa dokonywane przez ludzi pogrążonych w rozpaczy, cierpiących, niedostrzegających dla siebie żadnej nadziei? Przy okazji sprawy Zorai ter Beek na niektóre aporie tego rodzaju zwrócili uwagę czterej profesorowie psychiatrii, Julian C. Hughes, Jonathan Cavanagh, Allan House i Alan Thomas podpisani pod listem otwartym opublikowanym wówczas na łamach „The Guardian". Ale podobnych aporii jest znacznie więcej. Wydaje mi się, że trzeba się z nimi uczciwie zmierzyć, zamiast rytualnie rzucać się sobie do gardeł. Gdzie bowiem umieszcza się czyjąś bezbrzeżnie smutną, tragiczną historię na sztandarze, a następnie tym sztandarem zapalczywie powiewa, tam podmiot tej historii prędzej czy później znika.

Dokładnie tak, jak zniknęła Noelia Castillo Ramos, której przez całe życie nikt nie potrafił pomóc. Za to kiedy zażądała śmierci – pomoc znalazła się niemal od razu. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

eprasa.pl 2b98c8e853

NOWA KSIĄŻKA AUTORKI

CZUŁEJ PRZEWODNICZKI





AUDIOBOOK
CZYTA
MAJA OSTASZEWSKA

Natalia de Barbaro, mistrzyni wrażliwego pisania, powraca w wielkim stylu. „Przejścia" to opowieść, która niesie prawdziwą nadzieję.

JUŻ W SPRZEDAŻY

REKLAMA

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL **WOLISZ EBOOKI/ AUDIOBOOKI?** ZAPRASZAMY NA publio.pl

www.wydawnictwoagora.pl

Wydawnictwo Agora

eprasa.pl 2b98c8e853

REKLAMA

16. MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL MUZYCZNY NDI SOPOT CLASSIC

#przygoda

4 – 11.07.2026 r.

NDI SOPOT CLASSIC



Podróż w nieznane

4.07.2026 | godz. 20.00
OPERA LEŚNA Powered by Energa w Sopocie

W programie m.in.:
Suita z filmu *Piraci z Karaibów*
Suita z filmu *Indiana Jones*
M. Rimski-Korsakow – *Szeherezada* op. 35

Wykonawcy:
VOŁOSI
Polska Filharmonia Kameralna Sopot
Szymon Morus_dyrygent

Na tropie dźwięku
Festiwalowa Gra Miejska

6.07.2026 | godz. 11.00 - 16.00
Start i Meta – Al. Mamuszki 14, Sopot



Jeszcze wyżej!

7.07.2026 | godz. 19.00
Teatr Wybrzeże – Scena Kameralna
ul. Bohaterów Monte Cassino 30, Sopot

W programie:
Projekcja niemego filmu *Jeszcze wyżej!* (1923)
z muzyką improwizowaną na żywo

Wykonawcy:
Maciej Zakrzewski_organy, elektronika

Pięciu wspaniałych

9.07.2026 | godz. 19.00
Sala Słoneczna
Al. Mamuszki 14, Sopot

W programie:
Suita filmowa z tematami z kultowych produkcji, takich jak *Indiana Jones*, *Mission Impossible* i *Gwiezdne wojny*, zestawiona z klasycznymi arcydziełami – Toccatą d-moll Jana Sebastiana Bacha oraz Symfonią nr 25 Wolfganga Amadeusza Mozarta

Wykonawcy:
Quintessence Saxophone Quintet

Alpejska przygoda

11.07.2026 | godz. 20.00
OPERA LEŚNA Powered by Energa w Sopocie

W programie m.in.:
W. Kilar – *Orawa*
M. Karłowicz – Koncert skrzypcowy A-dur, op. 8
R. Strauss – Symfonia Alpejska TrV 233, op. 64

Wykonawcy:
Agata Szymczewska_skrzypce
Polska Filharmonia Kameralna Sopot
Szymon Morus_dyrygent

Sopot Classic Festiwal
www.sopotclassic.pl

Sopot Dofinansowane ze środków Miasta Sopotu

Sponsor Tytularny: NDI

Organizatorzy: OPERA LEŚNA Energa

eprasa.pl 2b98c8e853